

Jerzy Groblewski

NIE BYLIŚMY BOHATERAMI

Pamięci mojej Matki,
Zofii z Lachowiczów Groblewskiej
poświęcam

Autor

I. W NIEZNANE

Lipiec 1939

W połowie 1939-go roku mam już prawie 9 lat. Mieszkam w Zubrzycy Górnej na Orawie, gdzie Tatus' mój inżynier leśnik, jest nadleśniczym Lasów Państwowych. Mam brata Jędrka który skończył teraz 7 lat oraz siostrzyczkę Ewę, która ma półtora roku i właśnie zaczyna chodzić. Tatus' ma dużo pracy szczególnie w kancelarii, gdzie stale robi wykazy, albo wnioski, albo preliminarz. Gdy czasem wraca wcześniej z biura to bawi się z nami, a gdy pogoda jest dobra zabiera mnie na pstrągi. Bardzo go kocham. Najwięcej zajmuje się nami Mamusia. Od rana pilnuje modlitwy, mycia jedzenia; dużo nam czyta i opowiada. Mamusia ma trzydzieści dziewięć lat i nie jest całkiem zdrowa. Często boli ją serce, a lewą nogę ma grubą, pokrytą ogromnymi żylakami, które dostała kiedy ja się urodziłem. Gdy dłużej chodzi lub stoi noga jej puchnie. Jeden profesor ze Lwowa chciał Mamie operować tę nogę za 500 złotych i mówił, że jak się otworzą rany to trzeba będzie nogę uciąć - ale Mamusia się nie zgodziła na operację i zawsze powtarza, że Pan Bóg jest miłosierny i nie pozwoli aby stała się wielką krzywdą człowiekowi który pokłada w nim prawdziwą wiarę i ufność.

Ja również nie mam dobrego zdrowia. Jestem bardzo chudy, mały i wątły. Często zapadam na gruczoły wętkowe i wtedy leżę w łóżku całymi tygodniami, bo gdy wstanę gorączka się podnosi. Mama się mną martwi.

Mieszka z nami jeszcze niania Ewy i Jędrka - Tosia, która ma 18 lat i pochodzi z Jordanowa.

Mamy też dalszą rodzinę.

Najstarsza siostra Mamy Halina Antoniewicz jest profesorem w gimnazjum w Nowym Sączu. Mamusia mówi, że ciotka Halina była zawsze taka mądra, że każdy narzeczony był dla niej za głupi. Widocznie dlatego wyszła wreszcie za mąż za wujka Witolda, który ma 50 lat, jest bardzo wysoki, nigdy w życiu żadną pracą się nie zajmował, nie wymawia litery "r", ciągle gra na wyścigach konnych na których podobno przegrał już dawno swoje pieniądze, a teraz przegrywa pensję ciotki, ale za to gdy nas czasem odwiedzają to bardzo śmieszenie prztyka palcami i podnosi nas wysoko pod sam sufit, co my dzieci bardzo lubimy.

Druga starsza siostra Mamy Janina Rojecka mieszka w miasteczku Witków, koło Sokala, gdzie jej mąż, wujek Bolek, ma aptekę i wynajmuje duży dom. Nie mają dzieci. Mama mówiła kiedyś do Tatusia, że to dlatego ponieważ jest dewotką, co nie ma nic wspólnego z prawdziwą wiarą i miłością do Pana Boga.

Młodsza siostra Mamy Irena Stasicka ma męża inżyniera górnika - wujka Bonia. Mieszkają na Śląsku. Mają prawdziwy samochód i syna Tadzika. Są teraz u nas przez dwa tygodnie na wakacjach. Tadzik, chociaż młodszy ode mnie o rok i nie lubi czytania książek, jest chyba znacznie mądrzejszy. Już dwa lata temu wytłumaczył mi, że prezentów w grudniu nie przynosi Święty Mikołaj, tylko Tato albo Mama, co odkrył przeciągając w nocy sznurek od swojej nogi do klamki. Teraz opowiadał mi jak się rodzą dzieci - w co jednak nie bardzo mu wierzę.

Jest jeszcze jeden Tadeusz - brat Mamy, najmłodszy z całego rodzeństwa. Wujek Tadzio ma trzydzieści lat, jest kawalerem i ciągle jeszcze studiuje w Dublinach. Należy do jakiejś korporacji, chodzi z grubą laską i gdy był u nas w ubiegłym roku

to mi opowiadał, że w Polsce jest za dużo Żydów i trzeba ich zwalczać bo zagarniają wszystkie pieniądze. Mamusia krzyczała na niego żeby jej dziecka nie bałamucił i mówiła że gdyby nie Żydzi nie miał by kto drzewa z lasów kupować, bo Polacy są do tego za głupi. Po za tym Pan Jezus kazał miłować wszystkich ludzi, a sądzić ich wedle uczynków a nie rasy czy narodowości. Wujek śmiał się i mówił że Mama nie zna się na polityce. Potem opowiadał mi różne ciekawe rzeczy, że dżdżownicę można pociąć na kawałki a z każdego wyrosnie dorosła nowa, wyjaśnił mi dlaczego słońce zimą słabiej grzeje niż latem. Bardzo go polubiłem.

---- * ----

We wrześniu mam już iść do trzeciej klasy, ale słyszałem jak Mamusia mówiła do ciotki Ireny, że nie wie jak to będzie z tą moją dalszą nauką, gdyż nie można dziecka marnować w takiej szkole.

Szkołę, do której chodzę już dwa lata, kilometr w jedną stronę, prowadzi jedyny nauczyciel pan Michniewski. Budynek szkolny składa się z mieszkania które zajmuje jego rodzina, oraz z jednej sali lekcyjnej. W sali, czyli w klasie, stoją dwa rzędy ławek. Od godziny 8-mej do 11-tej w jednym rzędzie siedzi klasa druga, a w drugim czwarta. Od 11-tej do 2-giej po południu w jednym pierwsza klasa w drugim trzecia. Gdy pan Michniewski objaśnia coś jednemu rzędowi to drugi ma zajęcia ciche. Do klasy pierwszej i drugiej można chodzić po jednym roku, ale do trzeciej i czwartej dzieci wiejskie chodzą obowiązkowo co najmniej po dwa lata.

Oprócz prowadzenia szkoły pan Michniewski ma jeszcze posadę organisty w miejscowym kościele i gdy wypadnie pogrzeb, albo chrzciny, to jest przerwa w lekcjach.

Gdy szedłem do pierwszej klasy dwa lata temu umiałem już płynnie czytać. Prawda że w szkole trochę nudziłem się.

Najbardziej lubiłem przerwy i różne zabawy. Na przykład w gonionego - gdy doganiałem dziewczyny zadzierałem im spódnice, a że nie używają wogóle majtek widać im było gołe pupy, białe albo czerwone, zależnie od tego czy było ciepło czy zimno na dworze.

Nie bardzo rozumiem co się Mamusi nie podoba w szkole pana Michniewskiego jeśli nie przemęczając się nauką, po dwóch latach umiem na pamięć wszystko od klasy pierwszej do czwartej.

Początek sierpnia 1939

Robi się bardzo niespokojnie i nerwowo. Stasiccy już wyjechali do siebie na Śląsk nie czekając na koniec wakacji.

Rodzice ciągle zamykają się w swoim pokoju i głośno rozmawiają, tak że przez drzwi wszystko słychać. Wogóle dorośli ciągle mówią o złym Hitlerze, o Gdańsku, o Korytarzu, o mobilizacji, o tym czy Anglicy na pewno pomogą Polsce w razie czego. Do wieczornego pacierza Mamusia kazała nam dodać prośbę do Matki Boskiej żeby nie było wojny.

Wiemy już, że Tatus' nie będzie powołany do wojska, gdyż ma od dziecka skrzywiony kręgosłup. W czasie pierwszej wojny światowej, służył co prawda w armii austriackiej, lecz tylko w oddziałach pomocniczych przy pilnowaniu rosyjskich jeńców w obozie.

Ale rodzice bardzo się boją wojny i wkroczenia Niemców. Kiedy dwa lata temu Tatus', z pełnomocnictwa Polskiego Rządu, przejmował od Hitlerowców schronisko na Babiej Górze pokłócił się z nimi o portret Hitlera i flagę ze sfastyką, których nie chcieli ze sobą zabrać. Grozili, że tu jeszcze wrócą i wtedy policzą się z nim i całą jego rodziną.

Wreszcie po długich rozważaniach, rodzice podjęli decyzję: My dzieci, z Mamą i Tosią, mamy wyjechać do ciotki Rojeckiej.

do Witkowa, gdyż tam na pewno Niemcy nie dojdą, poza tym jest miejsce w dużym domu. Tatus' musi zostać jako urzędnik państwowy na swoim posterunku, a w razie wybuchu wojny przyjedzie do nas.

Pakowanie trwa cztery dni. Do swoich dużych kufrow i walizek Mamusia układa wszystkie nasze ubrania, zwłaszcza zimowe, w tym również futro, buty, bieliznę i cywilne ubranie Tatusia. Zostają nakrycia stołowe i naczynia, większość pościeli, książki, wszystkie meble i sprzęt gospodarski. Tatus' twierdzi, że nie potrzebnie zabieramy tyle dobytku bo przecież gdy się uspokoi to wszystko trzeba będzie wrócić z powrotem, ale Mamusia jest uparta.

Wreszcie pakowanie jest skończone. Nie żegnamy się z nikim bo przecież wyjeżdżamy tylko na drugą połowę wakacji. Naszą bryczkę i wynajętą furmanką Tatus odwozi nas na stację w Chabówce. Jedziemy.

Druga połowa sierpnia 1939 r.

Już od kilku dni jesteśmy na miejscu u wujowstwa Rojeckich w Witkowie, który jest niewielkim miasteczkiem zamieszkałym chyba przez kilka tysięcy mieszkańców. Dokoła brukowanego rynku w brudnych i odrapanych kamieniczkach z licznymi sklepikami i warsztatami gnieździ się nieprawdopodobna ilość Żydów.

Prawie wszyscy mężczyźni noszą czarne ubrania i chałaty oraz okrągłe czapeczki lub kapelusze, mają brody i pejsy. Rozmawiają jakąś szybką i niezrozumiałą dla nas gwara. Wujek wyjaśnia nam, że każdy kto zna niemiecki może zrozumieć Żydów bez trudu bo przecież "kime hej" to nic innego jak niemieckie "komm hier", a "kojfte ma" to "kauf mich" i t.d.

Polaków w Witkowie nie jest wielu - głównie urzędnicy, policjanci, inteligencja; więcej polskich rodzin jest wśród okolicznych bogatych chłopów. Reszta to Rusini. W miasteczku jest kościół katolicki, cerkiew grekokatolicka i bóżnica.

Apteka wujka Bolka mieści się w dużym domu o siedmiu pokojach mieszkalnych z obszerną kuchnią. Wujowstwo od kilku lat składa pieniądze na wykupienie tego domu od właściciela - bogatego Żyda - ale jeszcze nie uskładali. Wujek oprócz sprzedawania lekarstw, które w większości sam produkuje, a nawet wymyśla, udziela różnych porad oraz pomocy lekarskiej, głównie biednym ludziom i okolicznym chłopom, których nie stać na prawdziwego doktora. Często zostawia aptekę pod opieką subiekta, a sam jedzie furmanką na wieś składać połamane kończyny, szyc rany lub przecinać wrzody i wydrubywać czyraki. Za te czynności nie bierze od nikogo pieniędzy, bo miejscowy lekarz podał by go do sądu, ale za to ma w okolicy niezliczoną ilość wdzięcznych przyjaciół, a do kuchni ciotki napływają kaczki, kury, gęsi, masło, jaja i t.p. czym oszczędna ciotka nie gardzi i co wobec naszego przyjazdu zaczyna mieć coraz większe znaczenie.

---- * ----

Wokół katolickiego kościoła i jego spraw skupia się liczna grupa polskich chłopców. Dołączamy z Jędrkiem do nich. Szczytem honoru jest służenie do mszy, ale ja dopiero zacząłem uczyć się ministrantury. Na razie prześcigamy się pomagając panu kościelnemu w dzwonieniu na nieszpory, Anioł Pański, gaszeniu i zapalaniu świec, porządkowaniu kościoła i zakrystii.

Gdy rusza katolicki kondukt pogrzebowy to grupa naszych chłopców harcuje na jego obrzeżach. Gdy dopadniemy jakiegoś małego żydowina, który nie zdążył na czas zejść z drogi, strącamy mu jarmużeczkę z okrzykami "czapkę z głowy parchu gdy krzyż niosą". Czasem obrywa dodatkowo po szyi, albo kopniaka w podarte porcięta. Mamy doskonałą zabawę oraz głębokie przekonanie, że walczymy o zwycięstwo wiary katolickiej. Starsi Żydzi nie reagują na nasze wyczyny, udając że ich nie widzą.

Czasem tylko młody Żyd pan Szymon, który nie nosi chałatu, lecz marynarkę i kaszkiet, przytrzymuje któregoś z nas za rękę i tłumaczy spokojnie, że źle robimy, gdyż Żydzi mają swoją wiarę i nie muszą klaniać się krzyżowi. Śmiejemy mu się w twarz i robimy swoje dalej.

4 Września 1939 r.

Tak wiele się w ostatnich dniach wydarzyło, że aż trudno to po kolei zapisać.

Rząd Polski ogłosił mobilizację, a zaraz następnego dnia 1 września wojska Hitlera przekroczyły granicę Polski. W tym samym dniu przyjechali Stasiccy swoim samochodem i też ulokowali się na jakiś czas u wujostwa Rojeckich, gdyż swoje mieszkanie na Śląsku opuścili w obawie przed wkroczeniem Niemców.

Pierwszego września poszedłem pierwszy raz do nowej dla mnie szkoły, do trzeciej klasy. Moja klasa zajmuje samą całą salę i ma osobnego młodego nauczyciela pana Jana.

W ostatnich dniach do apteki wujka przychodzą różni znajomi panowie, czytają gazety które informują że polskie wojsko, szczególnie kawaleria, bije się dzielnie. Gdy dzisiaj gazety i radio doniosły o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Anglię i Francję radość była ogólna i wszyscy twierdzą że wojna już długo nie potrwa, a wojska Hitlera będą lada dzień rozbite. Mamusia z ciotką Ireną omawiają termin powrotu do naszych domów. Tosia, która bez przerwy płacze od tygodnia, przestała się wreszcie mazać odzyskując nadzieję na wyjazd do swych rodziców w Jordanowie.

Połowa września 1939 r.

Jest znowu coraz smutniej. Dorośli już otwarcie przy nas dzieciach rozmawiają o swoich zmartwieniach. Wojna trwa i Niemcy posuwają się do przodu. Oblegli już podobno Warszawę. Naszego Tatusia wciąż nie ma, ani żadnej wiadomości o nim. Obaj wujkowie Bolek i Boniu na polecenie policjanta kopali przez dwa dni głęboki schron w ogrodzie, przykryli go deskami i darnią. Ziemia w ogrodzie jest piaszczysta i schron się zawalił. Przez Witków przechodzą z przerwami rozproszone oddziały polskiego wojska. Smutni żołnierze w zielonych płaszczach jadą na koniach lub w skrzyniach, na stopniach i szerokich błotnikach ciężarowych samochodów. Wiozą rannych.

Coraz trudniej jest kupić żywność. Zwłaszcza pieczywo i wędlinę. Zniknęły zupełnie papierosy. Zrozpaczona ciotka Irena próbuje palić liście z dzikiego wina.

Podobno Niemcy są pod Lwowem, ale nikt nie wie nic pewnego.

Koniec września 1939 r

Od tygodnia w miasteczku nie ma żadnej władzy. Burmistrz zamknął swój urząd, a policjanci poznikali. Podobno na wioskach rozzuchwaleni Rusini zaczynają rabować polskie rodziny. Wiadomo już że Sowietci wkroczyli do Polski od swojej strony.

Dopiero wczoraj przed południem na rynek Witkowa wjechał samotnie otwarty wojskowy samochód sowiecki na którym była czerwona szmaciana flaga, a w nim siedziało pięciu czerwono-armistów w takich śmiesznych koszulach wypuszczonych na wierzch spodni i przepasanych zielonymi parcianymi paskami.

Przez godzinę klaksonem i dzwonem cerkiewnym zwoływali ludzi na zebranie.

Poszedłem z obydwojoma wujkami.

Gdy ludzie się zebrali jeden z wojskowych stanął na samochodzie i zaczął przemawiać, a tłumacz tłumaczył na polski:

- że Polska przegrała wojnę, a rząd polski uciekł pozostawiając ludność na pastwę losu;

- że Państwo Polskie już nie istnieje;

- że Armia Czerwona została upoważniona do wzięcia pod opiekę życia i mienia ludności Zachodniej Ukrainy;

-że musi być porządek, a kradzieże, rozboje i spekulacja
będą karane;
-że do czasu wyboru i ustanowienia nowych władz porządku
będzie pilnowała powołana dzisiaj miejscowa milicja.

Następnie wyznaczyli, spośród zebranych, kilku
mężczyzn, wśród których był i nasz znajomy pan
Szymon, wydali im karabiny i czerwone opaski na
ręce, kazali zająć pomieszczenie gdzie był dotychczas
posterunek policji, zdjęli orła ze ściany, przywiązali do
ganku przywiezioną czerwoną flagę i odjechali. Wszystko
trwało nie dłużej niż godzinę.

Dzisiaj natomiast wydarzyła się kolejna przedziwna
historia. Gdy poszedłem rano do szkoły okazało się że nasz
nauczyciel nie nazywa się już Jan lecz Iwan i że wogóle
zapomniał mówić po polsku, a umie tylko po
ukraińsku. Ponieważ nie mieliśmy zeszytów do języka
ukraińskiego, które trzeba przynieść na jutro, uczyliśmy
się przez dwie godziny ukraińskiej piosenki.

Tam u lisi mały dity
Tam sbyrały swarne cwity
I zabawu tam robyły
I zajczyka społoszyły
U lis zajczyk umykaje
I łapkami pidkidaje
Szoby my tak łapki mały
My takóż tak utikały

---- * ----

Wieczorem wielka radość. Zjawił się nasz Tatuś. Przyszedł tylko w marynarce, pumpach i podartych półbutach, z prochowcem, bez żadnego bagażu.

Okazało się, że pierwszego września poszedł jak zwykle do kancelarii, gdy zadzwonił naczelnik poczty z Zubrzycy Dolnej, że widzi już czołgi niemieckie we wsi. Tatuś wziął wówczas przygotowany wcześniej plecak zawierający 20 kg papierów urzędowych, uznanych za tajne i poufne i nie wstępując nawet do naszego mieszkania aby je zamknąć, wyruszył pieszo przez przełęcz Krowiarki na Zawoję. Następnie wędrował pieszo i okazjami do Radomia gdzie mieściła się Dyrekcja Lasów Państwowych. Tam zastał ogólny bałagan, papiery które przyniósł zostały spalone i wówczas dopiero rozpoczął, przeważnie pieszo, wędrówkę do nas.

Wszyscy dziękujemy Bogu, że jesteśmy znowu razem ale co będzie dalej ?

Pazdziernik 1939 .

Już dwa miesiące jesteśmy u Rojeckich. Jest coraz gorzej Rodzice moi i Tadzika są ciągle zmartwieni i kłóć się bo nie wiedzą co robić.

W dodatku apteka jest zamknięta bo wujek Bolek zniknął. Pewnego dnia pojechał na jakąś wioskę do chorego i wtedy przyszło dwóch miejscowych milicjantów, z jakimś czerwonoarmistą i pytali o niego. Teraz już wiadomo że

bolszewicy poszukują i zatrzymują wszystkich którzy, jak wujek, są oficerami rezerwy, a nie byli zmobilizowani we wrześniu. Ciotka wszystkim opowiada, że nie wie gdzie jest mąż, ale moi rodzice przypuszczają, że został ostrzeżony i ukrywa się gdzieś na wsiach u swoich przyjaciół chłopów. Tak pewnie jest. Jak to dobrze że ani mój Tato ani wujek Boniu nie są oficerami rezerwy bo też musieli by zniknąć.

Listopad 1939

Wujek Boniu wybrał się do Lwowa na zwiady. Wrócił zadowolony. Znalazł jakiś kąt u znajomych dla siebie, ciotki i Tadzika. Ma możliwość pracy jako motorniczy tramwaju. Twierdzi, że we Lwowie działa większość urzędów, fabryk, szkół i warsztatów, że całe życie miasta staje się normalniejsze choć na bolszewicką modłę. Mówi że Dykcja Lasów w której przed 1935 r mój Tato pracował, też przywraca swoje działanie. Za tydzień Stasiccy wyjeżdżają. Jestem niepokieszony - tak bardzo zżyłem się z Tadzikiem.

Grudzień 1939 r.

My też od tygodnia jesteśmy już we Lwowie. Przyjechaliśmy saniami 80 kilometrów w trzaskający mroz. Tatuś dostał pracę w Dyrekcji Lasów, gdzie odnalazł niektórych dawnych kolegów. Zvolniło się też mieszkanie w jego dawnej kamienicy, malutkie co prawda, ale z naszymi rzeczami pomieściliśmy się. Mama jest zadowolona, mówi, że Pan Bóg czuwa nad nami i jakoś tu przeczekamy, aż będziemy mogli wrócić do Zubrzycy.

Okazało się, że we Lwowie jest również ciotka Halina Antoniewicz z mężem oraz brat Mamy wujek Tadzio Lachowicz.

W mieście jest dużo rosyjskiego wojska, a na Błoniach stoją dziesiątki czołgów. Czerwonoarmiści tak śmiesznie maszerują oddziałami z trzech rzędów o ściśniętych szeregach śpiewając głośno prawie zawsze tę samą, niezrozumiałą piosenkę z wykrzykiwanymi wyrazami "kipuczaja! moguczaja!"

W sklepach jest chleb, mąka, cukier i olej, ale trzeba po wszystko stać w kolejkach.

Mama zdecydowała, że nie będę chodził do ruskiej szkoły lecz do ciotki Haliny, która będąc profesorem gimnazjalnym, chwilowo bez pracy, może przerobić ze mną program trzeciej klasy. Od nowego roku mam zacząć tę naukę. Na razie dużo czasu spędzam z Tadzikiem i naszym rówieśnikiem Witkiem, synem przyjaciół jego rodziców.

Luty 1940

Na "tajne" lekcje do ciotki Haliny chodziłem prawie cały styczeń do czasu, aż idącego z książkami schowanymi pod paskiem od spodni, zaczepił mnie na ulicy rosyjski żołnierz. O coś mnie zapytał, zdaje się o to czemu nie jestem w szkole tylko błąkam się po ulicach - ale nauczony przez Mamę i ciotkę odpowiadałem mu tylko w kołko "nie ponimaju", aż dał mi spokój.

Gdy opowiedziałem o tym rodzicom i ciotce postanowili, po naradzie, że ta forma nauki jest zbyt ryzykowna i trzeba z niej zrezygnować.

Siedzę teraz przeważnie w domu, czytam bardzo dużo książek, a za kieszonkowe, które dostaję od Tatusia z jego pensji, jeżdżę tramwajami od jednego końca trasy na drugi i zwiedzam Lwów.

Dzisiaj Tatuś przyniósł z biura zaskyszaną wiadomość, że bardzo wielu leśników z podległych Dyrekcji nadleśnictw, głównie leśniczych i gajowych, zostało przez NKWD zabranych i wraz z rodzinami wywiezionych do Rosji. W samym Lwowie coraz więcej mówi się również o aresztowaniach. Ze znajomych został aresztowany ojciec naszego przyjaciela Witka.

Maj 1940

Rozpoczęła działanie specjalna komisja mieszana niemiecko-bolszewicka która spisuje wszystkich uchodźców z województw centralnej i zachodniej Polski którzy uciekając przed frontem znaleźli się we Lwowie. Kto się zgłosi i zarejestruje otrzyma zgodę na powrót do miejsca dawnego zamieszkania, a pozostali uchodźcy podobnie jak mieszkańcy Lwowa otrzymają przymusowo obywatelstwo sowieckie. Trzeba się zdecydować.

Stasiccy dowiedzieli się o całej sprawie pierwsi i zdecydowali się od razu. Znaleźli się w pierwszej załatwianej grupie, zgłosili chęć wyjazdu do Krakowa, gdzie mieszka matka wujka Bonia, zapisali ze swoją rodziną naszą Tosię, wiedząc jakie mamy z nią zmartwienie i mają już dokumenty wraz z zezwoleniem na wyjazd. Wyjeżdżają za tydzień.

Moi rodzice wahają się kilka dni bojąc się Niemców i powrotu do Zubrzycy. Wreszcie decyzja zapada - zgłaszamy się !

Kolejka przed lokalem w którym urzęduje komisja jest już tymczasem ogromna. Stoimy w niej na przemian Tato, Mama i ja przez dwie doby. Kiedy wreszcie dostajemy się do środka, a Tatusz wypełnia i składa odpowiednie formularze, dowiadujemy się że zezwolenia na wyjazd na razie nie będą wydawane, lecz w przyszłości, stopniowo, partiami i że należy czekać na powiadomienie.

---- * ----

Witek razem ze swoją mamą został jeszcze w kwietniu wywieziony do Rosji. Jego tatuś się nie odnalazł. Teraz przyszedł do ciotki Ireny rozpaczliwy list od jego mamy z jakiegoś Kazachstanu. Witek zmarł na jakąś straszną chorobę i z braku wody, zaraz po przyjeździe. Jego mama została teraz sama, pisze że tego nie przeżyje i żegna się z przyjaciółmi.

Mamusia z ciocią Ireną szlochały nad tym listem.

Koniec maja 1940

Stasiccy z Tosią już wyjechali do Krakowa. Mieszana komisja niemiecko-rosyjska po zakończeniu rejestrowania uchodźców przerwała swoją działalność i teraz nie ma się nawet od kogo dowiedzieć kto i kiedy będzie wydawał dokumenty i zezwolenia na wyjazd. Rodzice coraz bardziej się boją, a Mamusia coraz dłużej modli się wieczorami.

Czasem o dziwnych porach odwiedza nas wujek Tadzio. Mówi, że się ukrywa zmieniając co parę tygodni mieszkania ze strachu przed aresztowaniem.

Czerwiec 1940

dzien? Zapukali do naszego mieszkania wcześnie rano. Weszło ich trzech w mundurach i jeden w ubraniu cywilnym. Ciężarówka stała przed kamienicą.

Powiedzieli, że będziemy przesiedleni na inny teren Związku Radzieckiego i mamy się w ciągu godziny spakować. Mamusia spokojnie nas obudziła, umyła, dokładnie ubrała i posadziła do śniadania. Tatus' wdał się z cywilem w wyjaśnienia, że została popełniona jakaś pomyłka, gdyż jesteśmy zarejestrowani w komisji mieszanej i lada dzień spodziewamy się zezwolenia na wyjazd. Cywil się na to dziwnie uśmiechnął i kazał przyspieszyć pakowanie. Wyznaczona godzina upływała. Mamusia mimo krzyków NKWD-zistów przedłużyła ją o dalsze kilkadziesiąt minut. Wreszcie prowizoryczne pakunki były gotowe i ulokowaliśmy się z nimi w ciężarówce. W drodze na dworzec zabierano jeszcze jedną rodzinę, tak że kiedy podwieziono nas do toru na którym stał "eszelon" była już późna godzina i okazało się, że wagony są pełne, zamknięte i zaplombowane, dokumenty przekazane konwojowi, a my pojedziemy następnym transportem.

Chyba nasi "opiekunowie" dostali jakieś wymówki za spóźnienie bo byli wściekli i odwożąc nas do domów zapowiedzieli że następnym razem czasu na pakowanie nie będzie wcale.

Wieczorem przybiegł do nas wujek Tadzio. Zaklinał Mamę na wszystko aby zmienić mieszkanie o które on się postara, i tym sposobem uniknąć wywózki. Mama jednak była nieugięta. Zdajemy się na wole Boską. I na tym stanęło.

Tatus' wybrał się nazajutrz do ciotki Haliny, aby powiadomić ją o naszym losie i wrócił przygnębiony z wiadomością, że zabrano ich i wywieziono tego samego ranka co nas i prawdopodobnie tym samym transportem na który myśmy się spóźnili.

Przez kilka następnych dni Mamusia systematycznie przygotowywała się do wywozki. Kompletowała i naprawiała wszystkie ubrania i bieliznę układając je w kufrach przywiezionych z Zubrzycy. Za sprzedany pierścionek kupowała żywność, jakieś konserwy, masło topione do blaszanego wiaderka, chleb suszony w pośpiechu na suchary, cukier, jakąś kaszę...

Kiedy po paru dniach przyjechali znowu po nas inni NKWD-ziści byli zdziwieni, że jesteśmy już spakowani i nawet nie kwestionowali ilości i wielkości pakunków.

30 czerwca 1940

Pociąg czyli "eszelon" przeznaczony do wywozki ludzi stoi na bocznym torze i składa się z kilkunastu drewnianych krytych wagonów, takich do przewozu bydła. Okienka są w nich malutkie i zaciągnięte kolczastym drutem. W połowie wysokości prawej i lewej części wagonu zbudowane są pomosty - takie półki, czyli "nary" do leżenia, na których lokuje się rodziny z małymi dziećmi. Pozostali upychani są na dole, pod półkami, do oporu - ile wejdzie. Do naszego wagonu "wchodzi" około 35 osób z bagażami.

Na środku wagonu jest okrągły blaszany piecyk z rurą wychodzącą przez dach i nie wielką dziurą wyciętą w podłodze. Nasz transport stoi już całą dobę, gdyż czeka na dopełnienie.

Dotychczas załadowany jest w połowie, przez lwowskich biednych Żydów, takich samych jakich znamy z Witkowa, w pozostałej części przez ludzi różnych zawodów głównie uchodźców porejestrowanych przez "komisje mieszaną". Jest jeszcze kilka wolnych wagonów do których właśnie dowożone są w ciągu dnia rodziny chłopskie, rzemieślnicze i urzędnicze z okolicy - Polacy i Ukraińcy.

Panowie z naszego wagonu przystosowują go do podróży zawieszając u sufitu parawan wokół otworu w podłodze, przy którym stawiają kubelek i stare krzesło z wyciętym siedzeniem. "Sedes jak ta lala" - żartują. Bo nastroje są różne. Mój Tato na przykład z zapalem przystąpił do studiowania zabranych "Rozmówek polsko-rosyjskich" i nie może wyjść z podziwu, że "sliwki" po rosyjsku oznaczają słodką śmietankę.

Przed wieczorem zdażono jeszcze zdobyć kilka wiader wody.

O zmroku konwojenci policzyli ludzi w wagonie i zadrutowali go od zewnątrz. Zrobiło się naraz ciemno i strasznie. Zaczął się pracz i głośnie modlitwy.

Późno w nocy poczuliśmy że jedziemy.

Lipiec 1940

Wiozą nas już ponad trzy tygodnie. Większość tego czasu to wielogodzinne postoje na bocznych torach. Całe szczęście że pogoda nie jest zbyt upalna, a na postojach konwojenci pozwalają czasem otworzyć drzwi. Raz na dobę, ale nie regularnie, do wagonu

jest podawany prowiant, czyli "pajok"-bochenki czarnego jak ziemia chleba, czasem zimna, sypka kasza jaglana lub jakaś polewka.

W pierwszych dniach podróży, kiedy większość ludzi miała jeszcze własne zapasy żywności - przydzielony prowiant lekceważono rozdając go przeważnie gromadom obdartych, głodnych i zebrzących rosyjskich dzieci, które otaczały nasz pociąg na postojach mimo krzyków konwojentów.

Teraz sytuacja się zmieniała. Cała dostarczana do wagonu żywność jest skrupulatnie dzielona na poszczególne rodziny przez specjalną, powołaną komisję. Szczególnie cenna staje się strawa gotowana, którą po rozwodnieniu i podgrzaniu na piecyku obdziela się głównie małe dzieci i staruszków. Biedna jest nasza mała Ewunia, ale nie płacze.

Wszystkich najbardziej nurtuje pytanie dokąd nas wiozą? Zapytywani konwojenci niezmiennie odpowiadają, że "w Moskwu".

Nikt jak się okazuje nie zabrał mapy, a nazwy mijanych miejscowości niewiele mówią.

30 lipca 1940

Okazało się, że ironiczne odpowiedzi konwojentów potwierdziły się, przynajmniej częściowo. Trzy dni temu mineliśmy Moskwę. Przedwczoraj Jarosław, wczoraj Wołogdę - jedziemy wprost na północ. Prędkość podróży się zwiększyła. Dzisiaj koła wagonów stukały całą noc - jakże zaskakujące czekało nas jednak przebudzenie!

Rano stwierdziliśmy że stoimy, lecz w koło panuje martwa cisza. Drzwi były od zewnątrz otwarte, a po wyjściu okazało się, że naszych pięć wagonów bez lokomotywy, odczepionych, jak widać, od pociągu, stoi na torze przy dużej pustej polanie otoczonej ze wszystkich stron gęstym i starym lasem. Konwojenci zniknęli bez śladu.

Co nas czeka?

31 lipca 1939⁴⁰ r.

Minęła już doba i nic się nie dzieje. Polana jest pusta i żywego ducha nigdzie nie widać. Prawie wszystkim skończyło się jedzenie i nie ma wody do picia. Mężczyźni zapuszczają się w las w jej poszukiwaniu. Nigdzie nie ma strumienia ani rzeczki.

Z końca polany w głąb lasu prowadzi dziwna droga. Zbudowana z grubych drągów ułożonych szczelnie jeden przy drugim na legarach, ^{wzdłuż} poprzecznie do jej kierunku, unieruchomionych dodatkowo długimi żerdziami przybitymi po bokach. Tatus mówi, że takie

drogi nazywają się dylówki i że podobne buduje się w Polsce na Polesiu i w bagnistych częściach lasów. Po bokach drogi są wykopane głębokie rowy w których stoi brązowo-zielonkawa, mętna woda zmaczona torfem i wodorostami. Pijemy ją.

---- * ----

Około godziny dziesiątej nareszcie pokazują się ludzie.

Drogą na polanę wyjeżdża ponad dwadzieścia "furmanek", jeśli można je tak nazwać.

Właściwy "pojazd" nie ma kół, lecz składa się po prostu z dwóch długich dyszli, grubszych i lekko zakrzywionych u dołu, połączonych poprzecznymi drążkami, na których z desek zrobiony jest pomościk wielkości metr na półtora, na którym lokuje się ładunek. Konia zaprzęga się między cieńsze końce dyszli łącząc je drewnianym pałakiem tak zwaną "dugą", którą równocześnie mocuje dyszle do konskiego chomąta. Furman z koniem i tymi podwieszonymi sankami tworzą razem "podwodę".

Mężczyźni kierujący podwodami są, jak się okazuje, okolicznymi, miejscowymi chłopami, którzy z nakazu władzy mają przewieźć przesiedleńców na miejsce osiedlenia, czyli w naszym przypadku do odległego o 25 km posiołka. Nie ma z przybyłymi żadnego konwojenta, ani wojskowego - nikt nie ucieknie bo zginie w tajdze - mówią.

Ci z naszych ludzi którzy lepiej znają język ukraiński dogadują się z nimi bez trudu.

Okazuje się że na przybyłe podwody zmieści się dobytek nie spełna połowy naszych rodzin; pozostali muszą czekać o głódzie do jutra. Po krótkim zamieszaniu zapada decyzja, że "ładują się"

w kolejności rodziny mające najmniejsze dzieci. Dzięki naszej Ewuni trafiamy do pierwszej grupy.

Gdy toboły i pakunki są już powiązane na podwodach, grupa rusza. Każda rodzina kroczy za swoją podwodą. Pojazdy ślizgając się króciutkimi płożami podskakują na każdym drągu dylówki. Małe dzieci posadzone lub położone na tobołach drą się albo spadają. Trzeba je nieść lub wiązać nie bacząc na krzyk - aż omdleją. Nasza Ewunia jest mądra i dzielna. Rozumie że jest za duża aby ją nieść, a za mała aby iść. Wgramoliła się więc o własnych siłach na toboł z pościelą, wczepiła łapkami w mocujący sznur i bez płaczu znosi trzęsienie. Była bardzo głodna bo od wczoraj nie było już nic, ale nasz "mużyk" gdy posilał się wyjętym ze szmacianej torby razowym pierogiem z kartoflami - ułamał jej kawałek i teraz jest jej lepiej. Chyba usnie. Mama przywiązuje ją szalikiem, aby nie spadła.

Wąż podwód i ludzi rozciąga się na kilkaset metrów. Postoje są częste. Nie wszyscy mogą nadażyć, zwłaszcza stare i grube Żydówki na spuchniętych nogach. Niektóre głośno zawodzą i lamentują. Upał doskwiera.

Droga prowadzi przez niewielką wioskę. Jest prawdziwa studnia. Dłuższy postój. Każdy chce napić się do syta. Wylegają miejscowi ludzie aby nas obejrzeć. Patrzą na nas bardzo dziwnie - bez nienawiści, ale i bez współczucia i bez uśmiechu - jak na przedmioty. Nawet dzieci nie uśmiechają się do nas.

Zbliża się krótka noc, a przebyliśmy niewiele ponad połowę drogi. Nasi woźnice są źli. Złorzeczając między sobą na naszą ślamazarność, coraz częściej wykrzykują niezrozumiałe wyrazy:

"job ich mat".

Zapada krótka tutaj lipcowa noc. Trzeba zatrzymać się na popasienie koni. Robi się chłodniej. Niewyobrażalne ilości komarów i drobnych muszek dosłownie oblepiają twarz, ręce i każdą odsłoniętą część ciała. Nie czuje się poszczególnych ukąszeń. Po prostu cała skóra pali żywym ogniem.

Woznice siedzą przy ogniskach. Nasi ludzie nie mają siły ani doświadczenia jak je rozpalić. Spimy w kucki oparci o toboły.

Tak straszliwie chce się jeść !

Budzimy się zmarznięci, spuchnięci od komarów i osłabli z głodu. Ruszamy. Godziny płyną szybko, a drogi ubywa powoli.

Nareszcie, koło południa, las przed nami przerzedza się.

Jeszcze ostatni kilometr i jesteśmy u celu naszej podróży:

duża polana na której stoi sześć szarych ze starości baraków

i dwa małe drewniane domki.

Całość otoczona jest szczątkami palisadowego drewnianego płotu

z przechylonymi i zniszczonymi już narożnymi wieżyczkami.

Wyłamana brama nie broni już wstępu na teren tej

osady, która

jest właśnie miejscem naszego osiedlenia-Posiołkiem nr.4.

II. POSIOŁEK NR.4

1 sierpnia 1940

Gdy podwoły zatrzymały się przed środkowym barakiem z małego domku wyszedł do nas dziwny człowiek w mundurze NKWD-zisty w wysokich butach i naganem przy pasie - jak się okazało komendant posiołka Bażukow. Jest on niski, ale bardzo szeroki w ramionach i jakos' podwójnie garbaty - do tyłu i do przodu, zupełnie kwadratowy. Okazuje się że całkiem nie umie rozmawiać tylko ryczy.

Wyryczał, cośmy zrozumieli, że teraz pod kierunkiem dwóch dziesiętników mamy się rozlokować po kwaterach, a za dwie godziny wszyscy dorośli i dzieci w wieku szkolnym muszą przyjść w to samo miejsce na zebranie.

---- * ----

V Baraki są bardzo stare. Tatuś mówi że mają ponad 50 lat. Zbudowane są z grubych - 50 - 60 cm - nieciosanych bierwion. Szczeliny między bierwionami pozapychane są ubitym mchem. Dachy pokryte szerokimi deskami. Przez środek każdego baraku biegnie korytarz z którego obu stron są wejścia do osobnych izb - mniejszych przeznaczonych dla rodzin i większych do zakwaterowania zbiorowego osób samotnych.

Otrzymujemy narożną izbę w środkowym baraku. Ma ona wielkość 4 na 5 metrów. Pod jedną ścianą jest bardzo szeroka prycza na której mieści się na leżąc cała nasza pięcioosobowa rodzina, pod druga jest blat stołowy, z nieheblowanych desek, ustawiony na dwóch kozłach, a obok gruby bal, na dwóch pniakach, jako ławka. Pieca grzewczego nie ma tylko żeliwna płyta

na podmurówce z ujściem do komina. Jedyne okno z pojedynczymi szybami nie jest przystosowane do otwierania.

Poza barakiem na dworze jest latryna. Zbiorowa. Długi rów z żerdzią do siedzenia obudowany osłoną i daszkiem z desek.

----- * -----

Na zebranie idziemy we dwóch z Tatusiem. Bażukow stoi na odwróconej skrzyni i pyta kto rozumie po rosyjsku, żeby tłumaczyć. Zgłasza się Ukrainiec Warawa, też garbaty, ale tylko z jednej strony - z tyłu. To rozwściecza komendanta - myśli że chcemy go parodiować. Oczy i twarz robią mu się czerwone i wyrykuje swoje przemówienie:

- że nie jesteśmy skazanymi z wyroku, tylko "spec-przesiedleńcami", a więc ludźmi wolnymi zobowiązanymi do zamieszkania w wyznaczonym przez władzę radziecką miejscu, ~~ale za to~~ całymi rodzinami, ~~razem;~~
- że możemy się poruszać swobodnie po Posiołku, a nawet do lasu na grzyby czy jagody, ale tylko między szóstą rano, a szóstą wieczorem, po której to godzinie wszyscy mieszkańcy baraku muszą być na miejscu, za co, własną wolnością, będą odpowiadali starostowie, jeśli nie zgłoszą nieobecności;
- że stare ogrodzenie posiołka i wieże zostaną rozebrane na opał;
- że ucieczek lepiej nie próbować, bo każdy uciekinier po pierwsze zabłądzi w tajdze, utopi się w bagnach lub zginie z głodu lub od komarów, a po drugie jeśli dostanie się nawet do kolei to i tak bez dokumentów i "putiowki" zostanie zaraz złapany i pójdzie pod sąd;

- że o szóstej godzinie rano wszyscy mieszkańcy baraku muszą być ubrani i ustawić się w korytarzu do przeliczenia, tak samo jak wieczorem;

- że po szóstej rano codziennie za wyjątkiem niedziel wszyscy zdolni udawać się będą do pracy, a dzieci do szkoły, która będzie utworzona;

- że do szóstej rano izby muszą być posprzątane, podłogi wymyte, a prycze pościelone.

Ci co nie idą do pracy ani do szkoły mają się zajmować zajęciami domowymi. Nie wolno w dzień wylegiwać się na pryczach bo od tego lęgną się wszy i choroby;-

- że rodziny muszą same troszczyć się o swoje wyżywienie, ponieważ za wykonaną pracę, jako ludzie wolni, będą otrzymywali godziwą wynagrodzenie. Im więcej ludzi będzie pracowało z rodziny tym łatwiej będzie przeżyć. Zresztą on, komendant ustali w najbliższym czasie kto ma obowiązkowo chodzić do pracy. Nie ma żadnego powodu żeby mężczyźni od lat 16 do 65 oraz kobiety od 18 do 60-ciu nie pracowały - chyba że mają dzieci do lat trzech. Przecież z braku pracy ludzie tylko głupieją, albo zajmują się spekulacją;

- że za pieniądze zarobione lub posiadane możemy sobie na miejscu w posiołkowym sklepie kupować różne towary i produkty i choć na razie jest w nim tylko czarny chleb, sól, machorka i nafta, to zaopatrzenie się poprawi;

- że niedługo będzie otworzona stołówka w której osoby samotne oraz inni chętni będą mogli kupować różne smaczne potrawy;

- że każdy powinien czuć się wolnym, chyba że zechce świadomie

szkodzić radzieckiej gospodarce, szerzyć wrogą propagandę lub uchylać się od pracy, to wtedy odczuje karzącą rękę dyktatury proletariatu.

Nie rozumiem co oznaczają te dwa ostatnie słowa.

Początek sierpnia 1940

Następnego dnia po zebraniu Bażukow chodził po barakach, sprawdzał ewidencję przesiedleńców i ustalał imienne listy zobowiązanych do pracy, zgodnie z zasadami które określił poprzedniego dnia. Gdy wszedł do naszej izby zaryczał do Tatusia: "ty Groblewski jesteś według dokumentów najbardziej gramotny z całego baraku, więc wyznaczam cię na starostę. Będziesz codziennie o szóstej rano i wieczorem sprawdzał obecność mieszkańców i zgłaszał mi kogo brakuje, kto się urodził i kto umarł. Zrozumiałeś!? No i w porządku". Potem rozważał głośno czy Mamusia będzie chodziła do pracy "bo przecież córka ma prawie trzy lata" ale gdy mu pokazała czerwoną i opuchniętą jeszcze po podróży nogę - ustąpił.

---- * ----

Minął jeszcze dzień i Bażukow zwołał zebranie wszystkich wyznaczonych do pracy. Ludzie wychodzili ubrani przeważnie po miejsku w to co nosili we Lwowie. W letnich ubraniach, marynarkach, pumpach, chałatach, prochowcach, w kaszkietach, jarmułkach, beretach, kapeluszach, półbutach, sandałach, a kobiety

w lekkich, krótszych lub dłuższych czarnych sukienkach (Żydówki) niektóre na podwyższonych obcasach. Cała kilkudziesięcioosobowa grupa, na tle baraków i otaczającego lasu wyglądała bardziej na przebierańców z maskarady niż przyszłych drwali.

Gdy już wszyscy się zebrali Bażukow w towarzystwie kilku nieznajomych mężczyzn poprowadzili całą grupę "oglądać tajgę".

na wsch. od
stacji
Wandy
na półn. od
konoszy
Polana na której stoją baraki Posiołka ma kilkaset metrów szerokości. Jej krajem od strony zachodniej płynie nieszeroka latem rzeczka Podjuga, a za nią zaczyna się stara, nie cięta jeszcze nigdy, tajga. Przeważają w niej świerki, niektóre bardzo stare wygnile w środku o średnicy przekraczającej nawet półtora metra. Dużo jest dorodnych sosen poza tym cieńsze od nich brzozy i osiki. Pod starym lasem zarośla dzikiej porzeczki, jarzębiny i maliny oraz wyrócone przez wiatry i ze starości gnijące drzewa, tworzą płataninę i gąszcz trudny miejscami do przebycia.

Na brzeg tej tajgi przyprowadził Bażukow całą grupę przesiedleńców i przemówił tym razem krócej:

- że większość obecnych, gdy mieszkała w Polsce, to nie zajmowała się uczciwą pracą tylko spekulacją, albo wysługiwała burżuazji i kapitalistom wyzyskującym klasę robotniczą;
- że tu nauczają się prawdziwej pracy jako "lesoruby" konoszewskiego Lespromchozu;
- że pracy ich nauczają i będą nią kierowali naczelnik "Lesouczaśka" i kilku dziesiętników (których przedstawił);
- że za pracę otrzymają wynagrodzenie według wydajności;

-że stachanowcy, którzy wykonają i przekroczą normy zarobią dużo i będą żyli syto jak ludzie radzieccy;
-że leniwi i niewydajni robotnicy mogą mieć pretensje tylko do siebie, gdyż obowiązuje generalna leninowska zasada "kto nie pracuje ten nie je".

Wydawało się, że nie wszyscy wierzyli w to co mówił Bażukow.

Następnie dokonano podziału zebranych na 6-10 osobowe brygady robocze.

Do pierwszych dwóch brygad dobrano młodych i silnych mężczyzn którzy mieli już do czynienia z piłą i siekierą. W kolejnych brygadach znaleźli się sprawni również mężczyźni, ale nie obeznani z pracą w lesie. W ostatnich natomiast starzy Żydzi i kobiety.

Na zakończenie zapowiedziano, że praca rozpocznie się za dwa dni, a do tego czasu należy sobie przygotować odzież roboczą, gdyż "fufajki" i rękawice będą wydawane dopiero przed zimą, a walonki każdy sobie kupi za zarobione pieniądze.

---- * ----

Jednym z "dziesiętników" jest Polak, pan Gonet, też leśnik, który zapoznał się z Tatusiem, przyszedł do nas po południu i opowiedział wiele ciekawych rzeczy. Otóż dwadzieścia kilometrów od naszego jest drugi "polski" posiołek zasiedlony przez Polaków przywiezionych w początku marca. Przeważnie to leśnicy, osadnicy rolni, chłopci polscy i bogatsi ukraińscy. Ci którzy nie zmarli w transporcie w lutym, w większości żyją. Praca przy wyrębie lasu jest ciężka, ale kto ją zna może

zarobić na chleb. Teraz wybrano spośród nich kilkudziesięciu ludzi znających rzemiosła budowlane i prace leśne, którzy będą zakwaterowani na naszym Posiołku i zajmą się jego rozbudową. Ma powstać szybko piekarnia, "bania" czyli łaźnia zbiorowa i stajnie dla koni.

Mówił że można pisać w swoje rodzinne strony. Listy naogół dochodzą, a nawet przesyłane tutaj paczki i pieniądze. U okolicznych chłopów rosyjskich można wymieniać odzież na żywność - ziemniaki, mleko, jajka. Ale drą straszliwie. Pierścionki biorą niechętnie, wolą zegarki.

Informacje pana Goneta podniosły nas trochę na duchu.

---- * ----

Po kilku dniach otwarto stołówkę. W jednej izbie jest kuchnia, w drugiej stoły z ławami. Jadłospis w dniu otwarcia obejmuje dwie potrawy. "Szczci", czyli kapuśniak i kasza. Niektórych to śmieszy "Panie Abram ile razy dziennie pan robi "szczci"? - Jak ciepło, to co dwie godziny, a jak zimno co kwadrans - ha, ha, ha"!

Większość osiedleńców ma jeszcze pieniądze przywiezione ze sobą. Kupują w sklepiu czarny chleb, który kosztuje 1 rubla kilogram, czasem dostarczaną kaszę jaglaną lub solone śledzie. Probują przynosić gotowe potrawy ze stołówki, ale to wypada drogo.

Druga połowa sierpnia 1940

Minęło już ponad dwa tygodnie od naszego osiedlenia w Posiołku Nr.4.

Trwają już prace przy wyrębie lasu. Brygady wychodzą o szóstej rano, a wracają o czwartej po południu. Tato gdy wraca wali się jak nieżywy na pryczę.

Przywiezione pieniądze powoli się kończą.

Odpowiedzi na wysłane do krewnych i przyjaciół listy i prośby - nie nadchodzą.

---- * ----

W okolicy Posiołka są dwie wioski zamieszkałe przez miejscowych Rosjan - jedna większa, odległa o 15 kilometrów, którą nazywamy "daleką" i druga mała, położona o 11 kilometrów, nazywana przez naszych "bliską".

Nasza Mamusia, zachęcona przez żonę pana Warawy, wybrała się z nią razem na wyprawę do "dalekiej" wioski. Zabrała swoje futro do sprzedania. Wyszły po wieczornym sprawdzeniu obecności i zdążyły szczęśliwie wrócić przed szóstą rano następnego dnia, tak że Tato mógł zgłosić komendantowi pełny stan mieszkańców, oficjalnie nic nie wiedząc o ich wyprawie. Mama przyniosła w plecaku 20 kilogramów ziemniaków. Mają jej jeszcze coś dołożyć następnym razem. My dzieci cieszymy się bardzo bo marzenie o gorącej kartoflanej zupie, której można by się do syta najieść z chlebem, coraz bardziej nas gnębi od kilku dni.

---- * ----

✓ Najgorszym, najgroźniejszym i najzłejszym zwierzęciem są na pewno pluskwy. W niezliczonych szczelinach naszych ścian przeżyły bez jedzenia chyba kilka lat i teraz, gdy izba się rozgrzała, wychodzą z tych szczelin w ogromnych ilościach. Są płaskie jak bibułka i cuchnące po roztarciu. W dzień ich nie widać. Za to w nocy pełzną w górę po ścianach, potem po suficie i gdy znajdą się nad śpiącym człowiekiem - czując unoszące się ciepło - spadają. Czytałem, że w dawnych czasach nad łóżami królów, książąt i innych bogatych ludzi umieszczano specjalne ozdobne baldachimy właśnie w tym celu, aby chroniły przed spadającymi z sufitu pluskwami. Póki pluskwy pokonały taki baldachim człowiek zdążył się wyspać. My baldachimów nie mamy. Gdy zapada noc pluskwa wpełza pod koldrę i pod koszulę. Jeśli się nie śpi to można wyczuć jak pełźnie po skórze. Po jakimś czasie zatrzymuje się i po chwili w tym miejscu następuje gwałtowne, ostre, piekące i bolesne ukłucie. Jak by ktoś nagle przytknął palącego się papierosa do skóry. My dzieci podrywamy się wtedy z krzykiem. Mama się nie podrywa bo długo w noc nie śpi tylko rozmyśla, albo modli się szeptem o nas. Tatusz przeważnie pluskiew nie czuje bo po pracy w lesie śpi jak zabity i głośno chrapie.

---- * ----

Przed paru dniami pojawiła się w Posiołku nowa postać. Jest nią Rosjanka, młoda kobieta około 25 lat, bardzo ładna, miła i dobra. Nazywa się Natasza Pietrowna.

Chodzi po izbach i ogląda dzieci. Głaszcze nas po głowach, mówi

ze jesteśmy ładne i "umne".Niektórym daje czerwone okrągłe cukierki z marmoladą w środku. Wypytuje rodziców które dziecko chodziło już do szkoły i do której klasy.Nas pyta czy rozumiemy trochę po rosyjsku.Będzie organizowała w Posiołku szkołę i teraz ustala kto będzie chodził do której klasy.Wysłuchuje ze zrozumieniem i współczuciem żaków naszych rodziców.Bardzo ją wszyscy polubili.Jest zupełnie inna od Rosjan jakich dotychczas poznaliśmy,a którzy na wszelkie utyskiwania i narzekania mają niezmienna odpowiedź:"nie szkodzi,przywykniesz,a jeśli nie przywykniesz to zdechniesz".

Koniec września 1940

Chodzimy już do szkoły,na którą przeznaczono cztery izby w skrajnym baraku. Natasza Pietrowna utworzyła trzy klasy.Do pierwszej chodzą dzieci które ukończyły 8 lat i nie uczeszczały jeszcze do szkoły w Polsce.Do drugiej starsze,po drugiej i trzeciej klasie polskiej nie znające rosyjskiego ani ukraińskiego.Do trzeciej najstarsze i średnie z rodzin ukraińskich.Ja,ku wielkiemu swemu żalowi,zostaje zaliczony do drugiej klasy,tracąc dwa lata,bo gdyby nie wojna poszedłbym do czwartej.Jędrrek zaczyna naukę w pierwszej klasie.

Ławki w szkole są z nieheblowanych desek i pniaków. Zeszyty i "karandasze" kupujemy w posiołkowym sklepie.

Oprócz Nataszy Pietrowny przyjechało jeszcze dwoje młodych nauczycieli. Dwudziestoparoletnia Walentyna Pankratowna jest wysoka, z białymi włosami i zupełnie "drewniana". Nie reaguje i nie rozmawia na żadne inne tematy poza nauczaniem. Gdy prowadzi zajęcia nie patrzy nigdy na klasę tylko w jeden punkt za oknem.

Drugi nauczyciel Grigorij Leonidowicz jest młodszy może o rok i niskiego wzrostu. Jest komsomolcem, czym się niezmiernie szczyci, a całe piersi na bluzie ma ozdobione różnymi blaszanymi znaczkami. Dużo nam tłumaczy i wyjaśnia. Mówi o tym jak bardzo było źle do 39 roku w Polsce, gdzie kapitaliści i obszarnicy pili krew z klasy robotniczej i biedoty wiejskiej (nigdy tego nie widziałem).

Popi, rabini i "księżdzie" trzymali biedny naród w ciemnocie i zabobonach, aby łatwiej go było wyzyskiwać. Po za tym powtarza ciągle, że nasi rodzice zostali tu osiedleni jako element "niebłagonadiożny", a nawet wrogi władzy radzieckiej i nigdy już stąd nie wyjadą. Będą pracować aż pomrą. Ale przed nami, dziećmi, otwiera się świetlana i jasna przyszłość. Pójdziemy do domów dziecka i szkół, a jeśli będziemy się uczyć i zgłębiać nauki Lenina i Stalina zostaniemy lotnikami, marynarzami, inżynierami, agronomami albo stachanowcami i będziemy żyli syto i wolno jako obywatele wielkiej socjalistycznej ojczyzny.

Aż wierzyć się nie chce jak szybko my dzieci oswajamy się z rosyjskim językiem. Rozumiemy właściwie wszystko co mówią do nas

nauczyciele, a nawet wiele słów tłumaczymy z rosyjskiego na

polSKI naszym rodzicom.

Uczymy się teraz bardzo ładnej rosyjskiej piosenki, której melodię znałem trochę ze Lwowa.

Słowa mam zapisane w zeszycie:

"Sziroka strana moja rodnaja
Mnogo w niej lesów polej i riek
Ja drugiej takiej strany nie znaju
Gdzie tak wolno dyszyt człowiek.
Wsiudu mir i wolno i sziroko
Toczno Wołga polnaja tieczot
Mołodym wieździe u nas doroga
Starikam wieździe u nas pocziot.
Za stołom nikto u na nie lisznij
Po zasługam każdy nagraźdioń
Zołotymi bukwami my piszem
Wsienarodnyj stalinskij zakon"

Pierwszy w klasie nauczyłem się słów tej piosenki na pamięć. Dostałem piątkę i pochwałę od Grigorija Leonidowicza.

---- * ----

Robi się coraz zimniej, padają deszcze i pod kuchnią trzeba palić nie tylko dla ugotowania zupy, ale i dla ciepła. Ponieważ nie ma w izbie pieca tylko płyta, gdy się przestaje pod nią palić jest od razu zimno. Trzeba coraz więcej drzewa na opał,

którego przygotowanie spada w całości na mnie z Jędrkiem. Tatus przynosi co prawda, wracając z pracy, kawałek suchego drąga, którego już nie ma siły porąbać, a który starcza najwyżej na dwie godziny palenia, natomiast Mamusia w życiu nie miała w ręku ani siekiery ani piły i już się tego nie nauczy.

Przygotowanie opału zajmuje nam cały czas przed pojsciem i po powrocie ze szkoły i prawie całą niedzielę. Bierzymy siekiere i dobrą "łuczkową" piłę na drewnianej ramce naciągniętą ~~zakreconym~~ sznurkiem i udajemy się do lasu, którego początek znajduje się, co prawda, o trzysta metrów, ale z brzegu drzewa są przebrane. Trzeba znaleźć odpowiednią "suszkę" brzożową lub świerkową (ostatecznie sosnę, ale jest wilgotniejsza i gorzej się pali), nie grubszą niż 30 cm, abysmy jej dali radę, podciąć ją siekierą nisko przy ziemi, następnie ściąć piłą i obalić, potem okrzesać z gałęzi i poprzecinać w poprzek na kawałki nie za ciężkie i nie za lekkie do niesienia w pojedynkę - bo to jest najpraktyczniej. Drag lub kloc do niesienia, jeśli nie jest dłuższy niż 3 metry, trzeba najpierw postawić na sztorc, a potem podeprzeć ramieniem w dobrym miejscu, aby nie przeważał za mocno do tyłu i przytrzymując z przodu ręką od góry nieść powoli równym długim krokiem patrząc pod nogi. Długie żerdzie nosi się gorzej bo trzeba je sobie zakładać na ramię, a noszenie cięższych kawałków we dwojkę nie jest praktyczne bo łatwo się potknąć.

Przyniesione z lasu drzewo rżniemy na koziołku na klocki, które następnie rąbiemy na polana i nosimy dopiero do izby. Zawsze staramy się mieć zapas porąbanego drewna na jeden co najmniej dzień na wypadek deszczu.

---- * ----

Nadeszły odpowiedzi na listy wysłane do Lwowa. Wujek Tadzio odpisał że wciąż jest bez pracy, żywi się u przyjaciół i na razie nie może nam wysłać pieniędzy, ale przygotuje paczkę z żywnością gdy tylko wystoi co trzeba w kolejkach. Napisał też bardzo ważną rzecz, że nadszedł list od ciotki Haliny Antoniewicz - wywiezionej tydzień przed nami. Okazuje się że są razem z wujkiem Witoldem gdzieś na południu Uralu koło Ufy. Oboje pracują też przy wyrębie lasu. Podał jej adres. Mamusia zaraz do niej napisała.

Nadeszła też paczka od dalekiej kuzynki Tatusia Zofii Kamińskiej ze Lwowa. Rozpakowywaliśmy ją z pełnymi gębami śliny tymczasem w środku były same książki i list. Ciotka pisze że nie może nam pomóc materialnie, gdyż sama jest zupełnie bez środków do życia, przymiera głodem, wyprzedając za grosze odzież i sprzęt domowy. Posyłając książki, liczy że może przynajmniej podtrzymać nas na duchu i zapobiegnać zapomnieniu języka przez dzieci. Książki są przeważnie przygodowe, dla młodzieży, lecz jest również kilka szkolnych czytanek i Pan Tadeusz Mickiewicza. Po rozpakowaniu paczki i obejrzeniu książek idziemy głodni spać.

---- * ----

Ostatniej niedzieli Bażukow na prośbę kierowniczk¹i stoł¹ówki zarządził "zagot¹ówkę" grzybów na zimę.

Na polankach leśnych w koło posioł¹ka rosną ich nieprzebrane ilości - całymi dywanami. Z rzadka trafiają się wśród nich prawdziwe rydze - większość jednak to niejadalne u nas, jak Tatus¹ twierdzi, mleczaje, białe, żółte, różowe i brunatne, niektóre o wielkich lejkwatych kapeluszach, z gorzkim piekącym mleczkiem wyciekającym z nich po przekrojeniu.

Tutaj kierowniczk¹a stoł¹ówki nakazuje zbieranie wszystkich poza muchomorami, zapewniając, że będą nam w zimie smakowały i zjemy je na pewno. Mężczyźni wnoszą do lasu wielkie zbite z desek skrzynie z przybitymi do nich z boku drągami do niesienia na ramionach przez czterech ludzi, jak lektyki. Do tych skrzyń kobiety i dzieci wsypują, uzbierane do koszyków i kobiałek, oczyszczone grzyby. Po napełnieniu skrzyni mężczyźni zanoszą je do magazynu stoł¹ówki, gdzie wsypuje się grzyby do beczek po śledziach lub kapuście i zalewa zimną wodą. Podobno w tej wodzie tracą po kilku dniach swój piekący i gorzki smak po czym będą w niej wypłukane a następnie ułożone w specjalnych dużych beczkach i przesypane grubymi warstwami soli. Tak mogą stać w zimnym pomieszczeniu miesiącami. Przed spożyciem moczy się je w wodzie aby pozbawić soli, następnie przyprawia cebulą i olejem. Smakują podobno do kaszy i ziemniaków nadzwyczajnie i chronią przed cyngą. Zobaczymy.

---- * ----

Zjawił się dzisiaj w Posiołku dziadek, Rosjanin z "bliskiej", wioski, który z białej korowiny brzoźowej, zdejmowanej po spiralnym nacinaniu jej, z żywych drzew, wyplata wspaniałe łąpce wyglądające jak nasze góralskie kierpce. Miejscowi Rosjanie chodzą w nich wiosną i jesienią przywiązując sznurkami do nóg owiniętych w onuce, kiedy na chodzenie boso jest już za zimno, a na walonki jeszcze za wcześnie. Dziadek sprzedawał naszym ludziom cały zapas kilku par łąpci jakie miał ze sobą i zebrał zamówienia na następne, gdyż buty przywiezione z Polski szybko się wydzierają.

Październik 1940

Jest coraz zimniej, a nocami błoto przymarza. Mamusia odbyła dwie kolejne wyprawy do "dalekiej" wioski. Dostała resztę ziemniaków za swoje futro i zaniósła do sprzedania obrączki i zegarek Tatusia. Przyniosła znowu ziemniaki, kilka jajek i butelkę mleka.

Zaraz potem przyszła paczka od wujka Tadzia. Skarby. Mąka, kasza, cukier, margaryna. Mamusia wynalazła wspaniałą zupę. Uciera na blaszanej tarce kilka kartofli (po jednym dużym lub dwa małe na osobę) i wrzuca na gotującą wodę. Potem dwie łyżki mąki przyrumienia na patelni, rozprowadza zimną wodą i wlewa do garnka. Po zagotowaniu odstawia do zgęstnienia. Można jeść do syta - coś pysznego, tylko bardzo prędko przelatuje przez brzuch. Ale tym sposobem przyniesione ziemniaki i paczka od wujka

starczy nam na ładnych kilkanaście dni. Tylko nie mamy prawie wcale pieniędzy na chleb. Na pierwszą wrześniową wypłatę Tatus' dostał bardzo mało rubli, a jeszcze musiał pooddawać drobne długi i kupić sobie na cały miesiąc machorki, bo bez palenia nie potrafi wytrzymać.

---- * ----

Tatus' dużo opowiada o tym jak jest zorganizowana praca przy wycince lasu. Wiele rzeczy sam obserwuję, gdy go czasem odwiedzam w pracy, zanosząc coś do jedzenia.

W brygadach obowiązuje podział czynności. Dwóch ludzi ścina drzewa na wyznaczonej działce. Kolejnych dwóch okrzesa pnie z gałęzi i konarów, dwóch lub jeden z piłą łuczkową, przecinając dłuższe na krótsze kłody czyli kłoce, o stałej, najczęściej 6-cio lub 8-mio metrowej długości, dwóch lub jeden, jeśli nadarzy, spalają obcięte gałęzie i czuby drzew na ognisku i oczyszczają działkę z leżaniny, aby udostępnić ją do wywozu. Na czele brygady stoi brygadzysta, który do swego zarobku otrzymuje 20 % dodatek. Kilka brygad podlega dziesiętnikowi który zajmuje się ogólnym nadzorem, mierzy i kubikuje wyrobione kłody, oblicza zarobek brygady i procent wykonania normy. Zarobek wyliczany jest według stawek ustalonych od kubika wyrobionych kłód, a następnie dzielony na członków brygady, przy czym robotnicy ścinający drzewa otrzymują trochę większą część, a ci co spalają gałęzie o tyle mniejszą.

Za przekroczenie normy przysługuje premia, ale normy są bardzo wysokie i w pierwszych miesiącach żadna brygada premii nie dostała.

Przy drodze, którą chodzą "liesoruby" do pracy, postawiono małą budkę - narzędziownię. Tam oddaje się tępe piły i wyszczerbione lub rozchybotane siekiery i odbiera inne mocno oprawione i ostre jak brzytwy. Robotnicy w narzędziowni bardzo się starają, bo to i praca w cieple, a nie na mrozie i deszczu i zarobek niezły, wyliczany procentem od średniego wszystkich drwali.

----- * -----

Paczki od krewnych doszły również do kilku innych rodzin, ale nie wszystkim wyszły one na dobre. W rodzinie pana Augustyna - chłopca z pod Lwowa było czterech synów 8-12 lat i mała córka Emilka, młodsza o pół roku od naszej Ewuni, którą wszyscy uwielbiali. Od kilku tygodni Emilka nie wstawała z pryczy osłabiona i chora chyba z głodu. Kilka dni temu Augustynowie dostali paczkę z rodzinnych stron, w której była sama słonina, nie zupełnie świeża, bo paczka szła prawie miesiąc. ~~Augustynowie~~ ^{Augustynowie} utopili z tej słoniny smalec i ciepłym jeszcze napoili małą Emilkę - na wzmocnienie. Dziewczynka dostała bólei, a wezwana posiołkowa "wraczka" dała jej rycynusu. W nocy Emilka umarła. Pan Augustyn dostał jakiegoś szału i biegał od wczesnego rana po Posiołku wykrzykując straszne rzeczy na swój los, na Pana Boga, na Stalina i całą czerwoną władzę.

Bazukow kazał dziesiętnikom złapać go i zamknąć w małej bani, która stoi koło jego mieszkania, bo osobnego więzienia na Posiołku nie ma.

Wczoraj przyjechali NKWD-zisci z Konoszy i zabrali go do rejonowej "tiurmy". Bażukow mówi, że żona i synowie przez bardzo wiele lat nie zobaczą meża i ojca. Pani Augustynowa zakopała małą Emilkę do ziemi, a sama poszła dzisiaj rano z siekierą do pracy, bo nie ma już teraz małego dziecka no i ktoś musi zarobić na chleb dla czterech synków.

---- * ----

A wogóle od naszego przybycia do Posiołka to zmarło już kilka osób. Przeważnie ludzie starsi i chorzy, oraz malutkie dzieci, które potrzebują mleka. Tam gdzie została zakopana mała Emilka, w rogu polany pod lasem, jest już niewielki cmentarzyk, ale tylko zmarłych Polaków i Ukraińców. Żydzi noszą swoich dalej w tajgę, gdzie wyznaczyli osobne miejsce.

Listopad 1940

Ścisnął mróz. Ziemia jest jak kamień. Pracujący przy wyrębie lasu dostali "fufajki". Są to takie specjalne ubrania z dwóch warstw cienkiego drelichu, między które włożona jest warstwa waty i przesyta maszynowo pasami co 4-5 cm. Do tego są takie same spodnie. W ubraniach tych, bardzo ciepłych, ludzie pracują w samych koszulach pod spodem, mimo mrozu.

---- * ----

Mamusia znowu była dwa razy w rosyjskich wioskach po ziemniaki. Za każdym razem wybiera z naszych rzeczy te, bez których jeszcze możemy się obejść. Jak to dobrze, mówi, że Pan Bog pozwolił jej zarówno z Zubrzy, jak i z Lwowa, zabrać tych rzeczy stosunkowo dużo. Inni osiedleńcy są w znacznie gorszej sytuacji.

Na swoje wyprawy Mamusia chodzi teraz sama i z nikim się nie umawia, aby łatwiej było utrzymać je w tajemnicy. Wychodzi z baraku o szóstej, gdy jest całkiem ciemno.

Najbardziej jest jej strasznie iść samej przez tajgę nocą, gdy tylko pasek nieba widać nad przecinką drogi, a po obu stronach jest ściana czarnej nocy. Przecież w tajdze są niedźwiedzie a można spotkać również złego człowieka. Mamusia mówi, że w czasie drogi cały czas się modli i tylko głęboka wiara w to, że Matka Boska nie pozwoli jej zginąć jeśli od tego co robi zależy życie małych dzieci - pozwala jej przezwyciężyć strach.

Gdy Mamusi nie ma w nocy my też się boimy i długo nie możemy zasnąć. Gdy przed szóstą stukają wejściowe drzwi baraku zrywamy się z pryczy i dopadamy z płaczem do jej opuchniętych nóg, kiedy wchodzi do izby. Ale są to tylko radości, że szczęśliwie wróciła i że dzięki temu przeżyjemy jeszcze parę dni, gdyż zarobek Tatusia w żadnym wypadku nie wystarczy na chleb.

---- * ----

W brygadach leśnych co dwa tygodnie przeprowadzane jest podliczenie wyników pracy i uzyskanej wydajności. Wszystkie brygady zostają uszeregowane od najwydajniejszej do najmniej wydajnej i taka lista, która nazywa się "itogi soriewnowania za

period od ...do..."jest wywieszana na tablicy przed kancelarią naczelnika "Lesouczastka".

Po ogłoszeniu wyników takiego podliczenia następują przesunięcia ludzi między brygadami. Każdy brygadzysta ma bowiem wtedy prawo wyrzucenia ze swojej brygady robotnika, którego uważa za najmniej wydajnego, a który trafia wówczas do gorszej brygady na zasadzie: "kto go chce?" Na miejsce wyrzuconego, brygadzysta dobiera sobie według uznania, innego człowieka, lecz również z brygady gorszej niż własna. Tatus tłumaczy nam, że dzięki tej metodzie nie trzeba ludzi poganiać do pracy, gdyż każdy, chcąc awansować do lepszej brygady, wyciska sam z siebie wszystkie siły w panicznym strachu, aby przy kolejnym podliczeniu wyników, nie trafić do gorszej, o niższej wydajności, a więc i niższych zarobkach, co praktycznie równać się może śmierci głodowej dla niego i rodziny.

Z każdym kolejnym rozliczeniem zwiększa się rozpiętość w kubikach wyrobionego drewna na jednego robotnika dziennie, między brygadą najlepszą i ostatnią. Odpowiednio, coraz bardziej różnią się zarobki. Członkowie najlepszej brygady zwani "stachanowcami" przekraczają już normę, dostają premię i zarabiają 300-350 rubli, natomiast w najgorszych brygadach zarobki spadają do 30-50 rubli miesięcznie.

Niestety nasz Tatus już dwa razy był przesunięty do gorszej brygady i to się chyba nie zmieni bo jest coraz słabszy i plecy go bolą.

---- * ----

Gdy nasza sytuacja staje się już całkiem beznadziejna Mamusia zarządza dodatkową modlitwę, niezależną od porannych i wieczornych pacierzy. Klękamy wtedy wszyscy na podłodze, żegnamy się i odmawiamy najpierw Ojcze Nasz, Zdrowaś Mario i Pod Twoją Obronę Uciekamy się Święta Boża Rodzicielko. Potem odczytujemy litanie oraz niektóre ustępy z Nowenny do Świętego Ekspedyta - takiej książeczki, którą razem z innymi przysłała nam ciotka Kamińska w swojej paczce. Okazuje się, że ten święty jest właśnie patronem ludzi, którzy tak jak my, znaleźli się w sytuacji beznadziejnej i nowenna zawiera wiele zdań dokładnie odpowiadających naszym zmartwieniom. Na końcu modlitwy Mamusia swoimi słowami wypowiada najważniejsze nasze prośby. Kiedy prosi Matkę Boską aby nie pozwoliła jej umrzeć, bo wtedy my sieroty poginiemy, to przeważnie z Ewunią płaczemy, Jędrzek się chmurzy, a Tatusi chrząka. Klęczymy zwykle na wprost ściany na której powinien wisieć święty obraz, ale nie wisi bo go nie mamy. Mamusia ma oczy utkwione w górną część ściany ale nie patrzy na nią tylko o jakiś metr dalej jak gdyby tam właśnie siedział Pan Jezus z Matką Boską i zastanawiali się jak nas uratować. Myślę nieraz czy Pan Bóg ma tyle czasu aby rozpatrywać wszystkie prośby biednych ludzi, ale taka modlitwa zawsze nam pomaga, wstajemy z kolan pokrzepieni, z ulgą na sercu, a najbliższe dni zawsze przynoszą jakąś, choć najmniejszą, poprawę na lepsze.

---- * ----

Zakończono niedawno budowę stajni i sprowadzono konie. Przybyli też woźnice do nich - przeważnie młodzi Rosjanie.

Przystąpiono do zwożenia naciętego drewna. Na całym oczyszczonym z gałęzi, czubów i wykrotów zrębie, układa się na podkładach takie drewniane szyny, z połączonych ze sobą grubych żerdzi świerkowych. Sieć tych "torów" rozgałęzia się dochodząc do każdej działki. Specjalne wózki, przeznaczone do poruszania się po takich torach, utworzone są z dwóch par ciężkich żelaznych kółek o szerokich półkolistych obwodach, na osiach, połączonych rozwarą. Na takie wózki, ciągnięte przez jednego konia ładuje się nacięte kłocę i zwozi na opadający ku wodzie brzeg rzeki, gdzie nasi ludzie układają je warstwami na przekładkach z legarów w wysokie, nawet dziesięciometrowe, sztaple. Mają tam czekać na wiosenny spław.

Woźnice też pracują za stawki "od kubika" i chcą jak najwięcej kłoców wywieźć. Kiedy wózek jest przeładowany, a koń nie chce, lub nie może, uciągnąć, wówczas go biją i strasznie krzyczą - przeważnie "job twoju mat". Czasem stosują wyjątkowe sposoby. Wczoraj, gdy byłem u Tatusia, widziałem jak wózek z kłocami zsunął się jednym kołem z szyny. Koń nie mógł go wyciągnąć z powrotem mimo krzyków i bicia. Wtedy dwóch woźniców założyło mu sznur z lejców pod ogon i tak długo piłowali aż koniowi poszedł dym spod ogona. Szarpnął i pomógł.

Grudzień 1940

Dni stały się teraz tak krótkie, że prawie ich nie ma, tylko przeważa noc. Słońce ukazuje się nisko nad horyzontem o 10 -tej rano i po pierwszej już zachodzi. Prawie całe życie i praca toczą się w ciemności. Dobrze że jest jasny odbłask od nieba i śniegu to można sobie poradzić. Do szkoły chodzimy na trzy godziny. Za to całe przygotowanie drewna na opał robimy z Jędrkiem po ciemku. Musimy się uwijać coraz bardziej, bo jest coraz zimniej, a suszki od brzegu lasu są już dawno wycięte i trzeba ich szukać coraz dalej.

---- * ----

Nadszedł smutny list od ciotki Haliny. Wujek Witold zmarł. Zaziębił się w lesie przy pracy. Ciotka pisze, że na razie jest zdrowa i pracuje nadal przy wyrębie lasu. Mieszka we wspólnym baraku dla samotnych.

W naszym Posiołku też coraz częściej umierają ludzie. Żydzi przestali swoich wynosić w głąb lasu. Zakopują na wspólnym miejscu z naszymi. Gdy trzeba wykopać grób w zmarzniętej ziemi, najpierw pali się w tym miejscu ognisko, aby ją rozgrzać.

---- * ----

Postanowiłem napisać list do Stalina. Jeżeli jest taki dobry i mądry jak opowiada nauczyciel Grigorij Leonidowicz i jeżeli jest ojcem wszystkich mieszkańców wielkiego kraju, to przecież musi nam pomóc w naszej coraz bardziej rozpaczliwej sytuacji.

Wyrwałem środkową kartkę ze szkolnego zeszytu i napisałem po rosyjsku:

"Drogi Towarzyszu Stalin! Prosimy Cię bardzo o pomoc. Mieszkaliśmy we Lwowie, gdzie tatuś mój pracował jako leśnik. Teraz mieszkamy w Posiołku Nr 4 obłasti Archangielsk, gdzie zostaliśmy siłą wywiezieni, tatuś pracuje jako drwal i jest nam bardzo źle. Na chleb nam nie starcza i jest tak zimno. Wydadź rozkaz, aby nam pozwolili wrócić do Lwowa i aby Tatuś mógł znow pracować w swoim zawodzie.

Wiem ze szkoły, że jesteś bardzo dobry i na pewno nam nie odmówisz pomocy."

Podpisałem swoim imieniem i nazwiskiem, zaadresowałem "Moskwa Kreml - Do Towarzysza Stalina." i oddałem z listami do wysyłki. Mama i Tatuś nie sprzeciwiali się.

---- * ----

Mamusia uległa wreszcie moim prośbom i zgodziła się zabrać mnie na kolejną wyprawę nocną do "bliskiej" rosyjskiej wioski.

Na handel niesiemy jakieś części mamusinej i naszej garderoby bez których można się przecież obejść. Wychodzimy po szóstej. Księżyc świeci. Mróz średni. Droga przez tajgę jest ujeżdżona i twarda, idziemy szybko bo w skórzanych, lwowskich jeszcze butach, choć solidnych, jest mi jednak trochę zimno. Kiedy myślę, że już jest niedaleko Mama mówi, że to dopiero trzecia część drogi. Idziemy dalej. Jestem coraz słabszy, a tu jeszcze trzeba wrócić tej samej nocy z ładunkiem. Wreszcie, chyba po trzech godzinach, poprzez drzewa widać światło. Wioska liczy kilkanaście domów, drewnianych, zbudowanych podobnie jak nasze baraki z okrągłych nieociosanych bierwion, ale z wysoko osadzonymi niewielkimi oknami i ostrymi dachami z desek.

Przez ganek wchodzimy do izby, na środku której bieli się wielki "ruski" piec. Mamę już tu znają z poprzednich wypraw. W izbie jest kilka kobiet, jak widać gospodyni i sąsiadki. Z pieca i z podwieszonych pod sufitem drewnianych półek, zwanych "połati" wystają głowy jakichś staruszków i dzieci. Kobiety litują się nade mną i dają mi dużego, pieczonego w łupinach ziemniaka, którego zjadam żarłocznie. Mamy nie częstują niczym. Rozgrzany, zdejmuję płaszcz i kładę się na szerokiej ławie przy ścianie. Mam dreszcze. Zasypiając słyszę jak kobiety niby bez zapału oglądają przyniesione przez nas brudne i pomięte szmatki. Ustalają wreszcie jaką ilość ziemniaków za co dadzą, po które jednak Mamusia wychodzi z nimi na dłuższy czas. Zasypiam. Gdy Mama wróciła nie nadawałem się podobno ani do zbudzenia, ani do powrotnej drogi. Zdecydowała że nocujemy. Co ma być, to będzie.

Wyruszyliśmy następnego dnia przed późnym świtem, niosąc we dwójkę ponad pud ziemniaków. Do Posiołka dotarliśmy po dziewiętej.

Tatusz tymczasem, gdy nie było nas do szóstej na porannym przeglądzie mieszkańców baraku, nie miał innego wyjścia jak zgłosić komendantowi, że żony i syna nie ma, gdyż oddalili się nocą i nie powrócili. Usłyszał na to że długo nie będzie żony oglądał i że gdy wróci ma się zgłosić z ciepłym ubraniem. Tatusz zostawił tę wiadomość Jędrkowi, który został z Ewą w domu i z ciężkim sercem poszedł do pracy.

Mama po naszym powrocie zaraz poszła do Bażukowa i nie wróciła. Po godzinie poszedłem jej szukać. Okazało się że jest

zamknięta w tej samej małej bani w której w październiku siedział biedny Augustyn i za dwa dni mają po nią przyjść NKWD-ziści z Konoszy. Tak jej powiedział Bażukow. Prosiła o jedzenie. Wracam zrozpaczony do domu, grzeję wczorajszą zupę, zabieram ostatni kawałek chleba i chcę iść, gdy Jędrak i Ewunia uparli się, że idą ze mną. Dobrze, że właśnie puścił mróz - nie zamarzną. Idziemy we trójkę. Przez otwór dymny w ścianie bani, podaję Mamie chleb i garnuszek z wystygłą zupą, a następnie stajemy pod zamkniętymi drzwiami i nie chcemy odejść. Rozmawiamy, płaczemy i modlimy się wspólnie z Mamą, my po jednej stronie, ona po drugiej. Klęczymy na śniegu, odmawiamy jak zwykle Ojcie Nasz, Zdrowaś Mario, Pod Twoją Obronę, a potem najwięcej swoimi słowami. Każde z nas, nawet Ewunia na swój sposób, układamy ten najważniejszy i jedyny w życiu pacierz - Boże, nie zabieraj nam Mamusi!

Wszystko to obserwuje przez okno ze swego mieszkania żona Bażukowa - wysoka, sucha, milcząca i nieprzystępna kobieta.

I staje się cud! Późnym wieczorem, gdy zamarznięta Ewunia zasypia już na śniegu, wypada z domu wściekły Bażukow i klnąc straszliwie otwiera kluczem kłódkę na drzwiach bani i ryczy do Mamy: "A poszła ty k czortowej matieri, cztob ja ciebia bolsze na głaza nie widał!"

Styczeń 1941

Od czasu "aresztowania" Mamy, Bażukow częściej wizytuje baraki. Kontroluje, zwłaszcza rano o szóstej, czy nikogo nie brakuje, czy izby są sprzątniete, prycze pościelone, czy wszyscy nie idący do pracy wstali. Najmniejsze uchybienia wywołują u niego ataki wściekłego szafu. Twarz nabiega mu krwią, pięści się zaciskają, ryczy przekleństwami, zbliża się całkiem do "winowajcy" i ma się wrażenie, że zaraz zacznie bić lub dusić - ale powstrzymuje się jak gdyby w ostatniej chwili.

Jego syn Feliks, a właściwie Fela, mój rówieśnik, opowiadał mi niedawno, że jego tata, przed zasiedleniem Posiołka przez nas, pracował w dużym lagrze gdzie była sama "kontra" z wyroków - popi i kułacy - najbardziej śmiertelni wrogowie władzy radzieckiej. Tam jego tatuś wychowywał ich nie tak jak nas, zwłaszcza przy noszeniu kamieni, było na co popatrzeć! A tu nie to, bo "specperesielenców", według prawa, bić nie należy.

---- * ----

Odkąd dylówki przysypał śnieg i jest dobra sanna do Konoszy, poprawiło się znacznie zaopatrzenie w posiołkowym sklepiu. Można w nim oprócz soli, zapałek, machorki, nafty, dostać czasem kaszę, a nawet śledzie i cukierki, takie same jak miała w sierpniu Natasza Pietrowna. Chleba już teraz nie przywożą, bo wypiekają go nasi piekarze w posiołkowej, nowo wybudowanej piekarni. Czasem jest nawet z bielszej mąki. Jest co prawda mokry i bardzo ciężki bo, jak mówią piekarze, normy przypieku są niezmiernie wysokie, ale za to jaki ogromnie smaczny!

Gdy się go je to trzeba długo żuć i nie połykać, wtedy czuje się cały smak chleba. Nie mogę zrozumieć po co w Polsce smarowało się chleb masłem lub smalcem. Przecież bez niczego jest najsmaczniejszy. Mam też czasem żal do Mamy, że kupuje tak mało chleba, a nawet jak kupi bochenek to nie pozwala go zjeść od razu tylko odkroi po kromce, a resztę chowa na taką specjalną półkę, którą Tatusz przybił prawie pod sufitem, gdzie nie możemy dosięgnąć nawet stawiając trzy pniaki jeden na drugim.

---- * ----

Po naszej długiej i gorącej niedzielnej modlitwie znowu stał się cud. W poniedziałek nadeszła od wujka Tadzia ze Lwowa paczka z używaną odzieżą, jaką pozbierał u znajomych, a którą Mama od razu przeznaczyła na handel z Rosjanami, gdyż nie zaprzestała swoich wypraw. We wtorek natomiast nadeszła od wujka większa suma rubli, które jak pisze w liście, uzyskał za sprzedaną własną krew, bo nadal nie pracuje. Mama schowała część pieniędzy na najczarniejszą godzinę, a za resztę kupiła nam z Jędrkiem prawdziwe walonki. Coż to za wspaniałe wynalazek! Cemu w Polsce takich butów nie robiono! Wytworzone są z jednolitego kawałka zbitego wojska, są leciutkie, trzymają się nogi bez żadnych pasków, czy sznurowadeł, można je nosić na bosą stopę, są co prawda trochę sztywne na początku, ale za to jakie ciepłe! Nie sposób w nich zmarznąć w nogi. Nowe wytrzymują jedną zimę. Potem zeluje się je podeszwą z cholewy starego walonka i chodzi drugą, a nawet trzecią. Nie lubią tylko wody, ani mokrego śniegu, ale przecież tego tu w zimie nie ma.

---- * ----

Prace leśne są prowadzone przy mrozach nie przekraczających 30 stopni Celsjusza. O tym jaki jest mróz i czy nastąpi wyjście do pracy informuje codziennie przed szóstą naczelnik "Lesouczastka" poprzez dziesiętników, ale nikt poza nim nie ma termometru więc nie można tego sprawdzić.

Ale od kilku dni ludzie do pracy nie chodzą. Nadeszły straszne mrozy. Podobno osiągają 45 stopni. Niebo jest wyiskrzane, powietrze nieruchome, wydaje się, że można je kroić nożem. Wiatru nie ma wcale. Gdy ktoś idzie jednym końcem Posiołka to skrzypienie śniegu słychać na drugim, o kilkaset metrów.

Na dwór można wyjść tylko mając opuszczoną "uszanke" i twarz przewiązaną szalikiem po same oczy inaczej policzki i nos stwardnieją od razu. Gdyby dotknąć mokrą ręką metalu, to po oderwaniu, część mięsa zostaje na nim, co kilku ludziom się zdarzyło. Pod płytą w izbie trzeba palić całą dobę bo gdy tylko ogień zgaśnie zaraz woda w wiadrze zamarza.

Całe szczęście że naczelnik kazał wozakom, na początku tych mrozów, przywlec końmi kilka grubych suszek pod baraki, bo wycięcie i przyniesienie z lasu drewna na opał przy tym mrozie nie było by chyba możliwe.

Owijamy się więc w co tylko można, szczególnie twarze i ręce, wyskakujemy z piłą przed barak, ucinamy w pośpiechu jeden pień i przeniknięci do szpiku mrozem uciekamy z nim do izby. Tu rąbiemy go, wbrew surowemu zakazowi, bezpośrednio na podłodze i zanim się spali pod płytą biegniemy, trochę ogrzani, po następny. I tak bez przerwy, dzień i noc.

Lód na szybie ma grubość około 10 centymetrów przez
co w izbie nawet w dzień jest prawie ciemno.

Luty 1941

Mrozy zelżały do 15-25 stopni i ludzie znowu chodzą
do pracy w lesie. Ale zaczęły się obfite opady śniegu
połączone z wiatrami, kiedy pada on całkiem poziomo, a
nawet z dołu do góry. Rosjanie nazywają takie padanie
"purga" i wtedy przez noc śnieg zrównuje wszystko. Rano
trzeba się wszędzie dosłownie przekopywać.

----- * -----

Mamusia straciła wszystkie zęby. Nie bolały, nie
gniły, tylko dziąsła krwawiły, a zęby ruszały się i sama je
sobie wyjmowała palcami, gdy przeszkadzały w
jedzeniu. Rosjanie mówią, że to cynga.-

Marzec 1941

Dwa tygodnie temu, w piątek Tatusia przywaliło
drzewo. Na szczęście nie grube. Nie zdążył uskoczyć w
głębokim śniegu i ścinany świerk uderzył go w plecy. Z
lasu przyprowadzili go pod ręce koledzy i od razu się
położył. Mamusia przykładała mu gorącą sól, ale ból się
nasilał przez całą noc i rano Tatus nie mógł się podnieść
z pryczy. Pobiegłem do jego brygadzysty powiedzieć, że
Tatus do lasu iść nie może bo jest chory, ten z
kolei powiadomił dziesiątnika, który zdecydował, że jeśli
chory i nie może to niech leży, a "wraczka" przyjdzie go
zbadać określi chorobę i da lekarstwo.

Nasza posiołkowa "wraczka" czyli lekarka, jest dwudziestoparo letnią tłuścą, ospowatą dziewczuchą, chyba po jakimś krótkim przeszkoleniu, bo na ukończenie studiów, czy innej szkoły, nie wygląda.

Przyszła koło południa, nie spytała jaka jest przyczyna, ani objawy choroby, przyłożyła rękę w rękawiczce Tatusiowi do czoła i orzekła: "temperatury nie ma, może chodzić do pracy". Takie orzeczenie przekazane naczelnikowi "Lesouczaśka" równało się oskarżeniu o "proguł", co jest przestępstwem karanym sądownie. Toteż nie zdziwiliśmy się gdy za tydzień doręczono Tatusiowi wezwanie na rozprawę przed "narodnym" sądem w Konoszy. Martwiliśmy się bardzo gdy udał się na nią przedwczoraj z dziesiętnikiem jako oskarżycielem. Wczoraj na szczęście wrócił. Sąd potraktował go łagodnie i nie skazał, ~~na~~ na pierwszy raz, ani na więzienie, ani na obóz pracy. Tłumaczono mu obszernie jak wielką szkodę wyrządził socjalistycznej ojczyźnie uchylając się bez powodu od pracy, a następnie ukarano go jedynie pozbawieniem 1/3 części zarobku przez okres sześciu miesięcy. Tatuś, za radą dziesiętnika, podziękował sądowi za wyrozumiałość i łagodny wyrok oraz przyrzekł poprawę.

Kwiecień 1941

Odwilż nadeszła nagle. Zaczął wiać ciepły zachodni wiatr i śnieg zaczął się kurczyć w oczach. Potem spadł deszcz, poświeciło ciepłe, wysoko już stojące, słońce i śnieg zaczął podchodzić wodą. Nie mając możliwości wsiąkania w zamarznąłą

wciąż ziemię, tworzy ona wielkie zastoiska^{my} z których spływa strumieniami po pochyłości do rzeki. Przez kilka dni ludzie nie chodzili do pracy, tyle było wody na drogach. Rzeczka Podjuga, którą latem można przejść po pas, teraz gwałtownie przybiera, zalewając przyległe łąki, a nawet część lasu i rwie burzliwym i groźnym żywiołem, głęboka na kilka metrów. Rosjanie zacierając ręce mówią nerwowo, że zaczyna się "połowodzie". Że niedługo spraw! Dowiadujemy się, że krótki okres sprawu to czas największego ryzyka, największych zarobków, ale i najcięższej pracy.

Chodzi o to, że w krótkim, kilkunastodniowym okresie, trzeba wrzucić do rzeki i spławić do granicy sąsiedniego lesouczałka całe drewno pozyskane w ciągu roku, a złożone w sztaplach nad rzeką. Jeśli się nie zdąży i część drewna zostanie, lub nie spłynie, to przez lato zgnije i gospodarka radziecka poniesie stratę. Jeśli tak się stanie, to naczelnik "lesouczałka" będzie odpowiadał wobec Lespromchozu, a ten z kolei wobec władz państwowych, politycznych i bezpieczeństwa wewnętrznego. Sprawy rozpoczyna się w ściśle określonym czasie. Im bardziej w górę rzeki tym czasu tego jest mniej. Wreszcie z Lespromchozu przychodzi polecenie rozpoczęcia sprawu.

Zostaje zmobilizowany każdy kto się może ruszać. Dla chłopców w moim wieku też jest zajęcie. Stoi się na sztaplu kłoców nad rzeką i podważa je, we dwóch lub trzech, lekkimi drągami by toczyły się po legarach do wody. Plusk i następny kloc. I tak warstwa za warstwą. Trzeba tylko uważać, aby się nie zagapić bo kolejny toczący się kloc może podciąć

nogi i wtedy razem z nim można wpaść do rwącej rzeki. Praca jest prosta i wesoła, płaca od kubika i sprytni chłopcy zarabiają dziennie więcej niż drwal przy wyrębie. Tylko nogi, a szczególnie ręce straszliwie rwą i bolą potem wieczorem i w nocy.

Prędkość wrzucania kłoców do wody regulują dziesiętnicy. To bardzo ważna rzecz.

Wzdłuż całego biegu rzeki, aż do granicy sąsiedniego lesoucza, stoją nasi mężczyźni z bosakami na długich drągach i spychają z powrotem w nurt kłocę, które przybiły do brzegu oraz tak kierują ich spływem, aby nie utworzył się zator.

Powstanie zatoru to największe zmartwienie. Woda piętrzy wówczas napływające kłocę na kilkanaście metrów do góry. Trzeba przerwać szybko zrzucanie dalszych partii drewna. Robota staje, a czas ucieka. Przy zatorze gromadzą się ludzie. Jeśli nie udaje się rozczepić zatoru bosakami z brzegu, potrzebny staje się ryzykant, który po śliskich kłodach wejdzie na jego środek i na najbardziej kleszczący kłoc założy pętlę z liny. Dziesiętnik szukając śmiałka podbija stawkę. Niestety wyczyny tych szaleńców kończą się często tragicznie...

---- * ----

Zmienił się komendant Posiołka. Bażukow wyjechał z rodziną cichutko wczesnym rankiem nie żegnając się z podopiecznymi.

Jego miejsce zajął nowy komendant. Nazywa się Kopytow, jest samotny, bez rodziny. Twarz ma tak ospowata, że wygląda prawie jak

plaster miodu. Jest spokojny, mówi cicho, ale jak widać wielką wagę przywiązuje do papierów i przepisów. Z miejsca przystąpił do uzupełnienia danych ewidencyjnych o przesiedleńcach. Chce wiedzieć wszystko o wszystkich.

---- * ----

Z Kancelarii Kremlońskiej nadeszła odpowiedź na mój list do Stalina. Składa się z dwóch długich zdań napisanych zawiłym urzędowym językiem. Właściwie nie rozumiemy jej, a boimy się udać do kogoś z Rosjan o objaśnienie. Domyślamy się jedynie, że sprawa naszego powrotu do Lwowa nie może być na razie załatwiona. Mamusia decyduje, że trzeba ten papier spalić, aby nie przyniósł nieszczęścia.

Maj 1941

Dostałem wypłatę za pracę przy spławie. Pracowałem 11 dni i zarobiłem 130 rubli, czyli więcej niż Tatusz zarabia miesięcznie przy wycince lasu. Jestem niezwykle dumny i zarozumiały z tego powodu.

---- * ----

Rzeczka Podjuga wróciła w swoje dawne koryto i nie wygląda wcale na to że przed niespełna miesiącem "zabrała" ponad 30.000 metrów sześciennych drewna wyrobionego przez osiedleńców przez ponad pół roku morderczej pracy. Wielka poręba po wyciętej na

czysto tajdże obejmuje wzniesienie za rzeką, ponad 150 hektarów, jak Tatus obliczył, a zatem więcej niż przybliżony obszar całego Posiołka.

---- * ----

Zrobiło się ciepło, a nawet upalnie. Nowy komendant wydał okrutne dla osiedleńców zarządzenie - że względów, jak twierdzi, pożarowych zabronił do końca lata palenia w piecach kuchennych w barakach. Na lamenty, że pozbawia to ludzi możliwości ugotowania strawy, odpowiada, że kto dobrze pracuje i zarabia może sobie kupić i przynieść zupę ze stołówki, a pozostali niech jedzą suchy chleb i surową "kartoszkę" zapijając zimną wodą - nic go to nie obchodzi. Gdyby się baraki spaliły, jak się gdzieś podobno zdarzyło, to wtedy nam wszystkim "żopy przymarzną do śniegu" do czego on, komendant nie może dopuścić. Ludzie znaleźli jednak wyjście. Wynosi się garnek ponad 100 metrów od baraków i tam ustawia na połówkach cegieł lub znalezionych kamieniach i paląc pod takim "paleniskiem" cienkimi drewniakami można za dwie godziny ugotować zupę. Powstało tym sposobem przedziwne koczowisko starych kobiet i małych dzieciaków, nad którym z kilkudziesięciu "palenisk" unosi się i snuje po Posiołku chmura sinego dymu.

Kopytow nie oponuje, a nawet, jak widać, jest zadowolony, że udało mu się "zawieści porządek".

---- * ----

Mama podjęła decyzję - zakładamy ogród. Nie pomogły perswazje Rosjan, że ziemia w Posiołku do uprawy się nie nadaje, gdyż jest to "nastojaszczyj podzoł". Co prawda przy wsiach rosyjskich są uprawiane z dawien dawna "uczastki" pod ziemniaki, kapustę, cebulę i owies, ale tam jest gleba w znacznym stopniu torfowa, wyrobiona i nawożona od wielu lat.

Mama postawiła jednak na swoim. Na wyznaczonym nam miejscu kopie my ziemię. Jest ona tak twarda, że szpadla w nią wbić nie można. Jedna osoba musi trzymać szpadel pionowo, a druga uderzać po nim drągami brzoźowym, albo obuchem siekiery. Pod każdy sztych dajemy grubo koński nawóz, który nosimy na drewnianych noszach z końskiej stajni. Od tego noszenia wychodzą mi żyły na rękach które już nie cofają się na swoje miejsce. Mama nie popuszcza. Pracujemy we trójkę z Jędrkiem. Wreszcie "ogród" jest skopany i zagrabiony - prostokątne poletko długie na 20 metrów i 10 metrów szerokie. Jeszcze tylko ogrodzenie z żerdek, które robimy w niedzielę razem z Tatą i Mama sadi, odkładane od jakiegoś czasu, drobne, podkiełkowane ziemniaki (całe wiaderko) i siewy zdobyte nie wiadomo skąd nasiona buraków ćwikłowych i marchwi.

Niech Pan Bóg błogosławi zasiewom.

Koniec czerwca 1941

Hitler napadł podstępnie na Związek Sowiecki mimo zawartego porozumienia o przyjaźni. Wybuchła wojna. Pamiętając ile czołgów i wojska było rok temu we Lwowie

uważamy, że Sowieci szybko sobie poradzą z Niemcami, tym bardziej, że wciąż piszą i śpiewają o tym, że Krasnaja Armia jest "niesokruszymaja" i "niepobiedimaja" o czym przekonali się niedawno Japończycy, a takich wodzów jak Stalin i Woroszyłow nie ma na całym świecie.

Ale Rosjan opanował strach i zaskoczenie. Większość ich mężczyzn, na przykład prawie wszyscy młodzi woźnice, otrzymują wezwania do armii i szybko z tobołkiem lub "czemodanem" udają się do Konoszy.

W pierwszych dniach po wybuchu wojny właściwie nic nie wiadomo co się dzieje na froncie. Wczoraj słuchałem jak kilku Rosjan, siedząc na ganku przed kancelarią komendanta, czytało na głos wypożyczoną od niego "Prawdę". Opisywano tam odwagę i pomysłowość czerwonoarmisty, który leżąc na froncie w okopach zauważył niemiecki czołg, który zatrzymał się w pobliżu, widocznie na skutek uszkodzenia. Dzielny czerwonoarmista wyszedł z okopu, podpełznął pod stojący czołg i zalepił gliną otwór wentylacyjny. Sam szybko wygramolił się na pancerz czołgu i z saperką w ręce zaczął się przy wieżyczce. Kiedy duszący się z braku powietrza Hitlerowcy zaczęli pojedynczo wychodzić on "załatwiał" ich po kolei tą saperką aż wybił tym sposobem całą załogę czołgu. Po minach słuchaczy widziałem, że nie bardzo wierzyli tej historii, ale na głos nikt nie wypowiadał wątpliwości lecz raczej cmokał z uznaniem i podziwem.

----- * -----

W dwa dni po wybuchu wojny wstrzymano wolną sprzedaż chleba w posiołkowym sklepiu, wprowadzając jego normowane przydziały. Stołówka sprzedaje teraz posiłki tylko pracującym osobom samotnym. Kartofli, kaszy, ani mąki nie kupi się nigdzie od nikogo ani za żadną cenę. Skończyły się oczywiście nadzieje na paczki lub przekazy. Przydział chleba na naszą pieciorosobową rodzinę to malutki bocheneczek 26 cm długi, 10 szeroki i 8 wysoki (mierzyłem) i z łatwością moglibyśmy go zjeść za jednym razem. A przecież Tatuś musi iść do ciężkiej pracy i mieć siły. Sytuacja przesiedleńców, która dotychczas była ciężka, a czasami krytyczna, staje się teraz rozpaczliwa i beznadziejna. Ludzie uświadamiają sobie, że będą musieli stopniowo i powoli umrzeć wszyscy z głodu. W ciągu roku jaki mija od naszej wywózki zgonów nie było zbyt wiele. Jak obliczają zmarł średnio co piąty człowiek z tych co przyjechali tutaj, no i oczywiście prawie wszystkie narodzone tu niemowlęta.

Lipiec 1941

W naszym ogródku wszystko pięknie powschodziło i rośnie jak na drożdżach. Ziemniaki, które zaczęły wschodzić akurat w dniu wybuchu wojny, teraz szybko pędzą do góry, mają czarnozielone listki i chyba niedługo będą kwitły. Buraki też są piękne i gęste - całe dwie grzędy; tylko marchewka nie bardzo się zapowiada. Mamusia codziennie chodzi do naszego ogródka, spulchnia zaskorupiającą się glebę, podgarnia ziemniaki.

---- * ----

Dwa kilometry na północ od naszego Posiołka zaczyna się ogromne bagno ciągnące się tak daleko, że nawet miejscowi Rosjanie nie wiedzą gdzie się kończy. Na bagnie stoją pojedyncze tylko sosny, a całe pokrywa je gruba warstwa białego, długiego, nasyczonego wodą mchu, uginająca się pod nogami idącego człowieka. Ten biały, torfowy mech Rosjanie zbierają i suszą, a potem używają do różnych celów, jak utykanie ścian, ocieplanie okien, a nawet wyścielanie kołyszek niemowlęcych, z braku pieluszek.

Miejscami, wśród pokrywy mchu, przeświecają "oczka" wody. Trzeba na nie uważać. Na wywyższonych kępach, wśród mchu, rosną nieprzebrane ilości czarnej borówki, która właśnie dojrzała. Jest również czerwona brusznica i żurawina - ale one dojrzewają później. Krzewinki czernicy są niewysokie, ale za to całe obwieszone jagodami które szybko dojrzewając i nabierając słodczy w prawie nie zachodzącym tu słońcu właśnie nadają się do zbioru.

Teraz, gdy nie chodzimy do szkoły, a drewna na opał nie trzeba tak wiele, Mamusia codziennie wysyła nas na bagna z niebieskim, pięciolitrowym dzbankiem i bez uzbierania go do pełna nie wolno nam wracać.

Ostrzeżeni przez Rosjan wiemy, że trzeba bardzo uważać aby nie zabłądzić. Gdy zejdzie się w bok z dylówki, przecinającej bagno w poprzek, nie widać już jej po kilkunastu krokach, gdyż leży poniżej poziomu mchu, a krajobraz bagna jest ze wszystkich stron jednakowy. Wystarczy, zbierając jagody, obejść dwie kępki wokoło, aby całkowicie stracić orientację.

Zostawiamy więc wysoko na sosence przy drodze jakąś jasną szmatkę lub chustkę i nie tracimy jej z oczu.

Po uzbieraniu pełnego dzbanka jagód wracamy do domu szukając po drodze w brzeziniakach grzybów kozaków, które są tu dosyć częste.

Mamusia przerywa codziennie buraki w naszym ogródku, kroi je razem z botwiną, dodaje do tego oczyszczone grzyby i uzbierane przez nas jagody i gotuje taką zupę w dużym garnku. Od kilkunastu dni jest to, poza kromeczką chleba, jedyne nasze pożywienie.

----- * -----

Wiadomo już że sytuacja na froncie nie jest dobra, a Niemcy szybko posuwają się do przodu.

Sierpień 1941

Nasze ziemniaki już kwitną od dwóch tygodni. Mamusia delikatnie wkłada palce w ziemię pod krzakami i jeśli wyczuje większego ziemniaka wyłuskuje go, zagarniając otwór starannie z powrotem. W ten sposób podbierając po 1-2 bulwy z pod krzaka przeszukuje rząd za rzędem nie zmniejszając całej plantacji. Twierdzi, że ziemniaki wyrastają w sposób cudowny, gdyż pod krzakiem, skąd wybrała wszystkie duże, po kilku dniach znajduje nowe.

Dzięki tym zabiegom do naszej codziennej jagodowo-grzybowo-botwinowej zupy doszedł nowy składnik - kilka ziemniaków, co znakomicie podniosło jej zalety.

---- * ----

Rosyjscy myśliwi z "bliskiej" wioski zabili w owsie dużego niedzwiedzia. W zasadzie na niedzwiedzie polują tu zimą, z łajkami, ale czasem, gdy późnym latem jakiś niedzwiedź znarowi się i wyrządza zbyt duże szkody na którymś polu, urządzają na niego zasiadki budując specjalne czatownie na drzewach, choć szansa na to, że nie wyczuje on człowieka i zbliży się na strzał z fuzji jest niewielka. Tym razem im się powiodło.

Część mięsa z ubitego niedzwiedzia przywieźli do naszego Posiołka celem rozsprzedania. Cenili nie drogo - po 5 rubli za kilogram, gdy w tym samym czasie baraninę sprzedawali po 25. Ponieważ mięsa nie jedliśmy od ponad roku Mamusia się zdecydowała i kupiła czterokilogramowy kawałek, który włożyła do dużego żeliwnego garnka, podlała niewielką ilością wody i zaczęła gotować. Niedzwiedź pod jesień jest bardzo tłusty, lecz tłuszcz ma jak się okazuje w mięśniach. Toteż, ku naszemu zdziwieniu, pieczona niedzwiedzina kurczyła się coraz bardziej, aż w garnku pozostał nie większy od czterech pięści kawałek pływający w dużej ilości wytopionego tłuszczu.

Mamusia, pomna przypadku z córeczką Augustyną, postanowiła ten tłuszcz od razu wylać, abyśmy się nie złakomili, jednak Tato, w tajemnicy przed nią, zdążył odlać sobie kubeczek i wypić jako

"niby rosół". Myśmy zjedli po dużym plastrze tak ugotowanego mięsa z małym kawałeczkiem chleba i nawet Ewunia była po tej uczcie zdrowa.

Niestety Tatuś się rozchorował. Dostał strasznego "ponosu", jak mówią Rosjanie, lało się z niego co chwila i ani węgiel który jadł w dużych ilościach, ani suszone jagody, ani jakieś tabletki od "wraczki" nie przynosiły mu przez kilka dni ulgi. Teraz, po naparze z jakichś liści, jest mu trochę lepiej, ale gdy tylko zje coś zimnego, dolegliwości wracają.

Mamy naukę na przyszłość - na wygłodzone żołądki nie można zjadać tłuszczu - bo jest to niebezpieczne.

Zresztą, co ciekawe, głodując właściwie przez wiele miesięcy nie łakniemy w zasadzie ani tłuszczu, ani mięsa, ani jajek, a nawet cukru, tylko ziemniaków i chleba, ziemniaków i chleba, ziemniaków i chleba...

Początek września 1941

Przez cały sierpień dorośli coraz więcej rozmawiali o różnych sprawach politycznych. Jedynym źródłem informacji na Posiołku jest "Prawda", którą otrzymuje komendant, a który czasem tylko, według uznania, pokazuje ją rosyjskim pracownikom, lub rozmawia z nimi o tym co w gazecie piszą. Nas, przesiedleńców, nie informuje nikt o niczym. Z chwila wybuchu wojny przestały też przychodzić listy. Mimo to wiadomości, a właściwie pogłoski rozchodzą się jakimś sposobem, ludzie odwiedzają się wieczorami w izbach i szepczą, szepczą, szepczą.

Nie tylko o tym, że Niemcy, choć wolniej, ale posuwają się do przodu i są już pod Kijowem i Leningradem. Mówi się również, że Anglia godzi się współdziałać ze Stalinem w walce z Hitlerem, że do tej współpracy przyłączą się również emigracyjny Rząd Polski z generałem Sikorskim na czele.

Jest to bardzo dziwne bo przecież w czasie wojny Piłsudskiego z bolszewikami Sikorski bił czerwonych, jakże więc teraz może sobie z nimi podawać ręce?

Jednak w tych szeptach i rozmowach przeważał wciąż główny temat - czy wszystkie te wydarzenia mogą odmienić jakoś nasz los?

Nie umiano jednak znaleźć żadnej odpowiedzi na to podstawowe pytanie.

Dopiero dwa dni temu wydarzyła się nadzwyczajna rzecz. Komendant Kopytow zaprosił, a nie wezwał, do siebie wszystkich starostów baraków, posadził ich na ławce i w obecności nauczyciela Grigoria Leonidowicza, który jest już podobno członkiem bolszewickiej partii, rozmawiał z nimi ponad godzinę.

Powiedział, że Najwyższe Prezydium Rady Związku Radzieckiego i Towarzysz Stalin osobiście, kierując się wielkodusznością oraz internacjonalizmem, wydali specjalny dekret, który udziela amnestii i daje wolność wszystkim Polakom w ZSRR, nie tylko specprzesiedleńcom lecz również skazanym z wyroków na obozy pracy.

Oczywiście specprzesiedleńcy byli wolni również dotychczas, tyle że musieli mieszkać w wyznaczonych miejscach, a teraz, proszę bardzo - jedź gdzie chcesz, mieszkać gdzie chcesz, ale obowiązkowo - jak prawdziwi radzieccy ludzie i na równi z nimi.

Przechodząc do szczegółów komendant poinformował, że każda rodzina po zastanowieniu może sobie wybrać dowolne miejsce zamieszkania na terenie całego Związku Radzieckiego, z wyłączeniem wielkich miast jak Moskwa i Leningrad oraz około stukilometrowego pasa przyfrontowego, podając motywy takiej, a nie innej swojej decyzji.

Każdy, kto w ciągu dwóch tygodni zdecyduje się na wyjazd otrzyma podwodę do Konoszy, specjalne świadectwo amnestyjne, bezpłatny bilet do stacji docelowej, a ponadto po 15 rubli na osobę na każdą dobę przewidywanej podróży - na pożywienie.

W regulaminie Posiołka też nastąpią zmiany. Zniesiony zostaje zakaz oddalania się oraz poranne i wieczorne przeglądy obecności. Chciecie chodzić w gości do rosyjskich wiosek - proszę bardzo chodźcie, aby do pracy zdążyć! On, komendant, będzie teraz tylko nadzorował ogólny porządek i bezpieczeństwo.

Trudno opisać co działo się w Posiołku, w izbach, w brygadach, gdy starostowie przekazali ludziom informacje komendanta.

Wolność! Wolność! - To były pierwsze okrzyki. Później w dzień i w nocy trwały burzliwe spory i narady. Po kilku dniach jednak entuzjazm i radość zaczęły opadać, a ich miejsce zastępowały zagubienie, niepewność i strach. Co zrobić z tą wolnością? Przecież nasze rodzinne strony, ale co tam, prawie cała Ukraina i Białoruś są w rękach Niemców. Jeśli uwzględnić pas przyfrontowy to pozostaje tylko Ural, pustynie na południu i Syberia. Gdzie więc uciekać z Posiołka? Skąd wziąć krewnych lub znajomych do wskazania, że do nich chce się jechać? Czy nie bezpieczniej, mimo

wszystko, doczekać w Posiołku końca wojny, który teraz przy pomocy Anglii może szybciej nastąpi i wracać od razu w swoje strony? Czy jednak są szanse przeżycia kolejnej zimy tutaj, gdy chleb jest na kartki i żadnej pomocy znikąd?

Koniec września 1941

Tatus' jest zdania, jak wszyscy mieszkańcy Posiołka, że nie ma się gdzie ruszać na niepewny los i trzeba pozostać na miejscu.

Tylko Mamusia uważa inaczej. Mamy ostatecznie ciotkę Halinę na południe od Ufy. Chodzą pogłoski, że gdzieś w tamtych stronach w Orenburgu czy Kujbyszewie powstają załążki władz polskich państwowych czy wojskowych. Jest zatem więcej Polaków. Będą się nawzajem ratowali - nie to co tutaj sami w głębi tajgi. Co prawda od ciotki nie było żadnego listu od czerwca, ale widocznie wprowadzona teraz cenzura wojskowa nie puściła bo musiało w nim być coś nie tak napisane. Ciotka, jak pisała, mieszka teraz w "obszczeżytiu" i nie ma własnej izby no ale jak przyjedziemy to muszą nam coś znaleźć.

Jak zwykle w takich sytuacjach zdanie Mamusi przeważało. Jako jedyna rodzina z całego Posiołka decydujemy się skorzystać z dobrodziejstwa amnestii i zgłaszamy komendantowi na piśmie chęć wyjazdu do siostry Mamy mieszkającej i pracującej za Ufą na południu Uralu. Klamka zapadła. Zaczynamy się pakować.

Otrzymujemy "putiówkę" do Joszkar - Oły.

III. PODRÓŻ KU WOLNOŚCI

Początek października 1941

Tym razem pakowanie mamy znacznie łatwiejsze. Ciepłe rzeczy wkładamy na siebie. Większość pozostałych zużyła się w ciągu minionego roku lub została wymieniona z Rosjanami za żywność. Nawet bielizny pościelowej już dawno nie mamy.

To co jest wiążemy w małe tobołki. Każdy, poza Ewunią, ma po dwa.

Dokumenty i pieniądze na drogę pobrane. W ustalony dzień wyjazdu przyjeżdża wyznaczony na podwodę Rosjanin. Pada mokry, mieszkający się z błotem, śnieg. Woźnica jest wściekły, że musi jechać w taką pogodę. Złośliwie nurza w błocie łańcuch którym następnie owiązuje na podwodzie nasze pakunki.

Mieszkańcy Posiołka żegnają nas z mieszanymi uczuciami. Z żalem, zazdrością, niepewnością czy sami dobrze zrobili zostając?

Do Konoszy docieramy wieczorem. My z Jędrkiem i Tatą znajdujemy jeszcze miejsce w kącie niewielkiej poczekalni, układając w nim nasze ubogie bagaże. Mamie z Ewunią udaje się dostać do "izby matki i dziecka" gdzie Ewunia się prześpi, a Mama przesiedzi przy niej przez noc. Podróż zaczyna się więc pomyślnie. Pasażerów cywilnych nie jest wielu. Transporty wojskowe do Archangielska i na południe przejeżdżają nie zatrzymując się długo na tej małej stacji. Tylko składy towarowe na Kotłas oczekują na bocznicy, widocznie na wolny tor.

Zanim, na podstawie naszych dokumentów, wypiszą nam bilet odcinkowy do Wołogdy, musimy jeszcze następnego dnia rano

załatwić odwszalnię. Okazuje się, że obowiązuje ona przy każdym zakupie biletu. Jest to prymitywne pomieszczenie z przedsionkiem, ogrzewane dużym blaszanym piecem opalanym drewnem podkładanym od zewnątrz. Do tego pomieszczenia wkłada się na pół godziny ubrania przerzucone przez wiszące drągi.

Po kilkanaście osób, mężczyzn lub kobiet na przemian, wchodzi do przedsionka, rozbiera się do naga i oczekuje aż jego wszy się upieką. Świadcstwo z odwszalni ważne jest dwie doby. Jeśli w tym czasie nie wsiądzie się do pociągu bilet i odwszalnię trzeba załatwiać od nowa.

---- * ----

W Konoszy z trudem, ale wsiedliśmy wszyscy do korytarza wagonu pasażerskiego pociągu, który po 10 godzinach dowiózł nas do Wołogdy. I tu zaczęły się nasze kłopoty. Siedzimy na dworcu już parę dni nie wiedząc kiedy pojedziemy dalej.

Wołogda jest dużą węzłową stacją, która nie może podołać ogromnemu przeciążeniu. Niemcy podeszli już do Moskwy i do Leningradu. Pociągi na front i z frontu, w obydwu tych kierunkach, przechodzą przez Wołogdę. Transporty z wojskiem, z rannymi, z amunicją, żywnością, sprzętem wojskowym, jakimiś rozmontowanymi maszynami i wogóle nie wiadomo z czym, przepychają się i oczekują na przepuszczenie przez tę stację.

Do tego dochodzi fala ludzi ewakuowanych legalnie z pasa przyfrontowego i uciekających na własną rękę, którzy tu, w Wołogdzie mają wyznaczony swój etap końcowy, lub po prostu nie wiedzą gdzie dalej się podział.

Linia kolejowa na Jarosław, gdzie powinniśmy jechać, jest rezerwowana dla transportów wojskowych i pociągi pasażerskie nie są nią kierowane. Jeśli chcemy jechać na Ufę to tylko jakimiś bocznymi liniami, jeśli to wogóle w tym zamieszaniu jest możliwe.

Co kilka dni chodzi pociąg lokalny na Buj. Do jednego nie udało się nam wsiaść. Właściwie Mama z Ewą wsiadły, a nas z Tatusiem odepchnięto. Więc Mama ledwo się wydarła z powrotem.

Jej dwa pakunki przy tej okazji zginęły. Drugi pociąg też nam uciekł bo nie mieliśmy ważnych zaświadczeń z odwszalni. Nie dostaliśmy się na czas do niej, wszędzie straszne tłoki.

Oczywiście nia ma mowy o żadnej izbie dziecka dla Ewy. Siedzimy wszyscy na kupie pod ścianą hali dworcowej, śpimy w kucki na tobołkach nie bacząc na noc czy dzień.

Połowa października 1941

Z Wołogdy wyjechaliśmy chyba po tygodniu, ale teraz na niedużej stacji w miasteczku Buj, utknęliśmy chyba na dłużej. Tatusia zabrano do miejskiego szpitala. Z braku ciepłego jedzenia powrociły mu dolegliwości żołądkowe i właściwie z pociągu wysiadł już z całkiem obrobionymi spodniami, bo o dostaniu się w wagonie do jakiegoś ustępu wogóle mowy nie było.

Mama zaprowadziła go w takim stanie i z boleściami do dworcowego "miedpunktu" krzycząc głośno, aby coś z nim zrobili

bo na pewno ma tyfus brzuszny, no i zabrali go. Teraz leży w szpitalu w czystym łóżku nie daleko dworca. Byliśmy u niego z Mamą wczoraj. Ma dietę i leki, ale to jakiś czas potrwa, bo stan jest zapuszczony i chroniczny jak mówił lekarz.

Dość duża hala dworcowa podzielona jest na dwie części takim wysokim płotkiem. Po jednej stronie gnieźdzą się i koczują podróżni cywilni, a po drugiej jest punkt etapowy dla żołnierzy jadących na front. Dają im tam posiłek, a na dużym ekranie przez prawie całą dobę wyświetlane są filmy, wciąż te same, bo czerwonoarmiści się zmieniają. Wszystkie filmy widać i słyszać również w naszej części poczekalni, tak że znamy je już na pamięć: "Czapajew", "Cyrk", "Wesołe rebiata", "Wołga, Wołga" i kilka filmów o walkach z basmaczami.

Pierwsze dni siedzieliśmy na podłodze, ale potem zdobyliśmy szeroką ławkę, którą właśnie zwolniła jakaś rodzina i teraz mieszkamy na niej. Nie wiem w jaki sposób Mamusia zdobywa dla nas po trochu jedzenia. Chleb co prawda wykupuje zgodnie z przydziałem na nasze dokumenty, ale jest go mało i zjadamy go od razu. Poza tym, jak na każdej rosyjskiej stacji, na dworcu w Buju jest kocioł z kranikiem, a w nim "kpiatok", czyli "kpiątek" jak mawia Tato, czyli goraca, przegotowana woda. Ale poza tym Mama przynosi nam co jakiś czas zupę, kapuśniak, kaszę lub ziemniaki. Zostawia nas po prostu na ławce i wyrusza z wiaderkiem po jedzenie. Prawie zawsze coś przyniesie. Rozeznała, jak mówi, gdzie są w okolicy dworca jakieś stołówki,

czy punkty żywienia, napastuje ich kierowników, potrząsa naszymi dokumentami i jak nie łzami to krzykiem i groźbami, a przede wszystkim nieustępliwością wymusza na nich wydzielenie bezpłatnych porcji dla nas.

---- * ----

Ustęp publiczny na dworcu w Buju jest taki sam jakie były w Wołogdzie i chyba są na wszystkich większych stacjach. Jest to dosyć duże okrągłe pomieszczenie (osobne dla mężczyzn i dla kobiet), wylane betonem w którym pod ścianami są otwory w podłodze nad którymi się kuca i załatwia. Otworów tych jest kilkanaście w każdej "sali", bez żadnych przegródek, tak że wszyscy kucający się obserwują i widzą co komu zwisa. Ponieważ ludzi jest dużo i wszystkie miejsca są prawie ciągle zajęte, sprzątaczką nie ma kiedy spokojnie posprzątać, a jest co, bo przecież nie wszyscy dokładnie trafiają do otworów. Wchodzi więc z węzłem gumowym na środek pomieszczenia i spłukuje podłogę ostrym strumieniem, nie zważając na ludzi, co wywołuje każdorazowo popłoch i przekleństwa.

---- * ----

Przedwczoraj pod naszą ławkę wczoiłgał się dziadek z rudą brodą, w futrzanej czapce i z myśliwską strzelbą, jednorurką. W nocy umarł. Służba sanitarna wyciągnęła go i wyniosła, ale strzelba została. Ja ją wy dobyłem z pod ławki i paradowałem z nią, bardzo dumny, po całej hali dworcowej i po peronach. Wreszcie milicjant zaczepił mnie pytając czyja to strzelba.

Odrzekłem, że moja. Wówczas kazał się zaprowadzić do Mamy i zabrał ją razem ze strzelbą na "dopros". Nie było jej około pięciu godzin. Ryczeliśmy przez cały ten czas, myśląc że już nie wróci, ale Pan Bog dał, że wszystko dobrze się skończyło.

Początek listopada 1941

Tatuz wrocil ze szpitala w ostatnich dniach pazdziernika. Zafatwiliemy wiec odwszalnie i szczesliwie okazalo sie, ze bedzie pociag pasazerski z Kirowa do Jaroslawa, ktorego nikt sie nie spodziewal. Poza tym, w kierunku dzialan wojennych, mniej ludzi podaza, raczej w przeciwnym. My jedziemy niejako pod prad.

Udalo sie wsiasc i dojechalismy do Jaroslawa. Tutaj trafilismy na sytuacje znacznie gorsza niz w Wolodzie przed miesiacem. Ciezkie walki trwaja podobno pod sama Moskwa, a wiec niespejna 300 km od Jaroslawa. Ogromny dworzec i perony sa zabite ludzmi, a tory i bocznicie wagonami i pociagami z najprzeroznniejszym ladunkiem, z ktorych tylko nieliczne sa odprawiane.

Nikt z przebywajacych w hali dworcowej nie ma swojego miejsca bo co kilka godzin, o roznych porach doby, sa alarmy lotnicze. Lekkie mysliwce niemieckie nadlatuja niespodziewanie ostrzeliwujac dworzec i perony.

Przy kazdym alarmie wojskowi wypędzaja wszystkich ludzi z dworca i kaza kryc sie po ulicznych bramach. Kto prędezej wróci po takim alarmie do hali, ten zajmuje ławki i lepsze miejsce.

W tym czasie sanitariusze zbieraja z placu przed dworcem i z peronów zabitych i rannych.

Minęły chyba dwa dni tego koszmaru dworcowego, gdy poczułem że coś jest ze mną źle. Głowa bolała, trzęsły mną dreszcze i nie mogłem przełknąć nawet kawałka zdobytego przez Mamę chleba. Biegając z tobołkiem w ręce przy kolejnym alarmie, przez wybrukowany plac przed dworcem, potknąłem się i musiałem stracić przytomność, gdyż urwała mi się pamięć.

Mieliśmy taką umowę, że w czasie alarmu Mama pilnuje Ewuni, a każdy z nas trzech ze swoim pakunkiem ucieka samodzielnie, a po alarmie wracamy w to miejsce hali gdzie byliśmy przed nim.

Gdy nie wróciłem po alarmie, w czasie którego był ostrzał z samolotów, rodzice wpadli w straszną rozpacz, myśląc że zginąłem.

----- * -----

Odzyskałem przytomność w szpitalu. Mamusia szukała mnie dwie doby, aż sobie tylko znanymi sposobami uzyskała w tym strasznym panicznym zamęcie i bałaganie, informację o tym gdzie jestem.

Jest mi tu bardzo dobrze. Ciepło i spokojnie. Opiekuje się naszą salą, a mną szczególnie, taka starsza Rosjanka ciocia Waria. Mówi, że przywieźli mnie nieprzytomnego razem z rannymi, ale okazało się że jestem cały, tylko mam odrę i skrajne wyczerpanie. Teraz gorączka spada, wystąpiła wysypka i wraca apetyt. Ciocia Waria każdą wolniejszą chwilę spędza ze mną. Opowiedziałem jej nasze losy. Współczuje nam i płacze, gdy mówię. Szczególnie ciekawi ją to, że chodząc do szkoły jestem wierzący i znam pacierze. Prosi abym je mówił jak brzmią po polsku. Ona też w młodości chodziła do cerkwi i modliła się, ale odkąd cerkwie w mieście zostały zburzone lub zamienione

na magazyny i składy, a popi aresztowani, gdyż okazali się wrogami ludu - słowa pieśni i modlitw ulatywały jej stopniowo z pamięci i teraz jest jej bardzo smutno z tego powodu.

Lubię ją bo jest dobra, szczerza i serdeczna, ale wczoraj posprzeczałem się z nią o dzwony kościelne. Ona twierdzi, że dzwony są zamocowane nieruchomo, a przez otwór w "sercu" przeciągnięty jest sznurek za który się pociąga i tak dzwon dzwoni. A ja przecież pamiętam że dzwony są na ruchomej ramie i trzeba je rozkołysać aby dzwoniły. Wszyscy starsi chorzy, którzy słuchali naszego sporu, przyznawali rację cioci Wari. Tak się tym zezłościłem, że aż się rozpłakałem i dostałem gorączki.

Początek grudnia 1941

więc
pamięci

Nie jestem w stanie po kolei odtworzyć z pamięci, ani opowiedzieć dokładnie, tego, co działo się z nami przez ostatnie trzy tygodnie.

Wiem tylko, że w szpitalu jarosławskim leżałem 10 dni. Gdy Mama zabrała mnie z powrotem na dworzec, nie wiele się tam zmieniło. Nadal był on przepełniony ludźmi i pociągami, nadal trwały naloty myśliwców niemieckich, choć może trochę rzadsze, nadal ludzie uciekali przed nimi i kryli się po bramach.

Jak rodzice z Ewunią i Jędrkiem wytrzymali te 10 dni, jak spali, co jedli, jak cierpieli - nie wiem i nie umiem sobie tego do końca wyobrazić.

----- * -----

A swoją drogą patrząc na Ewunię myślę sobie chwilami
czym różni się cierpienie małych dzieci od cierpienia
dorosłych, lub starszych. Ci ostatni szamocą
się, biegają, krzyczą, modlą się, płaczą, rwą włosy, lub
kurczowo trzymając się życia gotowi są do zniszczenia
innych, do każdego świństwa, do kradzieży, rabunku,
morderstwa, zaparcia się siebie i swoich najbliższych.
A małe dzieci odwrotnie. Przestają płakać, stają się
spokojniejsze, coraz bardziej milczące, pokorniejsze i
tylko patrzą coraz poważniej, z coraz większym zdziwieniem
na świat i to co się dzieje dookoła, coraz szerzej
otwieranymi i coraz bardziej poważnymi oczkami...

---- * ----

Nie pamiętam już dokładnie jak udało nam się
ostatecznie wydostać z Jarosławia. Przeskok od
spokojnej, cichej, czystej i prawie sytej
rzeczywistości szpitalnej na powrót do warunków dworcowo-
podróżnych był chyba zbyt nagły. Przeżyłem jakiś wstrząs i
nagle wydało mi się, że wszystko co się dzieje dookoła,
znajduje się za jakąś ścianą, gdzieś poza mną, i mnie nie
dotyczy pozostawiając mi rolę stojącego obok biernego
obserwatora. Na mój tok myślenia opadła jakaś mgła. Myśli
się rwały lecz i to co mówiono do mnie też docierało z
przerwami. W pamięci wydarzeń pojawiły się luki. Mamusia
po kilka razy musiała mi coś powtarzać, abym
zareagował. Widziałem, że ma ze mną dodatkowy kłopot.

Całe dwa tygodnie jakie minęły od wyjazdu z
Jarosławia, to jedna plątanina
pociągów, dworców, peronów, tłumów, wsiadania,

wysiadanania, przepychania, gubienia się, odnajdywania, głodu, odwszalni, dworcowych podłóg, ławek, ustępów, zimna, niewyspania, jazdy w straszliwym tłoku na stojąco, kłótni i szarpaniny z różnymi ludźmi od których zależał nasz ratunek, lub którzy stawali nam na drodze.

----- * -----

Przez te dwa ostatnie tygodnie przesunęliśmy się zaledwie o 120 kilometrów w kierunku celu naszej podróży, do którego tych kilometrów jest jeszcze chyba znacznie ponad tysiąc.

Przypominam sobie, jak przez mgłę, jakąś małą stacyjkę, chyba nazywała się Nieriechta, zaraz za Jarosławiem, gdzie przez kilka dni usiłowaliśmy wsiąść do pociągu.

Potem pojechaliśmy przez pomyłkę jakąś inną, ślepo kończącą się linią, chyba do Kostromy, gdzie trzeba było czekać na pociąg powrotny.

Teraz jesteśmy na dworcu w Iwanowie i nie mamy już siły aby jechać dalej. Rodzice przestali już rozmawiać na temat dalszej podróży. Poginęły nam prawie wszystkie nasze tobołki. Mamy tylko to co na sobie, brudne i lepiące się do ciała. W dodatku Mamusi zapaliły się w odwszalni płaszcz. Ugasili, ale Tatuś musiał scyzorykiem "wyrównać" nadpalony dół płaszcza, tak że teraz sięga on tylko trochę poniżej kieszeni.

Co jednak najgorsze - Mamusi na chorej nodze otworzyły się rany, przed czym, przed wojną, przestrzegał lwowski profesor.

----- * -----

Iwanowo jest dużym obwodowym miastem, odległym o 240 km na północny wschód od Moskwy, w którym zatrzymała się główna

fala uchodźców uciekających w tym kierunku z oblężonej stolicy oraz ewakuowanych z terenów zajętych przez Niemców. Za pobliską Wołgą zaczyna się tajga północy, do której nikt się nie kwapi.

Ludzie, dla których Iwanowo jest oficjalnie potwierdzonym w dokumentach, docelowym miejscem ewakuacji, objęci są opieką władz miejscowych i wojennych. Polega ona na tym, że zgłaszające się rodziny i osoby, upychane są do mieszkań w mieście w drodze nakazów urzędowych od których nie ma odwołania. Po za tym "przypisywani" są do tworzonych punktów żywienia zbiorowego, gdzie jest szansa dostania talerza kapuśniaku i łyżki kaszy z olejem.

Pozostali podróżujący i przybyli tu na własną rękę, wśród których myśmy się znaleźli - zdani są sami na siebie.

Ludzie ci nie mający siły ani zamiaru dalszego podróżowania stanowią większość wśród wypełniających szczególnie wszystkie pomieszczenia dużego dworca kolejowego.

Leżą pokotem dzień i noc na podłogach poczekalni, hali dworcowej, korytarzy. Gdy jedni wstają za potrzebą, pożywieniem lub dla rozprostowania kości - inni w tym czasie na zasadzie wzajemności pilnują im miejsca. Raz na dobę służby wojskowo-sanitarne dokonują przeglądu leżących na posadzkach, zabierają zmarłych oraz chorych na tyfus lub nieprzytomnych.

Jak się wydaje Mamusi po raz pierwszy skończyły się pomysły na to co robić dalej i jak się ratować. Co prawda biega za pożywieniem; udało jej się nawet uzyskać pieczątki o zarejestrowaniu nas w jakiejś stołówce dla ewakuowanych,

ale co zrobić z nami wobec coraz ostrzejszej zimy, chyba po prostu nie wie. Tatuś coraz częściej gdera, że lepiej było zostać na posiołku czym doprowadza Mamę do rozpaczliwej furii.

----- * -----

Wczoraj mieliśmy dziwną przygodę. Zaczepił Tatusia przed dworcem jakiś starszy mężczyzna, a właściwie dziadek, w wybrudzonej fufajce i powiedział że go poznaje, prosząc aby poszedł za nim.

Zaprowadził go do komórki pod schodami dużej kamienicy, gdzie jak się okazało mieszkał, pracując jako sprzątac, palacz i dozorca. W komórce stał okrągły piecyk blaszany z rurą wpuszczoną przemysłnie do przewodu kominowego. Było ciepło. Mężczyzna wyjął z pod pryczy kociołek z ziemniakami w łupinach i postawił go na piecyku. Gdy się ugotowały zaprosił Tatusia do jedzenia po czym kazał przysłać żonę i dzieci, aby sobie podjadły i ogrzały się. Przyszliśmy oczywiście skwapliwie, zjedliśmy mu wszystkie ziemniaki z kociołka i ogrzali siedząc w kucki przy piecyku. Dzisiaj znowu byliśmy, ale tylko ogrzać się bo jak się okazało kociołek ziemniaków był ostatnim zapasem żywności jaki ten mężczyzna posiadał. Dopiero dzisiaj powiedział, że Tatusia rozpoznał z czasu I wojny światowej, gdy jako rosyjski jeńiec wojenny przebywał w austriackim obozie. Nie powiedział tego od razu aby nie wystraszyć. Obserwuje nas przez kilka dni, ale pomóc nie wiele może.

Połowa grudnia 1941

Ewunia zachorowała. Leżała na podłodze poczekalni rozpalona, z przymkniętymi do połowy oczkami i ciężko dyszała krótkim oddechem. Obserwowaliśmy ją z bezsilną rozpaczą, aż Mama zdecydowała się zgłosić ją drużynie sanitarnej wywożącej zmarłych i chorych. Zabrano ją do specjalnego szpitala dla małych dzieci (jest taki, jak się okazało, w Iwanowie). Mamusia też się tam udała za nią i na noc nie wroczyła. Widocznie została przy Ewuni.

---- * ----

Dzisiaj przyszły na dworzec dwie rosyjskie kobiety. Odnalazły nas, pokazały Tatusiowi jakiś papier i powiedziały że zabierają mnie i Jędrka do "Dietskiego Domu".

Podejrzewam, że Mama to załatwiła tylko nie mówiła nam abyśmy nie mieli do niej żalu.

Tatuś został na dworcu w Iwanowie sam.

Nasza "podróż ku wolności" skończyła się.

IV. DIETSKIJ DOM

Grudzień 1941 ciąg dalszy

Dwie kobiety, które zabrały nas z dworca, jechały z nami tramwajem przez całe miasto, a następnie przyprowadziły do budynku na którym wisiał duży napis "Dietskij Dom No.1", przekazały miejscowemu personelowi i po podpisaniu jakichś papierów, odeszły.

Tutaj ostrzyżono nas najpierw do gołej skóry, oczyszczono z grubsza nasze głowy z wszy, dziwiąc się, że jest ich tak wiele, kazano się umyć, zabrano gdzieś nasze ubrania zostawiając tylko podszyte kożuszkami, polskie jeszcze płaszcze, wydano nam jakieś sprane, drelichowe ubranka nie bardzo dobrane wymiarami i w takim stanie wypuszczono do holu, gdzie w oczekiwaniu na obiad, zgromadziła się większość wychowanków. Byli to wyłącznie chłopcy w wieku 8-14 lat.

Otoczyli nas kołem wypytując co za jedni i skąd? Informacja, że mamy oboje rodziców wywołała widoczną zawiść u niektórych, a wiadomość, że Polacy, skojarzyła się od razu, starszym z nich z ubiegłą wojną, podczas której "Budionny bił polskich panów." Informacje te nastawiły chłopców do nas niechętnie, a nawet wrogo.

Wyraźnym prowodyrem w całej grupie był wysoki, czternastoletni chyba, Lowa. Podszedł do mnie i zapytał czy umiem się bić. Ponieważ nikt nigdy mnie nie bił, a starsi chłopcy w szkole pana Michniewskiego nie dokuczli mi, byłem pewny siebie i odrzekłem, że tak, że umiem i będę się bił, gdy mnie ktoś zaczepi. Wówczas Lowka wskazał mi niepozornego chłopaczynę w moim wieku i zapytał czy z nim mogę się bić?

Odrzekłem buńczucznie, że oczywiście. Wtedy wskazał roślejszego, na co bez namysłu odparłem, że również. W gromadzie nastąpiło ożywienie. Gdy Lowka pokazał mi kolejnego mocniejszego wyraźnie kolegę, a ja wyraziłem konsekwentnie swą gotowość do pojedynku, zebrani wybuchnęli śmiechem. Wtedy Lowa spoważniał i wskazując na siebie zapytał: "to może ze mną też byś się bił?" Z desperacją przytaknąłem. Śmiechy ucichły, utworzono krąg w którym zostałem ja i większy ode mnie o połowę Lowka. - No coż - rzekł - trzeba nauczyć Lacha rozumu i pokazać mu jego miejsce. Podszedł do mnie i trącił dwoma palcami od dołu w nos. Zacisnąłem pięści i zacząłem nimi boksować go z całej siły gdzieś w okolice żołądka. Wziął wówczas rozmach i uderzył mnie z całej siły w twarz. Upadłem do tyłu.

Wtedy stała się rzecz niespodziewana. Stojący z boku Jędrak, na którego, jako malucha, nikt nie zwracał uwagi, zerwał się i jak pantera wskoczył dryblasowi na plecy, wczepił mu się rękami w kapotę i zaczął go gryźć w kark i uszy oraz okładać piętami. Wszyscy na chwilę zbaranieli, po czym Lowka strącił Jędrka z siebie, lecz nie uderzył go i mnie również dał spokój.

Powiedział tylko "chwatit" i chłopcy zaczęli się rozchodzić odwracając od nas.

Przyjęli widocznie do wiadomości, że przy ewentualnych starciach będziemy z Jędrkiem występowali nietypowo, w duecie, co ustaliło na razie naszą pozycję w społeczności wychowanków na dosyć wysokim, jak sadzę, poziomie.

----- * -----

Nasz "Dietski Dom" znajduje się w zachodniej części miasta, za pętlą tramwajową i przylega do miejskiego Parku Kultury i Wypoczynku, za którym płynie rzeka Uwod'.

Mieści się w trzech parterowych i dwóch dużych piętrowych drewnianych budynkach, podobnych do pensjonatowych, jakie pamiętam sprzed wojny z Rabki. Jest częścią ogromnego, podobno, Międzynarodowego Domu Dziecka, znajdującego się po drugiej stronie miasta, w którym są setki wychowanków różnych narodowości i języków - nawet Chińczycy. W naszym Domu są chłopcy od 1 do 5 klasy szkoły, przeważnie Rosjanie, lub tacy którzy chodzili już do rosyjskiej szkoły. Dlatego nas tutaj przywieziono.

Z drugiej strony, za terenem naszego Domu, jest sosnowy las w którym na wielu drzewach wiszą na sznurkach, powieszone za szyję, nieżywe psy. Dowiedziałem się, że gdy wybuchła wojna z Niemcami i wprowadzono kartki na chleb, mieszkańcy miasta nie mając czym żywić swoich psów, wyprowadzali je masowo do tego lasu i tu wieszali.

---- * ----

W głównym budynku mieszczą się klasy szkolne, kancelaria, pokój nauczycieli i stołówka. W drugim piętrowym

budynku są sypialnie. Tam też mieszka straszna kobieta Agafia Kirilowna, której wszyscy się boją, nawet dyrektor. Zawiaduje ona nie tylko sypialniami, ale również stołówką, pralnią, sprzątaniami, ogrodem, magazynami - całą dziedziną gospodarczą.

Budynku sypialnego się prawie wogóle nie opala wobec oszczędności opału i w salach jest straszliwie zimno.

Na Łóżkach nie ma kołder tylko cienkie wełniane kocyki w poszwach. W tej sytuacji chłopcom wolno przykrywać się dodatkowo płaszcami. Tylko nam z Jędrkiem Agafia Kiriłowna nie pozwoliła na to, twierdząc, że w naszych kożuszkach na pewno gnieździ się mnóstwo wszy, a zresztą jeśli w Polsce chodziliśmy w "szubach" to teraz możemy "przywykać" do rosyjskich chłodów. Dygocemy więc całą noc pod kocykami.

Chyba z powodu tego zimna w sypialniach, niektórzy chłopcy w nocy moczą się do łóżek. Z nimi Agafia Kiriłowna prowadzi otwartą wojnę. Budzi ich w środku nocy, stawia bosych w korytarzu nad kubelkami, sama siada w fufajce na krześle i czeka aż się wysikają. Jeśli któryś wstawał już wcześniej i teraz mu się nie chce, lub zsikał się do Łóżka, tym gorzej - stoją dygocąc godzinę i dłużej, aż do skutku. Ci co zmoczyli prześcieradła karani są dodatkowo obowiązkiem "prania" ich w zimnej umywalni pod kranem z lodowatą wodą w czasie przeznaczonym na sen. Agafia Kiriłowna jest wysoka, nadzwyczaj gruba i kiedy krzyczy na chłopców to cała słońcina i sadło na niej podskakują. Jest głęboko przekonana o tym, że chłopcy sikają do Łóżek naumyślnie, aby jej zrobić na złość, a jeśli nawet nie, to z lenistwa, gdyż nie chce im się wstać na kubeł. Nikt jej nie przekona, że jest inaczej.

Styczeń 1942

W pierwszych dniach stycznia dyrektor naszego Domu, okrągłutki i pulchny człowieczek, był w Moskwie na "komandirówce" czyli służbowo. Gdy wrócił odbyło się ~~zakończenie~~

zebranie uczniów starszych klas od 3-ciej do 5-tej - oraz pracowników domu na którym długo i ciekawie opowiadał jak wyglądała obrona Moskwy i jak rozbito pod nią Niemców. Mówił, że środek miasta otoczony był siatką metalową wiszącą na balonach, że pomniki były osłonięte, że wszyscy dorośli kopali transzeje lub walczyli w okopach, że Towarzysz Stalin nie opuścił miasta, lecz sam kierował jego obroną, że zmarzniętych trupów niemieckich jest tak dużo, że poukładano z nich całe sztaple i leżą tak jak drewno na opał, aż mrozy puszczą i można ich będzie pogrzebać. Że pod Moskwą zastosowano ~~wyjątkowo~~ nową broń radziecką t.zw. "Katusze", które bez luf wypuszczają dziesiątki pocisków równocześnie, a Niemcy boją się ich panicznie.

Na zakończenie powiedział, że teraz ruszyła wielka ofensywa Armii Czerwonej, która napewno będzie trwała aż do ostatecznego zwycięstwa.

Gdy dyrektor skończył swe wystąpienie wyjął i powiesił na ścianie wielki plakat z napisem dużymi literami: "Rok 1942 będzie rokiem pełnego zwycięstwa nad niemieckimi napastnikami".

Biliśmy wszyscy brawo i wznosili okrzyki "Niech żyje Armia Czerwona!" "Niech żyje Towarzysz Stalin!"

Może rzeczywiście wojna się w tym roku skończy i będziemy mogli wrócić do Polski ?

---- * ----

Jedzenie jest tutaj " normalne" to znaczy trzy razy dziennie. Rano dwie kromeczki chleba i słodki "czaj". Na obiad zupa i kartofle lub kasza, na kolację blin lub ryżka grochu

i kromeczka chleba. Wychowawcy i kucharki mówią, że karmią nas bardzo dobrze, a my jesteśmy tacy głodni. Porcję są takie malutkie !

W dodatku chleba nie można zjeść samemu całego, tylko część trzeba koniecznie wynieść, mimo że jest to zabronione.

Tą wyniesioną częścią trzeba się podzielić przede wszystkim z każdym mocniejszym chłopcem, z którym "nie chciał byś się bić" jeśli podejdzie i powie "daj poszamać". Odmowa oznacza wrogość, poczęstowanie - protekcję, a nawet obronę w razie potrzeby; no i należy przecież choć kawałeczkiem poczęstować najbliższego przyjaciela jeśli się takiego ma. A trzeba. Kto nie wynosi i nie częstuje chlebem kogo należy może się znaleźć w izolacji, a to w tej społeczności jest groźne.

Oczywiście najmocniejsi są tylko częstowani, a najsłabsi tylko częstują.

----- * -----

Byli u nas w odwiedzinach Rodzice. Chłopcy naśmiewali się z ich wyglądu, zwłaszcza z "podskubanego" płaszcza Mamusi. Ewunia jest nadal w szpitalu, teraz po odrze, którą przeszła, nabawiła się zapalenia płuc. Wydawało się że nie przeżyje, ale kryzys szczęśliwie minął. W dniach kiedy stan Ewuni jest ciężki lub kiedy gorączkuje, pozwalają Mamusi zostać przy niej na noc. Dostaje nawet wówczas talerz zupy lub grysiku, które nie wszystkie chore dzieci dojadają. Wówczas Tatuś sam zostaje na dworcu. W dzień chodzą po mieście od bramy do bramy w beznadziejnej wędrówce z pytaniem o jakikolwiek kąt i schronienie. Ostatnio zaczęli chodzić każde osobno licząc,

że może osobę samotną prędzej ktoś przyjmie na kwaterę. Mama cieszy się, że przynajmniej nam z Jędrkiem teraz nic nie grozi. Obyśmy tylko mogli na powrót połączyć naszą rodzinę !

---- * ----

Mam już serdecznego przyjaciela za którego dał bym się pokrajać! Jest Żydem. Na imię ma Joachim i jest o dwa lata starszy ode mnie. Przed wojną mieszkał z rodzicami w Niemczech. Jego tatuś uczył w gimnazjum. W 1939 roku, kiedy Niemcy i bolszewicy zajęli Polskę, wyjechali z Niemiec w obawie przed hitlerowcami i przez zieloną granicę przedostali się dobrowolnie na stronę radziecką, osiedlili we wskazanym miejscu, tu w Iwanowie, gdzie tatuś jego zaczął pracować w szkole jako nauczyciel niemieckiego, a mama w obcojęzycznej bibliotece. Gdy zaczęła się wojna rosyjsko-niemiecka w czerwcu 1941, jego rodziców aresztowano i zesłano do obozu, każde z osobna, a jego rozdzielono z nimi i umieszczono w tym Dietskim Domu.

Joachim nie może się z tym pogodzić. Nocami płacze, a w dzień jest krnąbrny i niegrzeczny wobec nauczycieli i wychowawców, wdaje się w bijatyki z chłopcami. Już dwa razy uciekał, ale za każdym razem milicja przyprowadzała go z powrotem. Teraz ma ostrzeżenie - jeśli ucieknie jeszcze raz dostanie dom poprawczy. A to jest podobno straszne.

Joachim ma bardzo dobre serce. Gdy chłopcy prześmiewali się z naszych rodziców to wściekał się i rzucał na nich z pięściami. Potem mnie pocieszał gdy widział, że mi smutno. Szkoda mi i żal Joachima bo on napewno znowu ucieknie, gdy tylko będzie cieplej.

---- * ----

W jednym z parterowych budynków jest t.zw.izolatka.Leżą tam chorzy chłopcy,ale nie na tyle chorzy aby iść do szpitala. Byłem ostatnio w izolatce przez tydzień,gdyż zacząłem kaszleć i gorączkować.Tam jest raj!Jest ciepło,zupy przynoszą ze stołówek do syta,są książki do czytania i patefon z kilkoma płytami.Izolatką opiekuje się bardzo dobra,kulawa,siostra Nina.Gdy któryś z chorych zostaje odesłany do szpitala to siostra chodzi go odwiedzać.Niestety już tej zimy zmarło w szpitalu dwóch naszych chłopców na zapalenie płuc.

Luty 1942

Było włamanie do magazynu z żywnością przy stołówce. Ktoś w nocy wyrwał okienko i wyniósł trochę chleba,jakieś konserwy i cukier.Wychowawcy ogłosili to w klasach zachęcając, aby każdy, kto coś wie o sprawie,lub domyśla się,zgłosił to dyrektorowi,który osobiście prowadzi dochodzenie.

Po dwóch dniach winowajców wykryto.Sa to trzej strasi już chłopcy z 5-tej klasy.Lowka podobno wiedział o wszystkim,ale się zaparł,a oni go nie zdradzili.

Wyznaczono sąd koleżeński.Pięciu "sędziów" oraz po dwóch "oskarzycieli" i "obrońców".Przez dwa dni wychowawczynie uczyły ich co mają mówić,a następnie w głównej sali odbyła się "rozprawa".Uczestniczyli w niej wychowankowie z klas III,IV i V oraz większość personelu.

Na początku magazynierka przeczytała protokół o fakcie, skutkach i stratach spowodowanych włamaniem.Następnie dyrektor

przedstawił wyniki i ustalenia śledztwa oraz winowajców, którzy przyznali się do winy. Potem oskarżyciele mówili, że włamywacze naruszyli podstawowe zasady socjalistycznej moralności ponieważ w czasie kiedy trwa wojna i całe społeczeństwo ponosi ofiary, oni ograbili swoich kolegów z żywności narażając też państwo na straty.

W kolejności obrońcy coś bąkali, że chłopcy byli głodni i nie rozumieli wielkości popełnianego przestępstwa.

Potem winowajcy przyrzekali poprawę i prosili o przebaczenie winy.

Wreszcie "sąd" po naradzie i głosowaniu tajnym, przyjął uchwałę proponującą dyrektorowi aby winnych skierował do domu poprawczego.

Po dwóch dniach już ich u nas nie było.

----- * -----

Odwiedziła nas Mamusia. Opowiadała co u nich, bo wiele się zmieniło. Już nie nocują na dworcu.

Tatusia przyjęła na kwaterę jakaś kobieta która mieszka sama, bo mąż jej zginął na początku wojny, a młodziutkiego syna teraz powołano do armii. Nie bardzo zrozumiałem dlaczego, gdy Mamusia to opowiadała, miała taką minę jak by się nie całkiem cieszyła i powiedziała "daj mu Boże, aby nam tylko przeżył".

Mamusia znalazła tymczasowe schronienie u innej baby. Ta z kolei mieszka z niedołęzną matką, którą trzeba doglądać gdy ona idzie do pracy na nocną zmianę do fabryki.

Za to dogłądanie Mamusia ma miejsce w sieni na starym kufrze. Kufer jest niestety znacznie krótszy niż Mamy wzrost i może

na nim leżeć tylko z podciągniętymi pod brodę kolanami, a na to nie pozwala jej owrzodzona noga bo strasznie puchnie. Jeśli noga zwisa z kufra to puchnie jeszcze bardziej i Mama nie może potem na nią stanąć. Ale mimo wszystko to jest lepsze niż podłoga na dworcu.

Rodzice zaczęli również pracować. Tatuś jako robotnik w spółdzielni szewskiej, a Mama w głównym szpitalu miejskim przy kąpaniu i przebieraniu przyjmowanych pacjentów.

Ewunia ciągle leży w tym dziecięcym szpitalu. Po tym zapaleniu płuc powstały jakieś przewlekłe komplikacje i przyplątały się jakieś inne choroby z gardłem oraz uszami. Zostanie w szpitalu jeszcze co najmniej kilka tygodni. Mamusia mówi "na szczęście" bo przecież nie ma jej dokąd zabrać.

----- * -----

Mam już drugiego przyjaciela: nazywa się Rozanow. Nie ma żadnego z rodziców i nie pamięta ich. Rozanow przepięknie rysuje i maluje. Potrafi narysować każdą rzecz - ludzi, zwierzęta, widoczki, że wyglądają całkiem jak prawdziwe, jak ilustracje z książki. Wszyscy prawie pracownicy Domu zabiegają o jego obrazki. Ale większość z tych które narysuje zabiera mu wychowawczyni klasowa Maria Ludwikowna. Zawsze twierdzi, że na wystawę do Domu Kultury. Nigdy zabranych rysunków nie zwraca tylko czasem daje mu ołówki, kredki, papier i farbki wodne. Rozanow jej nienawidzi od czasu jak wymknął się kiedyś na miejski bazar i widział tam Marię Ludwikownę stojącą i sprzedającą jego obrazki po 10 rubli.

---- * ----

Miałem straszną przygodę, z której kiedyś w Polsce, będę się musiał spowiadać. Żywność do naszego domu jest dowożona ręcznym wózkiem na czterech kółkach. Dwóch dyżurnych wychowanków z magazynierką udają się do pobliskiego magazynu państwowego i tam pobierają co się należy i przywożą do stołówki.

Miałem właśnie dyżur razem z Griszką z V klasy. Zaraz po lekcjach, jeszcze przed obiadem, pojechaliliśmy, ciągnąc wózek, po bieżący przydział. Kolejka załatwiających była duża i zeszło nam do zmroku. Wieźliśmy chleb i prawie pełny worek mialkiego cukru. Pod sam magazynek stołówki nie mogliśmy podjechać, gdyż prowadziła do niego tylko wąska, wydeptana w głębokim sypkim śniegu, ścieżka. Stanęliśmy więc za rogiem i zaczęli z Griszką nosić chleb, przy czym magazynierka stojąca przy wózku obserwowała nas do rogu budynku, a kucharka, odbierająca chleb w drzwiach magazynku, na następnym odcinku ścieżki. W pewnej chwili, gdy niosłem całe naręcz chleba, jeden bochenek zsunął mi się wpadając w śnieg. Schyliłem się by go podnieść, gdy dostrzegłem, że magazynierka nie patrzy w moją stronę. Szybka jak błyskawica myśl i jeszcze szybsze działanie! - Bochenka nie podniosłem, minąłem narożnik budynku i oddałem niesiony chleb kucharce. Robota była skończona. Poszliśmy z Griszką do stołówki, gdzie wydano nam zaległy obiad.

Połyknęliśmy go w pięć minut. Zwierzyłem się Griszce ze swej tajemnicy. Okazało się, że on też nie jest bez winy bo kiedy został na moment sam przy pełnym worku cukru zaczerpnął z niego pełną czapkę "uszankę" i również wsunął w śnieg. Co robić?

Po kolacji zawołałem Jędrka i wymknęliśmy się we trójkę na zewnątrz budynku. Naszą zdobycz przenieśliśmy do komórki na opał, do której o tej porze nikt nie wchodził. Tam w ogromnym pośpiechu zjedliśmy, łamiąc po kawałku rękami, cały ukradziony bochenek chleba i większość cukru czerpiąc go garściami z czapki. Resztę wysypaliśmy do śniegu.

Do sypialni jakoś się dowlokłem, ale co się działo ze mną gdy się położyłem i przez całą prawie noc - trudno opowiedzieć. Brzuch zrobił się twardy jak kamień. Przychodzące falami bóleści sięgały ostrymi sztyletami raz w górę do gardła, raz w dół, to znów na boki lub do kręgosłupa. Chwilami zatykało mnie i nie mogłem oddychać.

Przez cały jednak czas panowałem nad sobą aby jękiem nie zdradzić się przed śpiącymi kolegami i krążącą po salach Agafią Kiryłowną.

Dręczyła mnie również myśl, jak Jędrak, śpiący w innej sali, przeżywa skutki obżarstwa? Przecież gdyby zabrano nas do szpitala i rozcięto żołądki to rzecz się wyda i wówczas nie minie mnie dom poprawczy.

Na szczęście, jak się okazało następnego dnia, Jędrak łatwiej zniósł całą sprawę, chyba dlatego, że obiad zjadł o zwykłej porze i może mniej łapczywie rykał ten kradziony chleb.

----- * -----

Napisałem wiersz po rosyjsku:

"Kogda podumajesz kak rańsze żyłoś
I czto eto z toboju słucziłoś
To ty gotow na wsio rieszyt`sia
Lisz by tuda, w rodnoj kraj, worotit`sia
Tam gdzie na krysze rodimowo doma
Żił biełyj aist, moj dobryj znakomyj
Eto on, ja pomniu, wiesiennimi dniami
Zabawliał mienia swoimi ptienkami.
Kogda ujeżzali on kak by proszczalno
Smotrieł na mienia. Ticho i pieczalno
Wzgliań na gołubyje, kak kraska niebiesa
Wzmachnuł kryliami i skryłsia za krajem
znakomowo liesa
Tiepier`kogda dalnije daże minuty proszczania
Ostalisia tolko lisz wospominania"

Myślałem dosyć długo co z tym wierszem zrobić, aż
wreszcie dałem go nauczycielce rosyjskiego Nadzieźdi
Fiodorownie, aby przeczytała i oceniła.
Lubię ją. Jest zawsze smutna i bardzo dobra. Rozmawiała ze
mną parę razy o losach naszej rodziny. Zabrała wiersz do
domu.

Następnego dnia poprosiła abym został na przerwie w
klasie i oddając mi zeszyt powiedziała: "Juroczka, miły
mój, wiersz jest cudowny, przepiękny, najładniejszy i
najbardziej wzruszający jaki w życiu czytałem, przepisałam
go sobie na pamiątkę; ale proszę cię i radzę, kochany, nie
pisz więcej takich wierszy, a jeśli

napiszesz to nikomu nie pokazuj - szkoda ciebie na to"
Pocałowała mnie, następnie w policzek i odeszła na bok,
odwracając głowę.

Nie bardzo ją zrozumiałem. Jeśli wiersz jest dobry to
czemu mam takich nie pisać i nie pokazywać? Dorośli są
czasem dziwni.

---- * ----

Odwiedził nas Tatuś. Przyniósł nadzwyczajne wiadomości
o Mamusi. Otóż stan jej nogi tak się ostatnio pogorszył,
że prawie nie mogła pracować. Zbadał ją główny chirurg
szpitala, stary doktor o nazwisku Przeteczyński. Okazało
się w rozmowie, że jest Polakiem z
pochodzenia, osiadłym w Rosji jeszcze przed rewolucją. Sam
zdecydował o natychmiastowej operacji, którą też
osobiście przeprowadził. Teraz już jest po
wszystkim, Mamusia ma na nodze dziewięć dużych szwów
od pachwiny aż do kostki, ale czuje się już lepiej
i najważniejsze, że udało się uniknąć amputacji.

---- * ----

Wybrałem się z Jędrkiem w niedzielę w odwiedziny
do Mamusi. Leży na dużej, zapchanej łózkami sali z nogą
zabandażowaną i podwieszoną. Czuje się coraz lepiej. Doktor
Przeteczyński odwiedza ją codziennie i osobiście
dopilnowuje opatrunków. Po raz pierwszy od dawna widziałem
Mamę uśmiechniętą.

Na tej samej sali leży polska, dwunastoletnia
dziewczynka jak się okazało z Międzynarodowego Domu
Dziecka. Jest tam kilkoro polskich dzieci. Dziewczynka ta
wypadła z okna drugiego piętra, gdy wychyliła się, aby dla
żartów, polać wodą koleżankę

na dole, i złamała sobie w dwóch miejscach nogę.

Przychodzi ją odwiedzać Polka, starsza, całkiem siwa kobieta, którą dziewczynka nazywa Babcią Fornalską i traktuje jak kogoś z najbliższej rodziny. Mamusia zaprzyjaźniła się z nią od razu tym bardziej, że jest to pierwsza Polka napotkana przez nas od wyjazdu z Posiołka. Babcia Fornalska opowiada, że w Międzynarodowym Domu Dziecka jest jej wnuczka Oleńka, a jej pozwolono tam przebywać i pracować przy praniu oraz sprzątaniu w izbie chorych w zamian za strawę i kąpiel. Mówiła że jest tam

grupa polskich dzieci, bez żadnego polskiego wychowawcy, którą ona się z własnej inicjatywy opiekuje.

Żywo interesowała się kolejami naszego losu i zachęcała do kontaktów po wyjściu ze szpitala.

---- * ----

Wychowawczyni, Galina Jakowlewna zawołała mnie któregoś dnia w czasie dłuższej przerwy i usiadła ze mną w rogu świetlicy na rozmowę. Zapytała najpierw czy mieszkając z rodzicami w Polsce chodziłem do kościoła, czy znam modlitwy i czy jestem wierzący. Gdy odpowiedziałem twierdząco zaczęła mi spokojnie tłumaczyć: że uczeni już dawno udowodnili iż żadnego Boga nie ma, że opowieści biblijne o stworzeniu świata, życia i człowieka nie znajdują naukowego potwierdzenia, że to człowiek stworzył i wymyślił Boga, a nie odwrotnie; że w carskiej Rosji, a do dziś w innych krajach kapitalistycznych, popi, księża, zakonnicy i wszelcy duchowni sami nie pracują, tylko utrzymują ludzi w ciemnocie, zabobonach i zacofaniu, aby kapitaliści mogli ich

łatwiej wyzykiwać, że jeżeli ktoś chodzi do szkoły i uczy się to nie może równocześnie wierzyć w religijne zabobony.

Po tej rozmowie mam kompletny zamęt w głowie. Przecież to niemożliwe, żeby moi rodzice i większość ludzi w Polsce byli głupszy od Galiny Jakowlewnej i nie wiedzieli tego wszystkiego co ona mi mówiła. Tak bardzo chciał bym porozmawiać o tych sprawach z Mamusią. Może łatwiej było by mi to wszystko zrozumieć.

---- * ----

Ostatnio coraz częściej wieczorami czuję pulsowanie w skroniach, dreszcze i gorączkę. Zaczyna się jakieś swędzenie głęboko w gardle, a potem uporczywy suchy kaszel, który męczy mnie całą noc. Czasem przez kilka dni jest mi lepiej potem znowu się powtarza.

Poleżałem sobie ponownie ponad tydzień w izolatce. Co za rozkosz ! Rozgrzałem się, wzmocniłem, podkarmiłem. Kiedy jednak któregoś dnia dostałem ostrzejszego ataku kaszlu na chustce którą otarłem usta pokazała się krew...

Siostra Nina, której to pokazałem, bardzo spowaźniała. Za dwa dni wzięła mnie do miasta, do lecznicy miejskiej, gdzie był taki specjalny aparat do prześwietlania człowieka na wylot. Lekarka dokładnie oglądała przez taką ruchomą ramkę całą moją klatkę piersiową, potem dyktowała coś niezrozumiałego, a do siostry Niny powiedziała po cichu: "biedny chłopczyk, chyba roku nie pociągnie"

Gdy wróciliśmy, siostra Nina myślała dłuższą chwilę i orzekła, że dyrektorowi o wynikach prześwietlenia na razie nie powiemy, że mam przychodzić codziennie do izolatki po lekarstwa, że ostatecznie zobaczymy co przyniesie wiosna i lato.

Koniec kwietnia 1942

W związku z nastaniem wiosny otwarto Park Kultury i Wypoczynku. Biegamy tam często przez płot dla rozrywki i aby popatrzeć na ludzi. W parku czynna jest duża czytelnia w której przebywam chętnie w niedzielę zwłaszcza, czytając ciekawe książki, nie tylko rosyjskich ale i zagranicznych pisarzy, n.p. J. Werne, Marka Twaina i innych, które podobno zaraz po rewolucji były palone, a teraz niedawno wydano je w dużych ilościach zapełniając nimi biblioteki.

Większość różnych urządzeń sportowych jest teraz, w czasie wojny, nieczynnych, a w kioskach można kupić tylko czerwoną lemoniadę nalewaną do kufla z beczek.

W sobotnie popołudnia i w niedzielę z wiszących na słupach głośników ryczy głośna muzyka, a po wysypanych piaskiem alejkach spacerują ludzie przeważnie, niestety dziewczęta i młode kobiety, z rzadka jakiś wojskowy.

W ogóle, jak się dowiedziałem, w Iwanowie jest szczególnie mało mężczyzn, a znacznie więcej wdów niż w innych miastach.

Kiedy zaczęła się wojna z wszystkich powołanych w pierwszej mobilizacji utworzono tak zwaną "Dywizję Tkaczy Iwanowskich", która w czasie ofensywy niemieckiej dostała się w okrążenie i została prawie w całości wybita, a jej resztki zginęły

w niewoli. Od tej pory Stalin podobno zabronił tworzenia jednostek wojskowych według miejsc, czy okolic zamieszkania.

----- * -----

Była u nas Mamusia. Po raz pierwszy ze zdrową po operacji nogą, nie obolałą, bez ran, nie spuchniętą. Troszkę jeszcze kuleje, ale zgodnie z radą doktora Przeteczyńskiego ma teraz dużo chodzić, aby krew krążyła.

Posiedziała godzinę z nami, a potem zwolniłem się i poszedłem ją odprowadzić, pieszo, na drugi koniec miasta. Po drodze dużo rozmawialiśmy. Po raz pierwszy Mamusia mówiła do mnie nie jak do dziecka lecz kogoś dorosłego. Bardzo mi to schlebiało. Cieszy się, że ma znów zdrową po 11-tu latach nogę, ale wciąż ją dręczy sprawa Ewuni, która teraz jest na takim specjalnym oddziale rekonwalescencyjnym, czy coś w tym rodzaju, bo ma trudności z chodzeniem, ale gdzieś za miesiąc czy półtora ją wypiszą i co wtedy? Gdzie ją zabrać?

W Iwanowie, jak się okazuje nie ma ~~specjalnego~~ domu dziecka dla takich małych dzieci. Kiedyś był, ale zmienili go na szpital wojskowy.

Jeśli Mama jej nie zabierze to wyślą ją gdzieś dalej i możemy jej już nie odnaleźć. Trzeba się gorąco modlić to może Pan Bóg pomoże przez ten miesiąc znaleźć jakieś wyjście.

Potem, prawie na wesoło, Mamusia opowiedziała mi historię z Tatusia futrem, choć w zasadzie nie jest ona wesoła.

Otóż, ze Lwowa jeszcze, Tatuś zabrał porządny futrzany płaszcz, pokryty solidnym bielskim materiałem. W Posiołku go nie nosił, bo tam miał fufajkę. Włożył go na siebie gdy wyruszaliśmy

"ku wolności". W czasie tułaczki wierzch się znacznie zniszczył i zabrudził, ale futrzany spód, jak Mamusia mówi, "błam", uszyty z jakichś małych skórek, był dobry, tylko trochę postrzępiony od spodu. I oto, kiedy nie dawno, w końcu zimy, Mamusia widziała się z Tata, stwierdziła, że błamu prawie nie ma poza małym kawałkiem na karku i ramionach. Co dziwniejsze, że Tatuś wogóle nie zauważył jak jego futro "stopniało". Mamusia doszła po namyśle do wniosku, że to gospodyni Tatusia wobec "niewypłacalności" lokatora, wypruwała mu delikatnie, co jakiś czas, po jednej skórcie z futra i nosiła na bazar - bo taka skórka idealnie się nadaje na uszycie czapki. -

Kiedy odprowadziłem Mamę bardzo bolaly mnie nogi, a szczególnie stopy, ponieważ wybrałem się boso, gdyż jest już ciepło, a zresztą letnich butów nie mam. Postanowiłem wracać tramwajem - ale skąd wziąć bilet, gdy nie mam ani grosza?

Wsiadłem jednak do tramwaju, na zatłoczony do niemożliwości tylny pomost i myślę co tu zrobić. Wpadłem na pomysł, że przecież wielu wysiadających pasażerów rzuca zużyte bilety na podłogę tramwaju i na pewno jakiś tam leży, tylko trzeba go znaleźć. Ale głowę mam unieruchomioną w ścisku. Zacząłem więc ostrożnie obmacywać bosą nogą podłogę, zataczając nią coraz większe koła. W pewnym momencie musiałem trącić w udo jakiegoś starszego chłopa, który nagle ryknął: "wor, wor, bijcie go, czułem jak lezie mi ręką w karman!" i rąbnął mnie z całej siły pięścią po głowie. Poczułem jeszcze kilka uderzeń i jak z procy wyleciałem z tramwaju, w pełnym biegu, na bruk. Zdarłem sobie kolana, dłonie i policzki do krwi, ale poza tym nic

mi się nie stało. Do Domu dowlokłem się jak zbity pies i miałem ogromne trudności z wytłumaczeniem się wychowawczyni, która nie bardzo chciała uwierzyć, że po prostu upadłem na ulicy.

Tylko siostrze Ninie, gdy mi opatrywała skaleczenia, powiedziałem prawdę.

Maj 1942

Jest już całkiem ciepło, a nawet upalnie. Probujemy się nawet kąpać w Uwodi, ale woda jest jeszcze zimna.

Niedługo koniec roku szkolnego. Starsi chłopcy z klasy piątej cieszą się. Opuszczają Dom Dziecka. Większość z nich pójdzie na naukę zawodu do fabryki zbrojeniowej. Będą pracowali po 6 godzin za wynagrodzeniem, potem 4 godziny nauki, mieszkanie w "obszczeżytiu" i obiady w fabrycznej stołówce. W sobotę po pracy i w niedzielę na miasto, do kina, do parku, prawdziwe dorosłe życie. Szczęśliwi. Co prawda za dwa lata czeka ich pobór do armii, ale najzdolniejszych robotników fabryka może zatrzymać, będą się więc starać, a zresztą do tego czasu wojna się na pewno skończy.

----- * -----

Joachim znowu uciekł. Tym razem chyba ostatecznie, gdyż mimo upływu tygodnia nie przyprowadzili go z powrotem. Widocznie, jak zamierzał, "zmienił" imię i nazwisko i nie przyznawał się skąd jest jeśli go złapali. Tylko jak odnajdą go rodzice gdy po wojnie wypuszczą ich z więzienia?

---- * ----

Gdy Mamusia była ostatnio mówiła mi o jeszcze jednej rzeczy. Otóż w szpitalu w którym pracuje, jest specjalny magazyn, w którym, po odwszeniu, gromadzi się ubrania po nieboszczykach, po których nie zgłaszają się rodziny. Jest takich, obecnie zwłaszcza, bardzo wielu. Ubrania te, co jakiś czas zabiera opieka społeczna, jednak przedtem, Mamusia, jako pracownik szpitala ma do nich dostęp. Była więc w tym magazynie parę razy i dobrała sobie, a nawet Tatusiowi co nieco na grzbiet, tak, że ten zielony podpalony i obcięty płaszcz mogła wreszcie wyrzucić.

---- * ----

Przed naszym Domem i w koło ogrodu jest piękna i długa aleja lipowa. Drzewa nie są wysokie bo były przycinane, ale korony mają gęste. Teraz pękają na nich wielkie pąki z których wychodzą zwoje jasnozielonych mięciutkich liści. Odkryliśmy, że liście te są bezwłókniste i łagodne, a nawet przyjemne w smaku. Jest nas kilku amatorów. Codziennie włączymy na drzewa i najadamy się tych liści do oporu. Jak chrabąszcze. Może mi się wydaje ale mam wrażenie, że ten śluz z przeżuwanych liści jak by trochę łagodził mój kaszel.

---- * ----

Stała się rzecz nadzwyczajna. Mamusia mówi że to kolejny cud, bo inaczej nie można sobie tego wytłumaczyć. Otóż wypisali Ewunię ze szpitala. Mama ją zabrała aby zaprowadzić do ~~opracowania~~ urzędu opieki nad bezdomnymi dziećmi w Gorispolkomie, gdyż nie miała się gdzie z nią podziac.

Przedtem jednak tknięta, jak twierdzi, palcem Bożym, wsiadła z Ewunią do tramwaju i pojechała do peryferyjnej dzielnicy, gdzie nigdy jeszcze nie była, weszła w pierwszą wąską uliczkę o nazwie jak się okazuje "Pierwszy Północny Zaułek" i zapukała do bramy pierwszego narożnego, drewnianego domku. Otworzyła jej starsza, może 50-cio letnia kobieta, o dobrej i mądrej twarzy. Mamusia powiedziała jej wprost, że jest uciekinierką wywiezioną z Polski, nie ma z dzieckiem dachu nad głową i prosi o przyjęcie na kwaterę. Kobieta, o dziwo, nie zatrzasnęła jej drzwi przed nosem, lecz poprosiła o powtórzenie tego wszystkiego jeszcze raz, ale po polsku, a następnie zaprosiła Mamę z Ewą do mieszkania. Tutaj zagrzała w garnku jakąś manną kaszę, dała po kromce chleba, posadziła je za stołem, zaparzyła samowar, nalała czaju i kazała opowiadać całą naszą historię po kolei od przedwojny.

Gdy Mama skończyła, kobieta, a właściwie "ciocia Sonia" jak ją Ewa od razu nazwała, opowiedziała w paru słowach o sobie.

Nazywa się Sofia Konstantynowna Czernyszowa. Jest Polką, ale po polsku nie mówi, choć wszystko rozumie. Przyjechała z rodzicami do Rosji po 1905 roku jako kilkunastoletnia dziewczynka. Otrzymała staranne wykształcenie. Po rewolucji, kiedy rodzice jej poumierali, pracowała w różnych instytucjach, dochodząc do poważnych stanowisk. Wstąpiła do partii.

1936 roku, nagle okazało się, że jako Polka, burżuazyjnego pochodzenia nie zasługuje na zaufanie, a może ktoś na nią coś doniósł, w każdym razie wyrzucono ją z partii, zwolniono ze stanowiska i dostała wyrok kilku lat obozu pracy.

Wróciła rok przed obecną wojną. Ma męża, który jest teraz na froncie, dorosłą córkę Lenę i 13-to letniego syna Igora, którzy z nią mieszkają. Ona pracuje obecnie jako główna kucharka w szpitalu wojskowym. Domek jest jej własnością.

Na końcu oświadczyła, że mieszkanie ma trzy pokoje, można się trochę ścieśnić i dla Mamy z Ewą miejsce się znajdzie.

W każdym razie na ulicę z powrotem ich nie wyrzuci, ani nie pozwoli aby Ewunię zabrano do jakiegoś nieznanego sierocińca.

Mama położyła Ewunię na miękkim łóżku Cioci Soni, do snu, a sama popędziła na swoją kwaterę u baby, po osobiste rzeczy, wstępując po drodze do naszego Domu z radosną nowiną.

Czerwiec 1942

Zakończył się rok szkolny. Przeszedłem do czwartej klasy. Jędrka niestety jeszcze na samym początku cofnięto z powrotem do pierwszej, tak że teraz przeszedł do drugiej. Chłopcy z piątej już opuścili Dom. Jest trochę luźniej w stołówce i w sypialniach. Dużo wolnego czasu. Pracujemy grupami w ogrodzie, ale nie wiem co dyrektor Domu chce z tego ogrodu mieć. Przecież jak tylko zaczną podrastać warzywa - marchew, rzodkiew, groch, a nawet buraki - to wszystko pozjadamy na surowo - nie upilnują !

Ale nie tylko u nas trwają ogrodnicze prace. Ludzie, w kwietniu jeszcze, skopali dosłownie każdy kawałek ziemi który się do tego nadawał. W całym mieście wszystkie podwórka, skwery, zieleńce i trawniki; nawet pasy zieleni między dwoma pasami centralnych ulic - wszystko zamieniono w jedną wielką

plantację ziemniaków. Kto gdzie skopał, to jego. Kradzieży podobno nie będzie bo ma wyjść, czy już wyszło, jakieś straszne prawo na złodziei żywności w czasie wojny.

---- * ----

Grom z jasnego nieba! Z rana przyszła Mamusia, wpadła do dyrektora i złożyła oświadczenie, że zabiera nas z Jędrkiem z Domu Dziecka. Że ma obecnie warunki ku temu aby zapewnić nam dach nad głową i opiekę. Chyba wielkich przeszkód nie stawiano, bo szybko wypisano odpowiednie "sprawki", wystawiono świadectwa szkolne i w południe po obiedzie byliśmy już z tobołkami za bramą. Nie pożegnałem się nawet z siostrą Niną.

Mamusia nie zdążyła nam powiedzieć co się zmieniło i wpłynęło na tę nagłą decyzję. Spieszyła się na popołudniową zmianę do swego szpitala i szybko ciągnęła nas na piechotę przez ulicę. Mówiła, że wszystkiego się dowiemy.

Ogarnął mnie przede wszystkim strach przed nową tułaczką i niepewnością jutra. Do Domu Dziecka zacząłem się już przyzwyczajać, gdyż po przeżyciach Posiołka i koszmarniej tułaczce kolejowo-dworcowej był on mimo wszystko spokojną przystanią.

Co będzie z nami teraz?

V. IWANOWO

Lipiec 1942

Okazało się że Mama, zabierając nas w pośpiechu z Domu Dziecka, chciała wykorzystać nadarzającą się, jej zdaniem, jedyną okazję ku temu, aby mieć wszystkie dzieci znowu przy sobie.

Otóż w domu cioci Soni jest jeszcze drugie mieszkanie, duży pokój z kuchnią. Zajmowała je dotychczas rodzina Anastazji Gawriłownej - robotnicy z fabryki tekstylnej, która teraz została w nim sama. Jej mąż, zmobilizowany latem 1941 roku, zaginął bez wieści. Młodziutkiego syna wcielono do armii wiosną tego roku i właśnie przed trzema dniami nadeszła wiadomość że zginął.

Wielkość mieszkania przekracza znacznie wojenne normy na jedną osobę, która przestała być "rodziną wojskowego", dlatego też lada dzień należy spodziewać się wizyty władz lokalowych i przymusowego dokwaterowania jakichś "bieżeńców".

W tej sytuacji ciocia Sonia, przekonała jakoś nieszczęsną kobietę aby sama przeniosła się do kuchni, a do pokoju, zamiast niewiadomych lokatorów "urzędowych", wpuściła naszą Mamę z trójką dzieci. Rozpaczająca po stracie syna Anastazja Gawrilowna widocznie przytaknęła, co zmobilizowało Mamę do szybkiego działania.

Tym sposobem mieszkamy znowu razem, co prawda w gołych czterech ścianach, prawie bez sprzętów, naczyń, pościeli, no i głodniej niż dotychczas, ale za to z Mamą.

---- * ----

Trwa lato. Zaprzyjaźniłem się z Igorem, synem cioci Soni. Często przesiaduję u nich grając z nim w szachy. Zawsze prawie dostanę coś do zjedzenia, gdyż ich rodzina należy do takich, którym "chleba starcza", a to zapewnia rozgłos i zawiść na całą ulicę. Ciocia Sonia, jako główna kucharka w wojskowym szpitalu, w domu prawie nie jada, a kartki zostawia. Poza tym codziennie przynosi niby zlewki w bańce do domu. Oprócz tego jej córka Lena ma "narzeczonego" pięćdziesięcioletniego majora z intendencji wojskowej. Jego rodzina została gdzieś na Ukrainie pod okupacją i "chyba zginęła", jak mówi. Lena jest w nim po uszy zakochana, a on, gdy przychodzi wieczorami, to często przynosi konserwy i chleb, ale sam prawie nie je.

Gdy jest pogoda, wałęsamy się z Igorem po mieście i okolicy. Najpożyteczniejsze są wyprawy wzdłuż toru kolejowego. Często można tam znaleźć coś, co może się przydać w domu. Każda deska, kawałek drewna czy węgla na opał, skrzynka czy bańka blaszana, z której można zrobić wiaderko i temu podobne, mają swoją wartość.

Chodzimy też na bazar. Tam jest najciekawiej, chociaż ciocia Sonia gniewa się na nas za to. Po bazarze kręci się "szpana" i łatwo trafić przez pomyłkę w ręce milicji z oskarżeniem o kradzież.

A z bazarem to jest taka sprawa:

W mieście nie ma żadnych sklepów w których można by cokolwiek nabyć. Są tylko "punkty" gdzie można wykupić chleb, sól, zapalki i mydło na kartki. Inne "produkty" jak cukier, tłuszcz i mięso są tylko na kartkach wydrukowane, ale trzeba być

specjalnie uprzywilejowanym, n.p. pracownikiem fabryki zbrojeniowej, aby w fabrycznym "punkcie" te produkty wykupić.

Ceny przy wykupie towarów na kartki są takie jak przed wojną - n.p. chleb kosztuje jednego rubla za kilogram - ale też zarobki ludzi się nie zmieniły. N.p. mój Tatusz w Spółdzielni zarabia 250 rubli, a Mamusia w szpitalu 200.

Tymczasem na bazarze można dostać prawie wszystko: chleb, placki, obwarzanki, twaróg, mleko, jajka, warzywa, papierosy, machorkę - nie mówiąc o garderobie, niciach, igłach, sprzęcie i narzędziach domowych, naczyniach i t.p. ale, za niebywale wysoką cenę. Na przykład 1 kg czarnego chleba kosztuje 100 rubli, a 1 kg ziemniaków 60. Za szpulkę nici trzeba zapłacić 50 rubli, a za igłę połowę tej sumy.

Nic też dziwnego, że bazar przyciąga jak magnes różnych ludzi - nie zawsze z uczciwymi zamiarami.

Czasem chodzimy się kąpać nad rzekę. W tej części miasta jest ona szersza. Za rzeką są pola i ogrody "przymiejskiego" sowchozu. Można tam, przepłynąwszy rzekę, wczłógać się między grzedy marchwi lub rzodkwi i urwać sobie pęczek. Ale sprawa nie jest bezpieczna, bo stróż pilnujący ogrodów ma fuzję nabitą gruboziarnistą, kamienną solą, którą co niektórzy już sobie z tyłków wudłubywali.

Wczoraj wybraliśmy się za miasto, gdzie położone jest szkoleniowe lotnisko wojskowe, aby poobserwować trochę samoloty.

Widzieliśmy dziwną rzecz.

Na lotnisku stała grupa spadochroniarzy, których samolot, dwupłatowiec, zabierał po dwóch, do szkoleniowych skoków.

Widzieliśmy właśnie jak zabrał pierwszych i wzbił się z nimi na kilkaset metrów. Gdy jeden z nich skoczył, spadochron wysunął mu się z plecaka lecz się nie otworzył, a skoczek, koziołkując, grzmotnął o płytę lotniska, ginąc oczywiście na miejscu.

Z drugim spadochroniarzem, który wyskoczył w minutę po nim stało się dokładnie to samo. Samolot wylądował, ale nikt już do niego nie wsiadł i spadochroniarze odmaszerowali w stronę hangarów.

Co za przyczyna tych tragedii? = Linki spadochronów były wyraźnie podcięte, ale przez kogo?

---- * ----

Anastazja Gawriłowna niestety coraz bardziej daje nam odczuć, że nie jest zadowolona z naszego sublokatorstwa. Prawdą jest, że sprawiamy zbyt dużo zamieszania. Ona pracuje na różne zmiany, czasem chce się wyspać, a tu rano Mama zrywa Ewunię do żłobka i sama się zbiera, no a my, chłopcy, też nie jesteśmy aniołami. Poza tym nie mając własnego sprzętu korzystamy z jej wiader, garnków, narzędzi, a nawet misek czy talerzy. Najgorzej gdy Mama musi co jakiś czas zrobić pranie. A gdy jeszcze Tatuś dowiezie swoje brudy, to już jest szczyt. Najpierw obydwie krzyczą na niego, a potem kłóć się między sobą. Uciekam wtedy z domu.

W dodatku gospodyni Tatusia, też, jak mówił, coraz ostrzej żąda aby się wyniósł. Twierdzi, podobno, że przy takich warunkach mieszkaniowych jak ona ma, to mogła by sobie zakwaterować "nastojaszczonego muzyka", a nie takiego "smorcza" jak Tatuś.

Rodzice, gdy Tatuś przychodzi, też coraz częściej się kłóć. Ostatnio Tatuś, nie zważając na nas, robił Mamie ostre

wyrzuty, że zabrała nas z Domu Dziecka. Zabolało mnie to okropnie, bo z jednej strony wiem, że chyba ma rację, a z drugiej tak bardzo Mamę kocham za to, że zawsze chce nas ratować i mieć przy sobie.

Sierpień 1942

Iwanowo, które już dość dobrze teraz poznałem, liczy ponad 200 tysięcy mieszkańców i jest stolicą "obłasti" czyli jak gdyby naszego województwa. Wzdłuż kilku głównych ulic stoją budynki murowane i wielopiętrowe. Ulicami tymi jeżdżą tramwaje. Resztę, a właściwie większość miasta, leżącego na kilku wzgórzach, tworzą całe dzielnice małych drewnianych domków, stojących przy ulicach, szerokich co prawda, lecz piaszczystych, pozbawionych nawet bruku. Najokazalszymi budowlami w mieście są teatr i duży stały cyrk, z ogromną kopułą, poza tym gmachy obkomu partii i obłsowietu. W mieście jest kilka fabryk tekstylnych i różnego przemysłu metalowego, ale wszystkie one obecnie pracują dla potrzeb wojskowych. Obowiązuje żelazna, stalinowska zasada, "wszystko dla frontu - wszystko dla zwycięstwa nad wrogiem" i jest ona konsekwentnie stosowana. Żadna fabryka nie wytwarza niczego co nie było by wysyłane na front. Nawet dawna fabryka ołówków robi teraz naboje.

Tatuś mówi, że żadne państwo na świecie nie potrafiło by "z suchej cytryny wycisnąć tyle soku", co sowieckie państwo Stalina.

W mieście jest kilka szpitali. Niektóre z nich, jak również część szkół i gmachów urzędowych, zamieniono na szpitale wojskowe.

Większość cerkwi jakie istniały w Iwanowie jeszcze kilkanaście lat temu jest obecnie, częściowo przynajmniej, zburzona, mają pozrywane krzyże, pourywane kopuły, powybijane okna. Mieszczą się w nich różnego rodzaju składy, magazyny, warsztaty, rupieciarnie i t.p. Dopiero w tym roku odnowiono prowizorycznie i otwarto jedną z cerkwi, ale chodzą do niej wyłącznie ludzie starzy.

Wrzesień 1942

Znowu zaświtała nadzieja na korzystną odmianę naszego losu, a przynajmniej na połączenie rodziny.

Tatuś, który już z grubsza opanował język rosyjski, podjął poszukiwania pracy w swoim zawodzie - i znalazł.

Od października ma pracować jako starszy planista w Iwanowskim "Leschozie". Wyjaśnia nam obszernie co to jest za firma:

Otóż w tajdze archangielskiej i na Syberii prowadzi się wyłącznie eksploatację lasów nie tkniętych jeszcze przeważnie ręką człowieka, wycinając je na zwartych dużych powierzchniach dla pozyskania drewna i pozostawiając samej przyrodzie troskę o odnowienie wylesionych obszarów. Działalnością eksploatacyjną lasów zajmują się tam "Lespromchozy", takie jaki był w Konoszy, poprzez sieć "lesouczastków" organizujących pozyskanie i transport drewna, jak to było w Posiolku Nr.4.

Tutaj natomiast, w środku europejskiej części Rosji, gdzie lasów jest obszarowo mniej, gdzie są one użytkowane wszechstronnie od setek lat, gospodarka leśna prowadzona jest w sposób bardziej rozsądny, dalekowzroczny, oparty o zasady nauki

leśnej, podobnie jak w cywilizowanych krajach europejskich, jak w Lasach Państwowych i większych dobrach prywatnych przedwojennej Polski. Wycina się tylko działki leśne dojrzałe do wyrębu w ilości równoważonej przez drewno które przyrasta w żywym lesie, a na porębach sadi się młody las, aby jego ogólny obszar się nie zmniejszył.

Całą tą działalnością zajmują się właśnie "Leschozy" jako małe dyrekcje lasów, którym podlega po kilkanaście nadleśnictw terenowych zwanych tutaj "leśniczestwami"

Nie bardzo jeszcze to wszystko zrozumiałem, ale przy pomocy Tatusia pojąłem z grubsza o co chodzi.

Za swoją pracę w Leschozie, oprócz wynagrodzenia, 400 rubli, Tatusz otrzyma przydział drewna opałowego na zimę za które uda się prawdopodobnie wynająć jakiś kąt dla nas, do wspólnego zamieszkania.

Październik 1942

Jesteśmy więc znowu razem cała rodzina. Tatusz pracuje już w Leschozie, zajmującym parterowy drewniany budynek w zachodniej części miasta. Przy tej samej ulicy, dosłownie naprzeciwko, znalazło się mieszkanie dla nas. Stary drewniany domeczek, w którym znajdują się dwa pokoje i kuchnia, jest własnością dwojga staruszków - dziadka Ławrientija i babki Niury, którzy w zamian za zwiezione na podwórko drewno opałowe, zgodzili się odstąpić naszej rodzinie większy pokój, bez prawa korzystania z kuchni, którą wraz z małym pokojem, zajmują sami. Do naszego pokoju wchodzi się bezpośrednio z korytarzyka.

W środku stoi okrągły murowany piec, a z umeblowania żelazne łóżko, z deskami zamiast materacy, dwa krzesła i ogromny, zabytkowy, dębowy rozsuwany stół na 12 osób.

Już przeprowadziliśmy się i próbujemy przystosować do nowych warunków. Na stole mieścimy się do spania wspaniale w trójkę z Jędrkiem i Ewą. Tato na łożku, a Mamie pozostaje podłoga w kącie za piecem. Najgorzej, że nie ma żadnej możliwości ugotowania lub podgrzania czegokolwiek do jedzenia. Trudno, do specjalnego otworu w piecu będziemy przystawiali kominek otrzymanego w darze od cioci Soni starego samowaru - będzie przynajmniej wrzątek i herbata.

---- * ----

Mamusia, jeszcze w czasie naszej "wędrownki" wyłudziła gdzieś podstępem jakieś poświadczenie o ewakuacji. Jest to oczywiście nieprawda, ponieważ byliśmy przymusowo przesiedleni w czasie pokoju, a nie ewakuowani w związku z przesuającym się frontem działań wojennych. Ale podszywanie się pod "ewakuowanych" daje nadzieję na uzyskanie, skromnych co prawda, ale jakichś przywilejów lub pomocy, natomiast pozycja "amnestiowanych specprzesiedleńców" zrównanych w prawach z obywatelami radzieckimi, nie uprawnia do niczego. Mamusia szybko się w tym połapała i wykorzystuje to na wszystkie sposoby. Teraz, w jakimś punkcie pomocy ewakuowanym dostała dużą dwuosobową kołdrę i dwa ciężkie wojskowe koce - to są skarby.

---- * ----

Na froncie jest niedobrze. Niemcy na południu dotarli do Wołgi, stoją pod Stalingradem, co zablokowało, między innymi, dowóz soli z morza Kaspijskiego. Przestano dawać sól na kartki, chleb i zupy w stołówkach są mniej, lub całkiem niesłone, co jest nie mniej przykre niż głód, a łaknienie soli osłabia człowieka jeszcze bardziej. Na bazarach sól podrożała niesamowicie, chleb zresztą również.

Tatuz teraz jako urzędnik otrzymuje o 1/3 mniejszy przydział chleba na kartki, - taki sam jak my dzieci i "lekko" pracująca żona. W najlepszej sytuacji jest Ewunia, bo chodzi do przedszkola gdzie za wycięte kartki dostaje gotowane posiłki. Tylko w niedziele i święta musi pościć.

Dzienny przydział chleba na osobę - 400 gramów - to jedna gruba kromka z czarnego gliniastego bochenka i trudno ją podzielić na dwa co najmniej posiłki - a trzeba obowiązkowo.

Tatuz, gdy jesteśmy teraz razem, odmierza sobie specjalną miarką swoją część chleba i chowa. Gospodaruje nią osobno, bo przecież musi jeszcze z tego zaoszczędzić w tygodniu kawałek do zamiany na bazarze za machorkę.

Czeka nas, co widać, bardzo głodna zima. Czy nasza Mamusia potrafi jej stawić czoła, bo przecież na nikogo innego nie możemy liczyć.

--- * ---

Mamusia poznała przypadkowo na mieście niejaką panią Kowalczykową, Polkę, której rodzina - mąż i trzynastoletni syn - znajduje się w podobnej do naszej sytuacji. Opuścili również

po amnestii posiołek w tajdze i ugrzęźli teraz w Iwanowie.

Pani Kowalczykowa przychodzi do nas często wieczorami, gdyż mamy "niezależne" mieszkanie, oni natomiast gniężdzą się w przejściowym pokoju.

Pani Kowalczykowa mówi, że w mieście mieszka jeszcze kilka znanych jej rodzin z Polski, lecz przeważnie jest to inteligencja żydowska. Opowiada również rzeczy, o których my, pozbawieni od roku wszelkich kontaktów z Polakami, a nawet dostępu do bieżących wiadomości prasowych, nie mieliśmy pojęcia.

Otóż podobno, od jesieni ubiegłego roku do wiosny bieżącego, na południe od Uralu, gdzieś za morzem Kaspijskim, polski generał Władysław Anders tworzył armię. Przyjmował do niej ludzi zwolnionych po amnestii z lagrów, obozów i miejsc osiedlenia, przede wszystkim najbliżej położonych.

Ta polska armia miała początkowo walczyć razem z Armią Czerwoną z Niemcami, potem jednak inaczej dogadano się z Anglikami, którzy uzyskali zgodę Stalina na ewakuację tego polskiego wojska przez morze Kaspijskie do Iranu. Ewakuację przeprowadzono w końcu lata bieżącego roku. Z wojskiem wyjechało podobno trochę rodzin cywilnych.

Chociaż ewakuację przeprowadzono za zgodą i pomocą Rosjan, to od tego czasu stosunek władz sowieckich do Polaków zaczyna się pogarszać. Podobno były nawet jakieś aresztowania wśród osób które po amnestii próbowały organizować jakąś pomoc dla polskich rodzin. Oby nas znowu nie zapędzili do posiołków i obozów.

Mama się bardzo denerwuje na takie rozmowy, twierdząc, że teraz trzeba myśleć o tym jak przeżyć zimę i przeżywić dzieci, a nie zajmować się miedzy państwową polityką.

Listopad 1942

Jest bardzo głodno. Tacy "lekkو pracujący" jak nasi rodzice nie mają praktycznie szansy na nic więcej niż najniższy przydział kartkowego chleba. Kupony kartkowe na "mięso", "tłuszcze", "cukier", pozostają bez pokrycia. Ale Mamusia wynalazła gdzieś ~~specjalną~~ stołową "dla ewakuowanych" z której za wycięte kupony swoje i Tatusia przynosi w żelaznym wiaderku, wracając z pracy, trochę zimnej zupy lub kapuśniaku.

Czasami odwiedza ciocię Sonię w jej miejscu pracy w kuchni szpitala wojskowego. Przynosi wtedy coś gęściejszego.

Ale tych wizyt nie może nadużywać, aby cioci Soni nie narazić.

Niekiedy zdarza się coś nadzwyczajnego. Przed paroma dniami Mamusia spożniła się po pracy do stołówki dla ewakuowanych i już "obiadów" nie było. Stała na krawężniku jezdni i od myśli, co przyniesie głodnym dzieciom, czy zaczęły jej płynąć po policzkach.

W tym czasie nadciągnął kondukt pogrzebowy. Jakaś kobieta z rodziny zmarłego podeszła nagle do Mamy i wciskając jej w rękę 100 rubli powiedziała: "weź za to że tak opłakujesz naszego kochanego nieboszczyka". Mama wstała od razu na bazar, kupiła u baby za całą sumę placków z twarogiem i była uczta.

--- * ---

Ciekawe jak ludzie sobie radzą w różnych sytuacjach. Na przykład sprawa zapalek. Tych kilka małych "grzebyczków" które rodzina dostaje na miesiąc nie starcza nawet na codzienne rozpalenie w piecu. A co mówić o palaczach?

Noszą więc wszyscy mężczyźni i chłopcy po kieszeniach takie urządzenie zwane powszechnie "katusza", a składające się z opalonego na końcu bawełnianego sznura, wciągniętego w kawałek metalowej rurki, odłamka krzemienia i oszlifowanej płytki stalowej. Kiedy potrzebny jest ogień, wykręca się knot z rurki, przykładając do krzemienia, uderza po nim parę razy stalą, a gdy iskra padnie na opalony sznur wystarczy nim pomachać aby przypalić papierosa. Można też do tłącego się sznura przyłożyć węgielek, rozdmuchać, a zajmie się od tego, w razie potrzeby, papierek lub cienkie drewno.

---- * ----

W szkole do której teraz chodzę, mieliśmy dzisiaj czytanek o Paszce Morozowie. Jego imieniem nazwana jest szkolna drużyna pionierska, gdyż jest on bohaterem i wzorem dla wszystkich dzieci.

Ojciec Paszki był kułakiem, czyli takim bogatym chłopem, który wyzyskuje biedotę i specjalnie chowa zboże aby go nie sprzedać państwu dla głodujących w miastach robotników. Woli aby zgniło. Paszka wiedział ze szkoły jak powinni chłopci postępować z nadwyżkami zboża i przekonywał ojca aby je oddał państwu.

Ojciec go zbił, ale nie posłuchał. Zboże ukrył. Wówczas Paszka zgłosił w Komitecie wiejskim gdzie jest ukryte zboże, które zabrano, a ojca aresztowano. W zemście za ten czyn inni kułacy,

w zмовie z babką Paszki, zamordowali go, ale sprawców wykryto i ukarano.

Po przeczytaniu smutnej historii Paszki Morozowa, nauczycielka przez całą godzinę rozmawiała z nami na jego temat. Tłumaczyła nam, że rodzice nasi, wychowani częściowo w dawniejszych czasach, nie zawsze i nie wszystko prawidłowo pojmują. Winniśmy im posłuszeństwo w tym stopniu który nie koliduje z interesami radzieckiego, robotniczo-chłopskiego państwa i wytycznymi partii. Mamy wypracowanie domowe na temat: "Jak oceniam postępek Paszki Morozowa, jak postąpił bym na jego miejscu?"

Nie mam pojęcia co napisać, wstyd mi jakoś radzić się rodziców. Jak to dobrze, że jestem Polakiem i nie mogę sobie wyobrazić aby mój ojciec miał działać na szkodę Państwa Polskiego - tak chyba wymijająco napiszę.

---- * ----

Wreszcie dobre wieści z frontu. Armia niemiecka została okrążona pod Stalingradem. W ludzi znowu wstępuje nadzieja na odwrócenie biegu wojny.

---- * ----

Grudzień 1942

Mimo że w mieście panuje powszechnie głód i obowiązuje skrajne ograniczenie wszelkich potrzeb ludności cywilnej na rzecz zaopatrzenia frontu, to jednak, zgodnie z radzieckim ustrojem, są i działają różne urzędy, biura, wydziały, komitety,

związki, organizacje i temu podobne, powołane do udzielania pomocy grupom i ludziom najbardziej potrzebującym: a to ewakuowanym; a to rodzinom wojskowych; a to samotnym matkom; a to bezdomnym; a to najbardziej marznącym, nie obutym, nie ubranym; a to sierotom, półsierotom i dzieciom porzuconym, a to dzieciom zagrożonym śmiercią głodową, gruźlicą, demoralizacją i tak dalej, i tak dalej.

W warunkach które są, każda z tych instytucji ma niewielkie możliwości działania, ale jednak każda czymś dysponuje.

Mamusia, gdy nie pracuje na dzienną zmianę, wykorzystuje każdą chwilę na dotarcie do każdych drzwi i każdej osoby, gdzie ma nadzieję cokolwiek uzyskać dla ratowania nas przed głodem i zimnem. Czasem zabiera mnie ze sobą, ponieważ jestem wątły, chudy i wyraźnie zagrożony.

Gdy Mama dostaje się do odpowiedniego urzędnika, to w domaganiu się pomocy dla swych dzieci jest nadzwyczaj uparta, natarczywa i nieustępliwa. Nie daje się zbyć i nie przyjmuje do wiadomości, że jej dzieciom coś może się po prostu nie należeć. Krzycząc głośno w Yamanym języku rosyjsko-ukraińsko-polskim używa wszelkich nasuwających się argumentów, niekiedy sprzecznych ze sobą:

- że jesteśmy ewakuowani z Polski;
- że gdy ogłoszono nam amnestię, to obiecano wszechstronną pomoc;
- że konstytucja sowiecka każe pomagać najbiedniejszym, a my jesteśmy najbiedniejsi;
- że pisaliśmy do Towarzysza Stalina i odpisano nam, że taką pomoc dostaniemy; - że napiszemy jeszcze raz i poskarżymy się;

-że ja mam gruźlicę, że z głodu nie byłem już kilka dni
w szkole, że z rozpaczry rzucałem się pod tramwaj;
-że małą córeczka z niedożywienia przestaje chodzić;
że męża przywaliło drzewo w tajdze i uszkodziło mu
kregosłup i tak dalej i w tym rodzaju.

Gdy Mamie nie udaje się czegoś załatwić, a wyczuwa, że
możliwość istnieje, wówczas udaje się o tak zwany szczebel
wyżej, nie omijając komitetów partyjnych i związkowych.
Czasem wraca ponownie do tych samych osób.

I często, tymi właśnie sposobami, Mama coś zyskuje, co
przynosi doraźny ratunek - a to parę walonków, a to talon
na kilka bezkartkowych obiadów, a to przydział na litr
mleka przez tydzień, lub zaproszenie na dziecięcą imprezę
z posiłkiem.

Ale czasem odnosi poważniejszy sukces. Na przykład
załatwiła dla mnie sanatorium dzienne dla dzieci
zagrożonych gruźlicą. Takich miejsc jest kilkadziesiąt na
całe miasto. Chodzę już tam po zajęciach szkolnych i będę
chodził jeszcze przez dwa tygodnie. Dostaję obiad z zupą
do syta, kolację i niesłodki syrop z pędów świerkowych do
picia - jako lekarstwo.

---- * ----

Z wypracowania o Paszce Morozowie dostałem dwóję.
Nauczycielka, zwracając mi zeszyt, powiedziała: Nic ty nie
zrozumiałeś, Groblewski.

---- * ----

Mama wybrała się którejś niedzieli do
Międzynarodowego Domu Dziecka - odwiedzić babcię
Fornalską. Zaprzyjaźniły się jeszcze

bardziej, nagadały o różnych sprawach. Mama poznała wnuczkę Babci - Oleńkę, starszą o rok ode mnie. Babcia, która jak się okazało ma na imię Marcjanna, niechętnie rozmawia o rodzicach Oleńki. Twierdzi, że może w przyszłości będzie coś o nich mogła opowiedzieć. Babcia jest optymistką i pocieszała Mamę w jej smutkach, twierdząc, że wszystko zmieniać się będzie ku lepszemu, mimo, że sama jest obecnie biedna jak mysz kościelna.

W jednej sprawie tylko nie zgadzają się z Mamą. Babcia upiera się bowiem przy twierdzeniu, że bolszewicy są przyjaciółmi Polski i Polaków.

Z wyprawy Mama przyniosła otrzymane od Babci dwa porządne płóciennie sienniki.

---- * ----

Trzyma mróz od paru tygodni. Jedyna pora, jak się okazuje, aby oczyścić dół kloaczny latryny przy budynku Leschozu. Dyrektor, Tatusia przełożony, szukał chętnych. Mamusia się zgłosiła. Pokusa zbyt duża - 500 rubli! Ponieważ pracuje teraz w szpitalu na drugą zmianę - do południa ma czas i wspólnie z dozorcą - częściowym inwalidą, wojują z tym dołem.

Żelaznym łomem i kilofem wyrąbują zmarznięte bryły, a potem łopatami ładują "urobek" do drewnianych skrzyń, którymi następnie leschozowy "gruzowik" wywozi go na pole za miastem. Robota jest ciężka, ale Mama żartuje, że teraz, gdy ma nogę zdrową, może góry przenosić. Patrząc na nią - wymizerowaną i chudą jak deska, nie bardzo chce się w to wierzyć.

---- * ----

Mieliśmy w tym roku choinkę. Tatuś przyniósł ją z Leschozu - przywieźli mu terenowi koledzy, tylko dziwili się czemu nie na Nowy Rok, a o tydzień wcześniej. Choinka stała w rogu pokoju, a właściwie wisiała na sznurku uwiązanym do gwoźdźcia w suficie. Przybrana była plasterkami marchwi zwisającymi na nitkach zamiast cukierków, płatami waty i łańcuchem z papieru, który ukleili pracowicie Jędrak z Ewunią. Niestety nie było żadnych prezentów ani nic ciepłego do jedzenia. Łamaliśmy się chlebem zamiast opłatka i popijali "kipiątek" z samowaru. Ale za to nakolędowaliśmy się za całe dwa lata - bo w ubiegłym roku my byliśmy w Domu Dziecka, a rodzice na dworcu. Te święta przynajmniej jesteśmy razem i wolni. Śpiewaliśmy wszystkie kolędy jakie tylko się przypomniły i Bóg się rodzi, i Wśród nocnej ciszy i Lulaj że Jezuniu i Do szopki hej pasterze i jeszcze wiele innych.

Styczeń 1943

Skończyło się moje "dzienne sanatorium". Znowu zimną zupę przynoszoną ze stołówki dla ewakuowanych trzeba było dzielić na cztery, a nie na trzy porcje.

Na szczęście Mama zdobyła następną, nieosiągalną praktycznie rzecz - dwutygodniowe karty, dla mnie i dla Jędrka, na obiady w "Fabryce-kuchni".

"Fabryki-kuchnie" wybudowano w wielu miastach Związku Sowieckiego w latach stalinowskich pięćdziesiątek, jako wyraz troski o zaspokojenie potrzeb ludzi pracy. Uczymy się o tym w szkole i jest to wydrukowane w podręcznikach obok informacji

o innych, wielkich budowach socjalizmu, jak "Dnieproges", Magnitogorsk, Fabryka Traktórow w Stalingradzie, kombajnów w Saratowie, Kanał Bałtycko-Białomorski.

W Iwanowie również, przed samą wojną, zakończono budowę "Fabryki-kuchni", której dwupiętrowy prostokątny gmach, stoi przy jednej z głównych ulic.

Z tego co wiedziałem ze szkoły, jest to szczytowe osiągnięcie techniki światowej - ponieważ wszystkie czynności, poczynając od obierania ziemniaków i warzyw, poprzez przyrządzanie posiłków, a następnie ich wydawanie oraz sprzątanie i mycie naczyń, wykonują maszyny. Nie bardzo sobie mogłem coś takiego wyobrazić, dopiero teraz gdy byliśmy już na pierwszych obiadach, mam jakieś pojęcie. Otóż przed gmach "Fabryki-kuchni", o ściśle określonym czasie, przychodzą zorganizowane grupy ludzi na posiłek.

Obecnie są to przeważnie oddziały wojska, jakichś służb wartowniczych czy pracowniczych, zawodowe szkoły przyfabryczne, bataliony pracy, czy tym podobne, którym obiad lub inny posiłek przysługuje, a które nie mają własnych stołówek.

My należymy do grupy młodzieży szkolnej, skierowanej przez "Gorsowiet", na dożywienie. Wyznaczona na daną godzinę grupa, zbiera się najpierw w sali - poczekalni, gdzie jest sprawdzana i liczona, a następnie wchodzi do właściwej sali jadalnej, gdzie są długie, na całą salę, specjalne stoły, a przy nich ławki. Przez środek stołu, biegnie ruchoma taśma, znikająca za otworem w ścianie. Tą taśmą, na sygnał, wyjeżdżają na salę gotowe porcje, które każdy sobie sam zdejmuje, a po zjedzeniu, odstawia na taśmę brudne nakrycia. Nakładanie porcji też podobno jest mechaniczne,

ale tego przez ścianę nie widać. Gdy grupa zje, to wstaje i razem opuszcza salę, a jej miejsce zajmuje następna.

Obiady w "Fabryce-kuchni" są prawdziwe, z dwóch dań. Po raz pierwszy od wyjazdu z Polski, zobaczyliśmy na talerzu kawałeczek kiełbasy. Miała jakiś szary kolor i dziwnie pachniała, ale to nie ma znaczenia. Szkoda tylko, że jeszcze zaledwie dziesięć dni zostało nam tej przyjemności z obiadami.

---- * ----

Mamusia wymyśliła jeszcze jedną rzecz. Zgłosiła się do specjalnego punktu jako krwiodawca. Pobrali jej 600 gramów krwi. W zamian za to otrzymała talon na jeden "kaloryczny" obiad w dniu pobrania oraz zwiększoną o 200 gramów dziennie, kartkę na chleb na okres miesiąca, jak robotnik w fabryce.

O te 200 gramów nasz rodzinny bocheneczek będzie przez miesiąc cięższy.

Jakoś jeszcze żyjemy.

Luty 1943

Na początku miesiąca, zmarł nasz gospodarz, dziadek Ławrentij. Chorował już dosyć dawno i nie wstawał z łóżka. Energiczna babka Niura załatwiła wszystkie formalności związane ze zgonem, postarała się o przydział trumny, przy pomocy sąsiadek ubrała Dziadka i ułożyła w niej, a następnie zorganizowała pogrzeb. Poszedłem z konduktem razem z Tatusiem.

Pogrzeby są tu bardzo smutne. Zmarłego niosą w otwartej trumnie, ale bez śpiewów, bez modlitw, bez obrazów, chorągwi, krzyży, bez duchownego. Dawniej, zanim zlikwidowano cerkwie, ludzie

starsi urządzali pogrzeby "cerkiewne", teraz są tylko świeckie. Nad grobem, ktoś z przyjaciół lub kolegów z pracy mówi parę słów albo i to nie. Z głośną modlitwą ludzie jak by się wstydzą i boją afiszować.

Jednak po powrocie z pogrzebu, babka Niura, zwierzyła się Mamusi w zaufaniu, że chce koniecznie odnaleźć jakiegoś staruszka z dawnej obsługi cerkiewnej, który zna modlitwy za duszę zmarłych - aby je na zlecenie babki odmówił.

Jako wynagrodzenie za te usługi, babka Niura przeznaczyła pozostałą po Zmarłym, prawie nietkniętą, miesięczną kartkę na chleb. Skarb! Tą informacją, babka zabiła Mamie straszego klina. No bo jakże? - Jakiś ciemny dziadek kartkę weźmie, a modlitwy albo zna, albo nie zna, albo odmówi, albo nie.

Cały wieczór i noc Mamusia rozmyślała nad sprawą, dzieląc się trochę myślami z nami, a od rana przystąpiła do "urabiania" babki. Tłumaczyła jej, że religie katolicka i prawosławna są prawie jednakowe, oparte o tą samą Biblię i Nowy Testament, że oboje z mężem kończyli gimnazja prowadzone przez zakony, że do czasu wyjazdu z Polski chodziliśmy regularnie do kościoła, a do dziś modlimy się codziennie, znamy pacierze oraz modlitwy na wszelkie okoliczności - również za zmarłych.

Wielogodzinne opowiadanie Mamy odniosło wreszcie zamierzony skutek. Babka Niura sama doszła do wniosku, że nie będzie szukała żadnego staruszka, jeśli my potrafimy i zgodzimy się odmówić

modlitwy za duszę jej zmarłego męża i wręczyła Mamusi upragnioną kartkę.

Muszę przyznać, że ze zlecenia wywiązaliśmy się bardzo

sumiennie. Przez kilka dni z rzędu, wieczorną modlitwę odmawialiśmy na głos i wspólnie, uchylając drzwi, aby babka Niura słyszała. Do zwykłego pacierza dodawaliśmy jeszcze litanię oraz "wieczne odpoczywanie", powtarzane kilkakrotnie.

---- * ----

Na frontach sukcesy. Okrążeni hitlerowcy poddali się pod Stalingradem. Trwa odwrót armii niemieckiej na południu i północy. Po przerwaniu blokady Leningradu, do Iwanowa dociera nowa fala ewakuowanych. Są skrajnie wycieńczeni. Mają pierwszeństwo przy korzystaniu z wszelkiej pomocy. W szpitalach, domach dziecka i różnych zakładach opiekuńczo-leczniczych, zrobiło się jeszcze ciasniej.

Marzec 1943

Już kilka razy była pani Kowalczykowa. Przynosi coraz gorsze wiadomości i przewidywania dotyczące sytuacji oraz przyszłości Polaków.

Podobno stosunek urzędowy sowietów do nas, staje się coraz bardziej niechętny, a nawet wrogi - co potwierdzają niektóre publikacje w gazetach i radiu. Zarzuca się otwarciu, że generał Anders, najpierw wyposażył i uzbroił polską armię przy pomocy i kosztem Związku Sowieckiego, a potem, nie chcąc walczyć z Niemcami, oszukał swoich dobroczyńców i podstępnie uciekł do Iranu. Mówi się też, że Polacy, amnestionowani przecież w 1941 roku i zrównani w prawach z obywatelami radzieckimi, uchylają się teraz od służby w Armii Czerwonej, mimo że werbowanie ich do polskiego wojska przerwano już przed rokiem.

Zasłaniają się obywatelstwem, ale to ma się zmienić. Wydano już podobno jakieś rozporządzenia o przymusowym wystawianiu tak zwanych "paszportów", czyli dokumentów osobistych wszystkim Polakom, co jest równoznaczne z uznaniem ich za obywateli ZSRR i powołaniem do Armii Czerwonej zdalnych do służby mężczyzn. Dochodzą słuchy, że w niektórych "obłastiach" już przystąpiono do wręczania Polakom ruskich paszportów, a mężczyźni którzy odmawiają ich przyjęcia są zatrzymywani i grożą im wyroki.

Co robić? - Czy poddaństwo sowieckie, nawet przyjęte pod przymusem, nie przekreśli możliwości powrotu do Polski po wojnie? Jak oceni to przyszły rząd polski w świetle konstytucji?

Co myśleć? - Czyżby Rząd Sikorskiego, generał Anders i Anglicy świadomie pozostawili Polaków w ZSRR na pastwę losu, na łaskę i niełaskę Stalina?

Tato z panią Kowalczykową dyskutują o tych sprawach godzinami. Mama zachowuje dystans - będzie jak Bóg da. Teraz trzeba myśleć jak przetrwać, jak uratować dzieci.

Kwiecień 1943

Rodzice już mają rosyjskie paszporty. Wezwano ich do odpowiedniego urzędu i nie pozostawiając żadnej innej możliwości, kazano wypełnić stosowne formularze, a po paru dniach wydano dokumenty. Tatoś oczekuje teraz wezwania na komisję wojskową, ale nie obawia się powołania do armii ze względu na swój kręgosłup.

Pani Kowalczykowa przyniosła pocieszającą wiadomość, zasłyszana od znajomych polskich Żydów, że powstaje podobno jakiś związek Polaków w ZSRR, który ma się zająć ich losem i zabiegać o możliwość repatriacji po wojnie

---- * ----

Tatuś leży od kilku dni w szpitalu. W tym samym, gdzie pracuje Mama. Przywieziono go akurat w czasie jej zmiany. Stracił przytomność i upadł na ulicy z wycieńczenia głodowego. Dzięki protekcji doktora Przeteczyńskiego, do którego Mama od razu pobiegła, umieszczono go na niedawno utworzonym, oddziale odratowywania umierających z głodu, gdzie leżą prawie sami leningradczycy. Zaraz pierwszego dnia dano mu krew, a teraz poją go kleikami i chyba niedługo stanie z powrotem na nogi.

Maj 1943

Za rzeką Uwod`znajdują się pola, budynki i zarząd sowchozu ogrodniczego, zaopatrującego miasto w warzywa. Uprawia się tam głównie ziemniaki, kapustę, buraki, marchew, ogórki, ale i po trochu pomidorów, rzodkwi, pietruszki i sałaty. Są plantacje porzeczek, czarnej i czerwonej.

Mamusia, która po maturze, skończyła dwuletnią szkołę ogrodniczą, poszła tam kiedyś z ciekawości. Okazało się, że chętnie ją tam przyjmą do pracy na dobrych warunkach. Mama decyduje się szybko i od drugiego maja już pracuje w sowchozie. Ze szpitalem, gdzie miała katorżniczą pracę przy kąpieniu, przyjmowanych pacjentów, pożegnała się bez żalu.

W sowchozie Mama pracuje w brygadzie ogrodniczej, przy inspektach, siewach, flancowaniu, pielenu i t.p. robotach, które zna i umie wykonywać bardzo dobrze i sprawnie. Wszystkie prace są wynormowane i wynagradzane na zasadach akordu - co jest tu powszechne. Warunki pracy przewidują jednak, że robotnik wykonujący normę poniżej 100%¹, otrzymuje jedynie "gołą" stawkę, czyli osiąga zarobek groszowy, nie wyższy niż 200 rubli miesięcznie. Przekroczenie normy, natomiast, niezależnie od premii pieniężnej, nagradzane jest talonem na obiad w zakładowej stołówce. I to jest najistotniejszą zachętą, a nawet główny bodziec do ciężkiej, bądź co bądź, pracy w sowchozie, ponieważ wartość pieniędzy wobec cen bazarowych jest znikoma.

Obiady natomiast, przygotowywane w znacznym stopniu z produktów własnych, są rewelacyjne - porcje zupy i ziemniaków bardzo duże.

Mama choć z trudem, ale normę przekracza i obiad otrzymuje codziennie. W związku z tym, po powrocie z pracy nic już w domu nie je, a i z rana również najwyżej 100 gramów chleba, reszta zostaje dla nas.

Wzrosły jednak znacznie nasze obowiązki. Musimy rano ubrać i zaprowadzić Ewunię do przedszkola, a po powrocie ze szkoły, przynieść zupę ze stołówki, no i przed wieczorem przyprowadzić Ewę. Jakoś z trudem sobie z Jędrkiem radzimy. Tatuś do tych rzeczy się nie nadaje, a zresztą teraz, po powrocie ze szpitala, całymi dniami przesiaduje w biurze.

Czerwiec 1943

Skończył się rok szkolny. Wałęsamy się z Jędrkiem w dzień po mieście, nie mając mądrzejszego zajęcia. Mama pracuje nadal w sowchozie. Jest jej ciężko, ale pod wpływem tej pracy, zapachniała jej ziemia, ogród, wieś i po koszmarze ostatnich trzech lat - Posiołka, tułaczki i "wielkomiejskich rozkoszy" w Iwanowie, zaczynają ją nachodzić refleksje.

Jaki jest sens dalszego pozostawania w Iwanowie ?

Czy mamy szansę przeżycia tu kolejnej zimy ?

Praca w sowchozie jest tylko latem, a co dalej ?

Czy nie lepiej wyrwać się z miasta na wieś - wszak Tatuś jako leśnik, obecnie w pracy państwowej, mógłby się starać o nią w terenie. Może łatwiejsza była by sprawa mieszkania, może w przyszłości szansa na kawałek ogrodu?

Jednym słowem nowa myśl i nowa nadzieja zaczyna panować nad umysłem Mamy, a w ślad za nią i naszymi. Tatuś jak zwykle, zgłasza jakieś zastrzeżenia, lecz wreszcie zadanie do wykonania przyjmuje.

----- * -----

Sprawa okazuje się bardziej prosta niż się wydawało. Dyrektor leschozu, z którym Tato rozmawiał, wcale się nie zdziwił i orzekł z miejsca, że mężczyzna w sile wieku, nie służący w armii, z wysokimi kwalifikacjami, winien pracować w terenie przy kierowaniu robotą i ludźmi, zamiast razem z babami psuć powietrze za biurkiem.

Terenowymi ogniwami Leschozu są odpowiedniki naszych polskich nadleśnictw, choć prowadzące nieco odmienną

działalność, zwane tu "leśniczestwami", a z polska leśnictwami. I tak je będę nazywał.

Otóż, w leśnictwie Wasilewskim, w szujskim rejonie, wakuje obecnie stanowisko zastępcy leśniczego, które Tato może otrzymać od zaraz. Mieszkania na miejscu chwilowo nie ma, ale jest wioska obok, a z czasem coś się znajdzie.

Decyzja zapada jak zwykle szybko - z końcem czerwca wyjeżdżamy z Iwanowa.

VI. RAJKI

141

Lipiec 1943

Pierwszego lipca opuszczamy Iwanowo.

Na nowe miejsce odwozi nas leschozowy" gruzowik" rozklekotany, trzytonowy ZIS, z umocowanymi po obydwu stronach szoferki wielkimi blaszanymi kotłami, a właściwie piecami, w których spalają się takie brzozone klocki zwane "czurką". Gaz powstający przy spalaniu napędza silnik zamiast benzyny. Samochód właśnie jedzie do Wasilewskiego Leśnictwa po miesięczny zapas "czurki", gdyż tam ją wyrabiają, a po drodze, niejako okazyjnie, wiezie naszą rodzinę z bardzo skromniutkim bagażem. Jedzie się z Iwanowa na południowy wschód 30 kilometrów do rejonowego miasta Szuja, a następnie 20 kilometrów na północny wschód do gminnego sioła Wailewskoje, a stąd skręca się na wschód, gdzie o 3 kilometry w lesie jest siedziba Leśnictwa w przysiółeczku zwanym romantycznie Rajki.

Dojeżdżamy tam po dwóch godzinach podróży. Całe Rajki składają się z czterech drewnianych budynków. W jednym, największym mieści się kancelaria Leśnictwa, dwa mieszkania, w tym jedno duże leśniczego oraz "obszczeźytie" dla kilkunastu sezonowych robotników. W drugim, pod wspólnym dachem, jest stajnia dla koni oraz dwa mieszkania dwuizbowe. Trzeci budynek, to magazynki i inne pomieszczenia gospodarcze, wreszcie czwarty, trochę na uboczu - to obszerna stodoła. Przy budynkach jest duży ogród i kawałek uprawnego pola. Całość ogrodzona drewnianym płotem, z gościnnie otwartymi wrotami na podwórze, robi solidne wrażenie.

Wita nas i prowadzi do kancelarii Leśniczy Szyłow. Dziwny trochę mężczyzna, niespełna czterdziestoletni, z zupełnie białymi włosami, brwiami i rzęsami, na wyłupiastych, jasnych jak woda, oczach. Okazuje się być absolwentem Leningradzkiego Instytutu Leśnego. Mówi, że zastępca z kwalifikacjami jest mu bardzo potrzebny, że mieszkanie dla nas, jedno z tych dwuizbowych, zwolni się na jesieni, a na razie, przewodniczący pobliskiego kołchozu we wsi Łazariewo, wyznaczył nam tymczasową kwaterę, którą od razu możemy zajmować. Mówi następnie, że wyżywienie pięcioosobowej rodziny nie będzie łatwe, zwłaszcza gdy przyjechało się na wieś w połowie lata, a nie na wiosnę, ale na początek on trochę pomoże. Przy leśnictwie prowadzi się żywienie zbiorowe dla robotników i z przeznaczonych na ten cel zapasów, w drodze wyjątku, "wypisze" Tatusiowi worek (!) ziemniaków.

Uszom własnym nie wierzymy. O takim bogactwie prowiantowym nie słyszeliśmy od wyjazdu z Polski !

---- * ----

Wieś Łazariewo, do której jeszcze tego dnia zawozi nas furman z Rajek, nie jest duża. Składa się z około czterdziestu drewnianych, prawie jednakowych domków, stojących w dość zwartej zabudowie po obu stronach szerokiej, piaszczystej drogi.

Domki są trochę podobne do tych z "rosyjskich" wiosek pod Archangielskiem, ale znacznie solidniejsze i staranniej wykonane. Belki ścienne są ociosane po bokach, ganki i szczyty dachów ozdobne, a okienka większe.

Przewodnicząca kołchozu, kobieta, prowadzi nas do zagrody, w której "z urzędu", na prośbę Szyłowa, wyznaczyła nam kwaterę. Idziemy tam z obawą jak zostaniemy przyjęci. Boimy się wrogości. Tymczasem i tu rozczarowanie jest przyjemne. Gospodyni, dwudziestodwuletnia Luba, piękna i dorodna dziewczyna z grubym jasnym warkoczem, wita nas słowami "dom jest duży, miejsca starczy dla wszystkich, urządzajcie się". Jak się okazuje jest sama na gospodarstwie. Jej ojciec, wdowiec, oraz starszy brat są na froncie.

Do domu wchodzi się przez wysoki ganek. Z niewielkiej sionki drzwi prowadzą do dużej, głównej izby, o trzech oknach, wychodzących na ulicę. Na środku stoi duży, prostokątny "ruski" piec, w jednym rogu stół, w drugim szafa-kredens, pod ścianami szerokie ławy. Dostajemy do dyspozycji tę główną izbę. Miejsca do spania jest dosyć. Na piecu conajmniej na dwie osoby; z pieca wchodzi się wprost na wiszące pod sufitem szerokie "polati", gdzie mieszczą się dalsze 2-3 osoby - najlepiej dzieci; zostają jeszcze ławy pod ścianą. Z tyłu do głównej izby przylega druga, mniejsza, "gościenna", z małżeńskim szerokim łóżem i poduszkami, ogrzewana tylną ścianą pieca. Z boku jest jeszcze mały pokój bez okna - t.zw. "czułan" w którym w lecie sypia nasza gospodyni. Pod podłogą dużej izby mieści się obszerna, częściowo tylko wpuszczona w ziemię, piwnica, w której przechowuje się ziemniaki i inne warzywa, beczki z kapustą czy ogórkami, mleko. Wchodzi się do niej przez klapę w podłódze głównej izby - po schodkach. Z sionki, trzecie, tylne drzwi, prowadzą do obory, znajdującej się pod tym samym dachem.

Przedłużenie podłogi sionki, przed schodkami w dół, tworzy w oborze mały ganeczek, którego niskie poręcze służy domownikom za pomysłowe sedesy przy załatwianiu potrzeb. Genialne rozwiązanie! Siada się na jednej żerdce, trzyma rękoma za drugą i wali w dół co trzeba, w pobliżu miejsca, gdzie to samo robi krowa. Potem wszystko razem, przy obrządzaniu inwentarza, przykrywa się słomą, i widłami wyrzuca na kupę gnoju. Pełny komfort - nie to co nasze polskie "sławojki" na wsiach, siedlisko much, smrodu i wszelkiej zarazy.

-----*-----

Już kilka dni Mama gospodaruje z Lubą w pełnej zgodzie. Luba ma krowę i dwie owieczki. Krowę doi przed świtem, zanim pastuch nie zabierze jej na pastwisko. Potem palą razem z Mamą w piecu i gotują każda swoje. Przed siódmą Luba wychodzi do pracy w kołchozie, a Tato do Rajek. Zostajemy cały dzień sami.

I wtedy Mama udaje się do ogrodu, który, jak widać, stał się terenem harmonijnego współdziałania obydwu gospodyń.

Rzecz w tym, że przy każdym domu jest wydzielony ogród, jednakowej wielkości - 20 arów - niezależnie od liczebności rodziny kołchoźnika. Plony zebrane z działki ogrodowej są osobliwą własnością i często jedynym zabezpieczeniem chłopów w żywność na cały rok, gdyż plony uzyskiwane z pól kołchozowych dzielone są na innej zasadzie. W ogrodach przydomowych uprawia się ziemniaki, marchew, ogórki, buraki, kapustę, cebulę, słonecznik, trochę koniczyzny, krzewy porzeczek, tytoń, wykorzystując skrzętnie

każdy skrawek ziemi. Luba miała ogród obsiany wiosną, lecz teraz trochę zapuszczony i tu Mama znalazła dla siebie pole do wyżycia. W zamian za pielęgnację ogrodu, uzyskała zgodę na korzystanie z warzyw, za wyjątkiem ziemniaków, dla naszych bieżących potrzeb.

Na odrębnych zasadach Mama wyjednała u Luby codziennie trochę mleka. Tym sposobem, mając chleb na kartki i worek ziemniaków od Szyłowa, zaczęliśmy po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jadać trzy razy dziennie, choć bynajmniej nie do syta.

----- * -----

Tato, wracając z pracy, opowiadał nam jak funkcjonuje Leśnictwo:

Zarządzają obszarem 7 tysięcy hektarów. Wyliczają ilość drewna i powierzchnie działek do corocznego wyrębu, oznaczają je w terenie, lecz sami nie tną. Sprzedają drewno na pniu, nabywcom - głównie okolicznym kołchozom i sowchozom.

Po wyciętym lesie sadzą na porębach młody las, uzyskując sadzonki z własnej, dość dobrze Taty zdaniem, prowadzonej szkółki. Poza tym, prowadzą trzebieże (przecinki) i pielęgnowanie młodników. Na miarę możliwości, prostymi środkami, zwalczają szkodniki leśne.

W samych Rajkach mają grupę kilkunastu sezonowych robotników, kobiet i niezdatnych do wojska mężczyzn. Zajmują się oni, zwłaszcza zimą, różnego rodzaju produkcją

uboczną, wykonując miotły, koszyki, trzonki, "czurkę" na paliwo do samochodów, pozyskując korowinę brzoźową do pędzenia dziegciu lub sok brzoźowy do celów spożywczych.

W biurze Leśnictwa, razem z Szyłowem, pracuje 5 osob.,

---- * ----

Mieszkając po raz pierwszy na prawdziwej rosyjskiej wsi, z dużą ciekawością obserwujemy i poznajemy życie Rosjan, ich zwyczaje i sposoby załatwiania różnych spraw codziennych starając się równocześnie przystosować do nich.

Przecież dopiero teraz, po trzech pełnych latach pobytu w Rosji, znaleźliśmy się w warunkach, gdzie życie toczy się swoim rytmem, w miarę normalnie, mimo trwającej wojny. Kiedy można z pewnym prawdopodobieństwem przewidzieć co nastąpi jutro, za tydzień, za miesiąc... Przecież całe ubiegłe trzy lata, to rozpaczliwa walka z dnia na dzień o przetrwanie, z ciągłą niepewnością jutra, walka ze śmiercią głodową, chorobami, zimnem, złymi ludźmi, okrutnym, obcym i wrogim dla nas prawem, to wreszcie walka Mamy o uratowanie naszej rodziny przed zagładą, przed rozpadem, przed pogubieniem się, w tym oceanie strasznych i niepojętych przeciwności.

Czyżby po tych trzech latach, Pan Bóg zechciał nam ofiarować chwilę wytchnienia?

---- * ----

W środkowej części wioski Łazariewo, znajduje się duży, wykopany ręcznie "prud" czyli staw. Jest prostokątny, długi prawie 100 metrów i połowę tego szeroki. Głębokość stawu, w zależności od opadów, dochodzi do 3 metrów. W stawie poi się bydło, gdy wraca z pastwiska, kąpią się dzieci i młodzież w upalne dni.

Dookoła stawu, jako jedyne zbiornika wodnego we wsi, rozmieszczone są, zwartym wianuszkciem, "banie". Jest ich prawie tyle co domów we wiosce, gdyż każda szanująca się rodzina dąży do tego aby mieć banię własną - no bo jakże można inaczej?

Bania - to mikroskopijna chatka, bez komina, o wymiarach nie przekraczających 4 na 5 metrów, zbudowana z nieciosanych ogrąglaków. Drzwi bani prowadzą najpierw do malutkiego przedsionka - rozbieralni, a następnie do pomieszczenia właściwego, przeznaczonego do mycia się, a właściwie "parzenia". W środku jest prymitywne palenisko z wmurowanym kotłem na gorącą wodę. Ogień, po pod kotłem, przechodzi następnie przez ułożoną starannie kupę kamieni, którym oddaje swe ciepło. Dym wychodzi przez małe otwory w górze ściany. W pomieszczeniu jest ławka i półka, ceber na zimną wodę, blaszane miedniczki, zapas brzożowych miotełek oraz "moczaki" czyli zwitki lipowego łyka.

W bani pali się raz w tygodniu - w sobotę, nie licząc nadzwyczajnych okoliczności, jak wesele czy przyjazd gości.

Po zagotowaniu się wody w kotle i rozgrzaniu kupy kamieni prawie do czerwoności, ogień wypala się do końca, aby nie było czadu, po czym zatyka otwory dymowe i bania gotowa.

Najpierw "parzą się" małżonkowie, potem dorastająca młodzież, potem kobiety z małymi dziećmi, a na końcu struszkowie, ale każdy z domowników raz w tygodniu obowiązkowo! Tylko ciężka choroba może zwolnić od bani. "Parzenie się" polega na zmyciu całego ciała ciepłą wodą, przy użyciu mydła (jesli jest) i moczalki, a następnie polaniu rozgrzanych kamieni, aby uzyskać gorącą parę, w której siedzi się, na ile wytrzymałość pozwala, okładając ciało miotłą brzoową nurzaną w zimnej wodzie.

Po bani obowiązkowo pije się herbatę z samowaru i to w dużych ilościach - i ceremonia skończona.

Na co dzień ludzie myją się tu mniej starannie-tylko ręce, szyję i twarz z powierzchownego brudu. Do tego celu służą zawieszone na ścianie metalowe pojemniki z wodą i otworem u dołu, zatkanym metalowym ruchomym sztyftem o kształcie tępego gwoźdźca. Gdy sztyft się ręką wciska - woda spływa na dłonie. Pod pojemnikiem, na stojaczku jest miednica na spływającą po umyciu wodę, a pod nią kubek na zlewanie brudnej.

Luba była zgorszona naszym "polskim" sposobem mycia. Nie kryła obrzydzenia, obserwując jak nalewamy do miednicy (!) wody, a następnie, po namydleniu rąk, szyi i twarzy, zmywamy je stopniowo w tej samej wodzie, która przecież staje się coraz brudniejsza !- Cóż zrobić, musieliśmy przystosować nasze "barbarzyńskie" nawyki do miejscowego poczucia estetyki i higieny, przyznając im w duchu wiele racji.

---- * ----

Osobnego omówienia wymaga podstawowe dla każdej rodziny wiejskiej urządzenie, jakim jest rosyjski piec. Tato twierdzi, półżartem, że ten genialny w swojej prostocie wynalazek, umożliwił ludowi rosyjskiemu przetrwanie wieków historii.

Typowy "ruski" piec, jest budowlą sześcienną, dwa metry szeroką, około trzy długą, o wysokości dostosowanej do pułapu izby, zważywszy że na piecu są miejsca do spania. Piec składa się z przedsionka znajdującego się około 1 metra od podłogi, z którego wychodzi do góry kanał kominowy oraz z położonego głębiej paleniska, o półkolistym sklepieniu.

W piecu pali się raz na dzień, spala się tylko jedno naręcze drzewa, uzyskując ogrzanie całego mieszkania przez dobę i gorące posiłki od rana do późnego popołudnia. Drzewo do spalania gospodyni układa w piecu wieczorem, w misterny stos z gotową podpałką. Podpala je wczesnym rankiem, zaraz po przebudzeniu się. Przy płonącym stosie może podgrzać, ugotować lub usmażyć śniadanie, przy czym garnki żeliwne, zwężające się u dołu, wstawia do pieca kolistymi widełkami, a patelnie bez rączek, specjalnymi haczykami na drążku. Równocześnie, w osobnym garnku lub garnekach, przygotowuje to, co przeznaczone jest na obiad. Zostaje to wstawione do pieca dopiero po spaleniu się drzewa i wygarnięciu oraz zgaszeniu węgla, zużywanego następnie do samowaru. Piec jest na tyle gorący, że potrawy wstawione przed wyjściem do pracy nie tylko ugotują się do miękkości i aż ponadto, ale po wyjęciu ich z pieca późnym popołudniem będą całkiem gorące.

Tylko dzięki "ruskiemu" piecowi, wiejska kobieta rosyjska pracując poza domem cały dzień, może zapewnić rodzinie ogrzane mieszkanie i gorący posiłek - jeśli oczywiście ma go z czego ugotować - ale to już inny temat.

Sierpień 1943

Wszyscy mieszkańcy wioski należą do kołchozu. Wieczorami rozmawiamy z Lubą i sąsiadami o życiu kołchoźników.

Kolektywizację przeprowadzono tu przed dwunastu laty. Do wspólnego gospodarstwa zabrano wówczas wszystką ziemię, konie, wozy i sprzęt rolniczy. Kołchoźnikom pozostawiono działki ogrodowe przy każdej zagrodzie. Wolno im też trzymać po jednej krowie, cielęciu, parę owiec i kury. Ale od wszystkiego jest podatek w naturze. Trzeba się dobrze nagłowić aby podołać przypisanym dostawom mięsa i jaj. Gdy się krowa ocieli to na odstawę odchowuje się cielaka, a jeśli nie, to trzeba pozbyć się owiec.

Do pracy wychodzą obowiązkowo wszyscy dorośli. Każda robota jest wynormowana, a jej wartość określona nie w pieniądzu tylko w "trudodniach". Na przykład skoszenie hektara łąki - cztery "trudodnie".

Przez cały rok liczy się i zapisuje ile kto "trudodni" wypracował. Jesienią, po zebraniu plonów, następuje ogólne rozliczenie. Najpierw trzeba oddać państwu to co się należy, potem zostawić na obsiew pól oraz na karmę dla kołchozowego inwentarza. Pozostałą resztę zebranych płodów - zboża, ziemniaków, grochu, siana oraz pieniędzy uzyskanych z ich

sprzedaży, dzieli się przez ogólną sumę wszystkich "trudodni" w roku i wiadomo po ile czego przypada. Każdy kołchoźnik wiedząc ile "trudodni" wypracował, łatwo sobie wylicza co ma do pobrania.

Kołchoz, do którego należą mieszkańcy Zazariewa i sąsiedniego Riepina, jest mały. Latwiej wszystkiego dopatrzeć, ludzie pracują zgodniej - to też do wojny można było jeszcze wytrzymać. Teraz jest ciężiej. Dostawy dla państwa zwiększono, do pracy zostały tylko kobiety, niedorostki, staruszkowie oraz inwalidzi wojenni. Dwa kołchozowe traktory stoją z braku paliwa. Najlepsze konie też zabrano dla armii. Nie wiadomo czy wiele będzie do podziału jesienią.

W dużych kołchozach jest jeszcze gorzej. Na przykład w Wasilewskim, w ubiegłym roku, gdy się podliczyli jesienią, to do podziału nie zostało dosłownie nic. Urządzili kołchoźnikom na rozliczenie "święto", ugotowali mięsnego kapuśniaku, upiekli placki, dali po stakanie wódki i koniec. Żyj przez cały rok z dziećmi jak chcesz !

Najgorzej z mąką i chlebem - bo przecież kołchoźnicy kartek nie dostają.

---- * ----

W ciepłe, letnie popołudnia, a zwłaszcza w niedziele, ludzie chętnie wychodzą na ulicę przed domy, zbierają się w grupy i wtedy zazwyczaj rozpoczynają się "chorowody".

Najpierw śpiewać zaczynają kobiety, zawodząc pieśni

melodyjne i powolne. Śpiewane na głosy, brzmią pięknie:

"Szumieł kamysz derewja gnulis'

A noczka tiomnaja była

Odna razliublennaja para

Wsiu nocz'guliała do utra "

Pieśń taka ma kilkanaście, a czasem i kilkadziesiąt zwrotek i może być śpiewana nieskończenie długo.

Gdy grupa się powiększa, gdy zgromadzi się młodzież, repertuar śpiewów się poszerza, melodie stają się szybsze, bardziej rytmiczne, dziewczęta przytupując, rzucają spojrzenia przez naciągnięte na ramiona chustki. Wreszcie przychodzi ktoś z harmonią, albo bałajką i wtedy zaczyna się właściwe "gulanie". Kilka prostych taktów, łatwych do zagrania na bałajce, to popularna bardzo "barynia", przy której nogi chodzą każdemu od młodego do starego. Gdy jednak zjawi się dobry akompaniator z harmoszką, to nieuchronnie zaczynają się "czastuszki".

Są to krótkie, czterowersowe przyśpiewki, nie powiązane treścią między sobą, zazwyczaj cięte i dowcipne. Śpiewane są na przemian, każda przez kogo innego, zarówno przez młodzież jak i osoby w starszym już wieku. Śpiewający chce zaskoczyć słuchaczy treścią śpiewanej czastuszki i dlatego nie stosuje żadnej cenzury przy doborze jej słów, które jak sądzę, niektórzy wymyślają na poczekaniu.

Przed domem Luby trwa właśnie "gulanie" w którym nasza gospodyni aktywnie uczestniczy. Śpiewają czastuszki.

Zaczyna niewinnie jakiś piętnastolatek:

"Do cziewo że ja wliubiłsia
Do cziewo że wriezalsia
Kaby dali wostryj noż
Wział by i zariezalsia"

wtóruje mu zadziorna dziewczyna:

"Mienia matuszka rodiła
Na sołomie na mostu
Mienia muchi obosrali
Od tego ja nie rastu"

Nagle włącza się stary kołchoźnik, chyba inwalida z wojny japońskiej:

"Parochod idiot po Wołgie
Krysza zieleniejetsia
Diewki jedut biez bilietow
Na p..... nadiejutsia"

Śmieję się głośniej od innych, aby nikt nie pomyślał że nie wiem, w jaki sposób p.... mają zastąpić dziewczkom brak biletów.

Nie zawsze jednak niedzielne "gulanie" kończy się niewinnie śpiewaniem czastuszek we własnej wiosce. Często, zwłaszcza gdy chłopcy zdobędą gdzieś trochę wódki, grupa kawalerów i niedorostków wyrusza gromadą do sąsiedniej wsi "pohulać" na cudzym terenie. W zależności od tego czy wieś do której się udają jest zaprzyjaźniona czy "wroga", idą z harmoszką i gołymi rękami, lub uzbrojeni w noże, kije, ciężarki... System międzywiejskich "przyjaźni" i "wrogości" jest zmienny i skomplikowany.

W czasie tego przemarszu śpiewy są już inne:

"Skoro skoro nas ugoniat
Nas ugoniat daleko-
Gdzie niemieckije snariady
Rojut ziemiū gŕuboko

My opiat`tuda idiom
Gdzie wczera sia dralisia
Naszy toczeny noŕi
Raboty doŕidalisia"

Chłopczy z wioski do której maszeruje taka rozochocona gromada, mają do wyboru:

- albo przywitać "gości" życzliwie, po przyjacielsku i bawić się wspólnie, ale w swojej wiosce i ze swoimi dziewczętami - co nie wyklucza krótkich spacerów - pocieszając się nadzieją na rewizytę;
- albo wyjść im naprzeciw i zastąpić drogę, ryzykując starcie;
- albo zrejterować, pochować się i wpuścić nieproszonych gości do swojej wioski, którzy wówczas przejdą się ulicą, wrzaskliwą gromadą, pozaczepiają dziewczęta, mogą też rozbić lampę lub nabrudzić na podłogę w wiejskim klubie i na tym koniec - ale jaki wstyd na okolicę i ujma na honorze !

Niestety, te niedzielne wyprawy chłopców między sąsiednimi wioskami, kończą się nieraz krwawo. Zdarzają się poważne okaleczenia, a nawet zabójstwa. Wkracza wtedy milicja. Zapadają wyroki. Niektórzy chłopcy, przed poborem, po wypiciu wódki,

mówią, jednak, że chyba lepszy wyrok i zesłanie, niż wcielenie do armii i pewna śmierć na froncie. Stąd może tyle zapamiętania w tych bijatykach. Czy ja wiem ?

---- * ----

Mieszkając teraz na wsi, bez żadnych poważniejszych obowiązków, my dzieci mamy znowu możliwość bez trosk zabawy.

Dołączyliśmy z Jędrkiem do wiejskiej gromady rówieśników. W ciepłe dni przesiadujemy godzinami nad stawem. Kąpiemy się i harujemy w wodzie, na ile tylko można w niej wytrzymać.

Potem, dygocąc, grzejemy się i suszymy w nabrzeżnym piasku i znów skaczemy do wody - i tak potrafimy przez cały dzień.

Nie wiedząc kiedy nauczyliśmy się pływać "pieskiem" i nurkować.

Gdy jest chłodniej, uganiamy gromadą po wiosce, lub przyległym do niej, a wypalonym teraz przez słońce, pastwisku, bawiąc się w różne nieskomplikowane gry, znane nam jeszcze z Polski, jak w "Yapanego" czy "chowanego", ale też w inne, ciekawsze, poznane dopiero tutaj. Na przykład w "krążek".

Do tej zabawy potrzebny jest tylko cienki krążek drewna, odciety piłą z możliwie grubszego okrągłaka. Grający grupują się w dwie "armie", które zajmują stanowiska po dwóch stronach "granicy" dzielącej pastwisko na pół. Każda grupa ma swojego "miotacza", który rzuca krążek starając się nadać mu największy pęd. Drewniane kółeczko toczy się podskakując i chodzi o to, aby bosą stopą jak najwcześniej je zatrzymać, albowiem do tego miejsca przesuwa się granica obydwu

"państw". Naturalnie wygrywa armia która zagarnie cały teren boiska. Oczywiście zatrzymując krążek blisko "wyrzutni"

można zostać bohaterem, ale to kosztuje sińce i skaleczenia na piszczelach i w tym jest cała emocja.

. Niekiedy, w mniejszej grupie, wybieramy się na odległe leśne jezioro na ryby. Haczyk jest zrobiony z rozklepanej szpilki, "żyłka" z końskiego włosia, a wędzisko z cienkiej brzoźki. Jednak czasem, gdy ryby biorą, można na taką wędkę wyciągnąć 2-3 karasie.

Najbardziej pasjonujące, choć ryzykowne, są wyprawy na kołchozowy groch. Trzeba zejść na pole gdy jeszcze jest ciemno. Ponieważ Yan jest widoczny z wioski, a groch niski, można go skubać tylko leżąc na ziemi na wznak. Złapanie na gorącym uczynku - to gruba awantura z przewodniczącą kołchozu i potrącenie szkody z zarobionych przez rodzinę "trudodni".

Plądrowanie prywatnych, przydomowych ogrodów jest nie do pomyślenia. Nie ma we wsi Yobuza który by się na to odważył.

W naszych gonitwach i zabawach nie bierze udziału Ewunia. Ma dopiero pięć i pół lat, ale nie wygląda na tyle. To przez te przebyte choroby i głód. Ewunia jest małomówna, poważna i prawie nigdy nie płacze. Reaguje jednak gwałtownie i kategorycznie jeśli ktoś, jej zdaniem, krzywdzi ją lub ogranicza w prawach. Teraz, zadowolona że nikt jej rano nie ciągnie do przedszkola, - trzyma się kurczowo Mamy. Nie lubi oddalać się od niej i domu. Całymi godzinami potrafi siedzieć pod stołem w kuchni, a w ostateczności na piasku przed progiem i bawić się "lalkami" zrobionymi z poprzewidywanych szmatek z którymi rozmawia, karci

je i" wychowuje" oraz urządza dla nich
pokoiki, domki, ogródki z
patyków, kamyków, listków, papierków oraz innych
bezużytecznych przedmiotów. Czasem Ewunia dopuszcza do
swego "królestwa" jakąś rówieśnicę z sąsiedztwa, ale nie
pozwala jej w niczym przerządzać. Jeśli koleżanka nie chce
jej słuchać - to przyjaźń się kończy.

---- * ----

Prawie z każdego domu, co najmniej jeden członek
rodziny został powołany do służby w Czerwonej Armii. Jedni
zaraz po wybuchu wojny, drudzy potem, w miarę tego jak
rozszerzano granice wieku poborowych. Teraz do poboru
stają wszyscy zdolni od 16-go do 65-go roku życia, przy
czym wymagania zdrowotne stawiane przez komisje są
coraz łagodniejsze. Jest wiele przypadków, że mężczyźni
uznani w ubiegłym roku za trwale niezdolnych do służby, na
przykład po zaleczeniu ran, teraz są zabierani.

W rozmowach z kołchoźnikami nie zauważa się żadnego
patriotyzmu, żadnej dumy z tego, że oto mąż, syn, ojciec czy
brat służy w armii, bronią ojczyzny, czy coś w tym
rodzaju, jak to było wśród Polaków w 1939 roku. Tutaj
prości ludzie traktują wojnę jak kolejne, ogromne i
straszne nieszczęście, które muszą przeżyć i pogodzić się
z nim. A jest co przeżywać!

Spośród powołanych od początku wojny mniej więcej co
czwarty już nie żyje, lub zaginął bez wieści. Po wiosce
kuśtyka kilkunastu inwalidów. Listonosza, który dociera do
wsi raz na parę dni, ludzie i oczekują i boją się i
nienawidzą

równocześnie. Prawie za każdym razem do któregoś z domów przynosi on straszną wiadomość. Jeszcze jedna kobieta, zwykle z małymi dziećmi, dołącza do tak liczного już grona wdów. Zwykle nie od razu może uwierzyć w to, że odtąd już tylko sama, do końca życia, będzie borykać się z losem, pracować w kołchozie, uprawiać działkę, zdobywać opał, siano i tyle innych rzeczy niezbędnych do przetrwania. Że ten, na którego czeka już trzeci rok, nigdy nie wróci.

We wiosce wszyscy się znają od dziecka, większość jest ze sobą spokrewniona, toteż do domu nieszczęsnej schodzą się przez kilka dni sąsiedzi i krewni. Uspokajają, pocieszają jak umieją - potem wszystko wraca do codziennego stanu i życie toczy się dalej.

Z listów które przychodzą z frontu też niewiele można się o najbliższych dowiedzieć. Cenzura wojenna jest ostra, nie puszcza wiadomości ani o tym gdzie są, ani jak im się naprawdę wiedzie i co robią. Wolno im pisać tylko na temat otrzymanych odznaczeń i pochwał, o dobrym samopoczuciu, poprawie zdrowia, gotowości i zapale do walki z wrogiem, obszernie o swoich uczuciach do żony i dzieci oraz pytać, co w domu, kołchozie, u krewnych, znajomych i tak dalej. Toteż wszystkie listy nadchodzące z frontu są prawie jednakowe.

Gdy jeszcze czasem ktoś przyjedzie na krótko, to opowie w zaufaniu najbliższemu jak tam jest na tej wojnie. Gdy Luby ojciec był w ubiegłym roku na krótkim urlopie, po leczeniu rany, to opowiadał, że jesienią 41-go, zaraz po poborze, bez żadnego przeszkolenia, zawieźli ich prosto na linię frontu

pod Kalininem. Wydali po jednym karabinie na dziesięciu- resztę kazali zdobyć w boju. Ale co to był za bój- po prostu swoimi ciałami wyłapywali niemieckie kule.

Do nich na front też nie wszystko można pisać- jeśli za dużo o nieszczęściach, zmartwieniach, kłopotach, głodzie, chorobach, to listy po prostu nie dochodzą. Nie można przecież obniżać bojowego ducha armii, to zrozumiałe. Ale skąd wziąć te dobre wiadomości, jeśli spodziewany, całoroczny zarobek zboża w kołchozie został już zaliczkowo wybrany i zjedzony, jeśli od noszenia worków w magazynie kołchozowym plecy tak bolą, że odejmuje nogi, a zastąpić nie ma kto, jeśli jedyną krowę tydzień temu dobili, gdyż się wzdęła, jeśli najmłodsza córeczka, którą mąż jeszcze pamięta, ciężko i od dawna choruje..."

Mama, rozmawiając z kobietami, wysłuchuje cierpliwie ich żalów i pociesza jak umie: że mąż na pewno wróci z wojny, że córeczka wyzdrowieje, że zboża na trudodzień wypadnie więcej, że trzeba tylko być dobrej myśli i ufać Panu Bogu. Kobiety taką rozmowę i takie słowa traktują często jako wróżbę. Dziękują, czasem przynoszą Mamie główkę kapusty, lub kilka jajek. Mama wróżby się zarzeka, ale jajka przyjmuje...

---- * ----

Prawie zupełny brak we wsi mężczyzn ma jeszcze jeden, chyba dość ważny, skutek- dziewczęta nie mają kawalerów i narzeczonych. A jest tych dziewcząt bez liku. W każdym domu po jednej lub kilka. I wysokie i niskie i średnie. Większość to blondynki

o jasnych oczach, ale są i ciemne, lub czarne jak cyganki. Wszystkie wesołe, zadziorne, szustre i zaczepne. Przeważnie bardzo ładne, na mocnych, bosych nogach, ze sterczącymi, pod cienkim perkalikiem, piersiami. Nie mają biedne z kim pochodzić za rękę po ulicy, potaćzyć w chórowodzie, pośpiewać czastuszek, zaplanować ślubu, ożenku i wspólnego zamieszkania.

Te z nich które nie zdążyły wyjść za mąż przed wojną, mają 21-24 lat. One właśnie są teraz najbardziej niespokojne, nerwowe i jakieś nierówne. Na przemian, to kłótlive, to bardzo wesołe. Przyglądają się dziwnie podrastającym chłopcom, niewiele starszym ode mnie, ale którzy już zaczynają mówić basem i po kryjomu wzdychają do swoich rówieśnic. Łapią takiego, niby żartem, za szyję, przyciągają mu głowę do swoich piersi - bo wyżej nie sięga i mówią: chodź, będziemy udawali narzeczonych. Potem, gdy przyjdzie niedziela, widzi się takie "pary" spacerujące po ulicy: ona jak wieża z cycami, a on o półtora głowy mniejszy, prowadzi ją za rękę i nie wie czy uciec do mamy, czy do swojej prawdziwej ukochanej, która wylewa gdzieś łzy za firanką. Niektórzy jednak przyzwyczajają się.

Dorośle dziewczyny szukają kawalerów na wszystkie sposoby. Sam widziałem jak nasza piękna Luba aż na ulicę, wybiegła, gdy jechał nią na rowerze taki jeden, prawie już dorosły, z sąsiedniej wsi. Wołała go koniecznie do siebie "na czaj" - ale nie przyszedł. Miał widocznie inne plany. Dziwiłem się Lubie i nawet miałem do niej ukryty żal, że tak się poniża.

---- * ----

W ostatnich dniach sierpnia zwieziono suche kołchozowe żyto z pola, zagrabiono ściernisko i nadeszła pora kiedy ludziom wolno wybierać z niego kłosa. W sobotę po południu i w niedzielę wyległy kobiety z dziećmi, zaopatrzone w koszyki i płachetki. Poszliśmy z Lubą, niby jej do pomocy, ale powiedziała, że co zbieramy to nasze. Po dwóch dniach na ściernisku nie pozostał na pewno ani jeden kłosek dla myszy czy wrony. Myśmy w czwórce zbierali spory węzelek kłosów z których, po "omłóceniu" patykami na klepisku w stodole i przewianiu na wietrze, uzyskaliśmy około 3 kilogramów żyta. Pouczona przez Lubę Mama wysuszyła ziarno na piecu, a następnie zmełała na ręcznych żarnach na razową mąkę. Co ciekawe, "żarna" nie są z kamieni, lecz z pni brzoźowych, do których są gęsto nabite metalowe kliniki. Po dwukrotnym zmieleniu mąka jest względnie mialka.

Teraz można przystąpić do pieczenia wymarzonego przysmaku-pieroga z kartoflami. W tym celu rozwałkowuje się zrobione z mąki ciasto na duży, na pół stołu, placek, nakłada nań dwucentymetrową warstwę zimnych, ugniecionych ziemniaków i przeginając placek przez pół zalepia brzegi pieroga, a następnie wkłada się go na blasze do ruskiego pieca, po wygarnięciu węgla i piecze do przyrumienienia skórki. Po wyjęciu i całkowitym ostudzeniu pieróg tężeje, może być krajany na kawałki i dysponowany. W tej postaci stanowi główne pożywienie kołchoźników, zastępując im chleb, gdyż kartek nań nie otrzymują, a na wypiek własny nie mają mąki. Zimny kawałek

pieroga wspaniale smakuje na przykład z mlekiem, a zawinięty w szmatkę i zabrany do pracy, czy w podróż, stanowi posiłek dzienny.

Wrzesień 1943

Przeprowadzamy się do Rajek i z żalem opuszczamy dom Luby i jego, tak życzliwą nam gospodynię. W Rajkach zwolniło się właśnie, obiecane przez Szyłowa, dwuizbowe, prawdziwe, rosyjskie, wiejskie mieszkanie. Z ruskim piecem, z "połatiami", z ławami wokół ścian - najwykwintniejszy "apartament" jaki mieliśmy od wyjazdu ze Lwowa.

Pomagam Mamie w myciu i sprzątaniu naszego "własnego kąta".

Mam jeszcze wakacje. Idę jednak tej jesieni do V klasy "niepełnej średniej szkoły", a w czasie wojny wakacje dla uczniów tego typu szkół na wsiach, zostały przedłużone i trwają od czerwca do września włącznie, aby młodzież mogła w tym czasie pracować w kołchozach i sowchozach. W przyszłe wakacje na pewno będę już pracował.

---- * ----

Jedną z trzech rodzin zamieszkujących w Rajkach na stałe, jest rodzina Kudriawcewów. Ojciec rodziny, były księgowy Leśnictwa, jest od dwóch lat na wojnie. Na miejscu jest jego żona, krępa, energiczna i zapobiegliwa Kapotalina Pietrowna i syn jedynak Łońka - starszy ode mnie o rok. Idzie teraz do VI klasy. Zaprzyjaźniliśmy się z miejsca, choć patrzy na mnie trochę z góry, lecz mnie to nie przeszkadza.

Kudriawcewowie mają działkę obsadzoną kartflami, krowę Maszę, psa Damkę, pół worka mąki w komórce (co widziałem) i są, jak na tutejsze stosunki, bogaci.

Łonka opowiedział mi trochę o historii jego rodziców. Oboje wywodzą się z byłych rodzin kułackich, pozbawionych mienia i wywiezionych w czasie kolektywizacji. Uniknęli losu swoich najbliższych tylko dlatego, że ojciec jego był już w tym czasie żonaty, miał nierolniczy zawód i państwową posadę.

Do władzy sowieckiej nie pałają miłością, z czym się nie ujawniają, a mnie zaufały, gdyż byliśmy na zesłaniu jak jego dziadkowie, o których słuch jednak zaginął.

Łonka jest bardzo mądrym, czytany i roztropnym chłopcem. Gra w szachy. Na wiele spraw ma ustalone poglądy. Mamy niekończące się tematy do rozmów. Cieszę się że go poznałem.

---- * ----

Kilka dni po sprowadzeniu się do Rajek, Mama udała się do Szyłowa z prośbą o "wypisanie" kolejnego worka ziemniaków i w pierwszym podejściu spotkała się z odmową.

Wytłumaczył jej grzecznie, ale stanowczo, że nie posiada żadnych podstaw ani uprawnień do tego, aby uszczuplać zapasy stołówki robotniczej na rzecz prywatnej rodziny, że mogą go spotkać nieprzyjemności, że poprzednio zrobił wyjątek i oby go nie musiał żałować. Mama mu na to, że ziemniaki ma nie z przydziału państwowego, lecz z handlu drewnem z kołchozami, że w Iwanowie korzystaliśmy ze stołówki dla ewakuowanych, a tutaj on, jako jedyny przedstawiciel władzy radzieckiej, winien nam jest opiekę i w związku z tym, aby dzieci nie głodowały, ziemniaki musi wypisać.

Szyłow ustąpił, ale zastrzegł, że ostatni raz i rozstali się z Mamą bardzo chłodno. Nie wiem co będzie dalej z tą sprawą, ale nie sędzę aby Mama, mając do wyboru poprawne stosunki z Szyłowem, albo ziemniaki dla nas, miała jakieś wahania.

Na wszelki wypadek korzystamy z ziemniaków oszczędnie, a gotując je w łupinach zdejmujemy i suszymy skórki na czarną godzinę.

---- * ----

Ponieważ do naszego mieszkania należy mała komóreczka, Mama postanowiła kupić kozę. Tato dobił targu z kołchoźnikiem, który był ktoregoś dnia w Leśnictwie, ale po kozę trzeba było iść na trzecią wieś Majdakowo, jakieś dziesięć kilometrów w jedną stronę.

Wybrałem się w niedzielę. Droga wiedzie przez dużą wioskę Szyriaicha. Zbliżyłem się, krocę drogą przez wieś, gdy pomiędzy zabudowań idzie ku mnie kilku chłopców w moim wieku.

"Czyj jesteś?" - odpowiadam że Łazariewski. Na to z ich strony wręcz entuzjazm: jeden częstuje mnie słonecznikiem, drugi porzeczkami, trzeci machorką, klepią po ramionach - Posiedziałem z nimi chwilę i pełen najlepszych wrażeń ruszyłem w dalszą drogę. Zbliżyłem się do kolejnej wsi Tajmanicha. Znowu szeroka ulica, znowu grupa wyrostków zastępuje mi drogę. Na pytanie "Czej ty?" odpowiadam z dumą "Łazariewskij" i natychmiast otrzymuję cios w zęby, potem drugi w oko. Padam, zasłaniam głowę rekoma, kopią mnie i okładają kijami gdzie popadnie. Zrywam się, uciekam. Za mną lecą kamienie...

Okazało się, że nie byłem bieżąco zorientowany w aktualnych sojuszach międzywiejskich, które od ubiegłej niedzieli uległy zmianie. W każdym razie, gdy prowadziłem kupioną kozę o imieniu Sierka z powrotem do Rajek, wszystkie wioski omijałem na wszelki wypadek dużym połkolem. Do domu dotarliśmy z Sierką późnym wieczorem.

Październik 1943

Chodzimy już z Łonką do szkoły, do siola Wasilewskoje. Jest to duża stosunkowo miejscowość, w której mieści się "sielsowiet" - coś w rodzaju naszej gminy, sielkom partii, milicja, poczta, biblioteka i kilka innych instytucji, a między nimi spółdzielnia krawiecka, warsztaty. Wielka i okazała murowana cerkiew zamieniona jest w skład maszyn rolniczych miejscowej MTS.

Wasilewskoje jest jedyną miejscowością w okolicy zelektryfikowaną - co prawda dopiero po kolektywizacji.

Nasza szkoła - to pełna dziesięciolatka, podzielona niejako na dwa etapy nauki - klasy V - VII czyli tak zwaną "niepełną średnią szkołę", po której młodzież idzie od razu do pracy lub nauki zawodu oraz właściwą "pełną średnią" czyli klasy od VIII - X której ukończenie uprawnia do studiów, lub nauki w szkole technicznej. Chłopcom z IX i X klas odracza się pobór do armii, idą od razu do szkół oficerskich.

Szkoła ma dyrektora, zastępczynię do spraw wychowawczo-pedagogicznych i osobnych nauczycieli, głównie kobiety, do poszczególnych przedmiotów.

Warunki do prowadzenia nauki i wykonania programu są teraz, w czasie wojny, bardzo ciężkie. Od trzech lat nie są wydawane żadne podręczniki. Resztki przedwojennych, przekazywanych przez starsze klasy, są w strzępach. Z wielu przedmiotów są po 2-3 kompletne egzemplarze na całą klasę, z których trzeba korzystać na zmianę. Nie mamy wogóle zeszytów, notatników ani czystego papieru, bo nikt ich po prostu nie produkuje ani nie sprzedaje. Zdobywamy gdzie się da jakieś stare gazety, czasopisma, formularze, papier pakunkowy, makulaturę kancelaryjną, wreszcie stare książki i na tym piszemy między wierszami, zszywając uprzednio jeśli trzeba.

Brakuje atramentu. Robimy go sami, zbierając kulkowe narośla z liści dębowych, (Tato mówi, że nazywają się "galasówki") rozgniatamy je, zalewamy letnią wodą, wrzucając do niej kawałek zardzewiałego żelaza i po kilku dniach jest z tego ciemnobrązowy atrament.

Gdy kończy się kreda, idziemy za zgodą nauczycieli do cerkwi i kamieniami obijamy gipsowe chyba, sztukaterie - dobrze się nimi pisze na tablicy.

---- * ----

Tatuś był służbowo w Iwanowie przez dwa dni, odwiedził panią Kowalczykową i przywiózł rewelacyjne wiadomości.

Otóż polski rząd w Londynie, jeszcze wiosną ostatecznie pokłócił się ze Stalinem i zerwał stosunki.

Jednak powstał związek byłych obywateli polskich w ZSRR,

zaprzyjaźniony z sowietami. Kierowniczką tego związku jest jakaś polska przedwojenna pisarka - Wasilewska.

Ten właśnie związek, za zgodą Stalina, rozpoczął wczesnym latem tworzenie polskich dywizji. Do pierwszej takiej dywizji trafił mąż pani Kowalczykowej, gdy po przyjęciu paszportu stanął do poboru. Szkolili ich bardzo krótko, bo już w tych dniach była podobno jakaś ciężka bitwa o której pisała "Prawda".

Pani Kowalczykowa jest niespokojna i oczekuje wiadomości od męża.

Ten związek Polaków, który nazywa się Związkiem Patriotów, ma już swój zarząd w Iwanowie, którym kieruje niejaki pan Lewin.

Zaczęli spisywać wszystkich byłych obywateli polskich, którzy po wojnie zamierzają wrócić do Polski. Tatusz zgłosił naszą rodzinę.

-----*

Luba z Łazariewa przekazała nam wiadomość, abyśmy przyjechali po kapustę do kiszenia. Otoż w kołchozie jest duże pole kapusty. Głowy są ścinane i wożone do kiszarni lub na bazar w Wasilewskim i tam sprzedawane przez kołchoz. Po zbiorze wszystkich główek, zezwala się kołchoźnikom oraz innym chętnym na zebranie bocznych ciemnych liści, które też się kisi. I właśnie po te liście byliśmy ręcznym, pożyczonym wózkiem w niedziełę. Przywiezione liście, posiekało się w drewnianym korycie półokrągłą ostrą łopatką, a następnie po ułożeniu w umytej beczuńce po śledziach, przycisnęło deseczkami i kamieniem. Gdy ukiśnie, będziemy mieli własne "szczy"!

----- *

Odkąd mamy kozę, poprawiła się jakość naszej codziennej zupy, gotowanej według wypróbowanej receptury archangielskiej z kilku tartych ziemniaków i dwóch łyżek przyrumienionej mąki.

Teraz dochodzi do tego pół litra wlewanego mleka, na zabielenie.

Sposób jedzenia przyjęliśmy taki, jak wszyscy miejscowi Rosjanie. Ugotowaną potrawę wlewa się do jednej, wspólnej, glinianej miski i cała rodzina zasiada wokoło z drewnianymi łyżkami, o okrągłych, a nie podłużnych wgłębieniach i zajada aż w misce ukaże się dno.

Zauważyłem u Rosjan, że jeśli w domu znajdzie się gość, którego chce się zaprosić na "obiad", daje się mu po prostu dodatkową łyżkę i robi miejsce na ławie. Jeśli jest to gość szczególnie honorowy, może dostąpić zaszczytu jedzenia z osobnej miski, ale wspólnej z gospodarzem domu, który przed ukazaniem się w misce dna, odkłada ostentacyjnie swoją łyżkę, podsuwając miskę z resztą potrawy gościowi z wyrazem "dochliobujaj". Jest to gest szczególnej gościnności i wyróżnienia.

---- * ----

Mankamentem naszego nowego mieszkania jest nieprzebrana ilość karaluchów mieszkających w niezliczonych szczelinach starych, drewnianych ścian. Są różnej, a właściwie wszelkiej wielkości. Od dorosłych, skrzydlatych, dwucentymetrowych, po prawie niewidoczne milimetrowe. Żażą tysiącami po ścianach, meblach, przedmiotach. Są wszędzie. Nie sposób ustrzec przed nimi żadnego posiłku. W misce zupy, nalanej wprost z garnka pływają po wierzchu w kołach własnego tłuszczu. Gdy wybierze się te

większe, a poruszy zupełną łyżką, wypływają następne, co prawda coraz mniejsze, ale nigdy nie można wybrać ich do końca. Trzeba dawać za wygraną i jeść co Bóg daje, doganiając mniej wybrednych współbiesiadników.

Szczególnie chętnie karaluchy gromadzą się nocą na wylepionej gliną i pobielonej ścianie, za ruskim piecem, gdzie tworzą rano, coś na kształt żywego, czarnego cienia.

Mama czai się na nie z garnkiem ciepłej wody, wyszarpywanym w pośpiechu z pieca - zanim spłoszone hałasem nie pouciekają do swych kryjówek. Ale skutki tych zabiegów, poza koniecznością wycierania rozlanej wody, są znikome.

Listopad 1943

Leśniczy Szyłow jest człowiekiem trochę dziwnym i oryginalnym. Obserwuję go czasem, a i Tatuś trochę o nim opowiada. Ma swój gabinet z biurkiem, ale siedzi w nim tylko wówczas, gdy przyjmuje interesantów. Pozostały czas przebywa w ogólnej sali kancelaryjnej, gdzie ma drugie biurko. Siada przy nim, opierając buty na siedzeniu krzesła, podciągając kolana pod brodę i objąwszy rękoma podciągnięte nogi, potrafi siedzieć godzinami, obserwując pracujących w pokoju czterech urzędników. Błat biurka, przy którym siedzi Szyłow jest pusty cały dzień. Żadnych papierów. Stoi na nim jedynie kilogramowy, płocienny worek z machorką, leży stara "Prawda" i przyrządy "katiuszy" do krzesania ognia. Szyłow co chwila urywa rozek z gazety, skręca z niego "kozią nożkę", nasypuje machorki, krzesze ogień i wypuszcza kłęby gryzącego dymu na pokój.

Szyłow ma ulubionego psa Ałuna, który pochodzi podobno z krzyżówki z wilkiem. Ałun mieszka w specjalnej zagrodce. Dla ludzi, nie poszczuty, nie jest groźny, ale za to dusi inne psy, z czego Szyłow jest bardzo dumny i lubi na to patrzeć.

Gdy zauważy przez okno, lub usłyszy, że drogą biegnącą koło Rajek zbliżają się jacyś ludzie, lub furmanka, a przy nich pies, wówczas wybiega na dwór, wypuszcza Ałuna z zagrodki, a sam ukrywa się za wrotami i obserwuje. W zależności od tego kim jest właściciel psa, Szyłow niby to zwabiony wrzawą, wybiega z bramy, wcześniej lub później i albo zdąża odratować kundelka albo nie.

---- * ----

Trzeba przy okazji powiedzieć, jak powstaje prawdziwa miejscowa machorka. Otóż jest to jakaś półdzika odmiana tytoniu o małych liściach, ale grubych pędach. Zebrane pod jesień badyle, przepoławia się wzdłuż nożem, wybiera ze środka biały "rdzeń", a związane pęki wiesza na strychu pod dachem do przewędnięcia. W miarę potrzeby, taki przewędły snopek, wkłada się do drewnianej skrzyneczki z grubych brzoźowych desek i rąbie ostrym toporkiem przykrywszy uprzednio wilgotną szmatą, aby nie pryskało na boki. Taką sieczkę przesiewa się następnie na wietrze przez sito, zrobione z podziurawionej gwoździem blachy i machorka gotowa.

Tatusz przyzwyczaił się już do jej palenia, ciesząc się, że nie musi oszczędzać chleba, aby ją zdobyć. Za ruble można

nabyć u kołchoźników, niedrogo, każdą ilość. Ja też, namawiany przez kolegów, próbuję ją palić, ale gdy usiłuję się zaciągać, czuję, jak by mi ktoś ostre noże wbijał do płuc.

----- * -----

W szkole w Wasilewskim, zaprzyjaźniłem się z chłopcem, z którym siedzę w jednej ławce, z Gienką Polakowem. Nie jest on miejscowy. Wraz z matką zostali ewakuowani gdzieś z południa Rosji i tutaj mieszkają od dwóch lat. Gienka jest starszy ode mnie o rok, bo przez wojnę opóźnił się o jedną klasę. Ma teraz czternaście lat, ale jest duży, wyrosnięty, o wielkiej twarzy z wywiniętymi wargami. Mówi już basem i ciągle chce rozmawiać o różnych świńskich sprawach jakie robią mężczyźni z kobietami i z czego potem są dzieci. Opowiada, że jego siusiak urosł mu już bardzo duży i nawet w stanie miękkim ma ponad 10 centymetrów długości, co demonstruje mi pod ławką w czasie lekcji, rozpinając rozporek i przykładając linijkę.

Drugi temat na który Gienka chętnie rozmawia to jedzenie. Jest wiecznie głodny. Gdy mam ze sobą kawałek pieroga, to się z nim dzielę.

Gienka mimo tych zainteresowań, ma dobre stopnie. Pamięta wszystko co usłyszy bez notowania i zakuwania. Poza tym, dużo czyta, zwłaszcza książek dla dorosłych.

Nauczyciele nasi w szkole nie są zbyt ciekawi. Największym oryginałem jest Walerij Bogdanowicz, od historii, starszy

i chorowity. Wszyscy wiedzą, że przed kolektywizacją przyjaźnił się z popem i prowadził cerkiewny chór. Jest ciągle jakiś wystraszony, a gdy wykłada współczesną historię ZSRR o zwycięstwach i sukcesach, to jakby się sam bał tych zwycięstw i nie bardzo w nie wierzył. Na jego lekcje najczęściej przychodzi zastępczyni dyrektora do spraw wychowawczych, na wizytacje.

Nauczycielka rosyjskiego Lidia Nikołajewna, jest młodziutka i bardzo ładna. Ma warkocze oplecione wkoło głowy. Niedawno ukończyła instytut. Gdy omawia z literatury jakieś historie miłosne to się rumieni. Chłopcy z dziesiątej klasy robią jej podobno jakieś głupie kawały.

Najmniej sympatyczna jest nauczycielka niemieckiego Roza Josifowna. Jest ruda, tłusta, jakaś jajowata i nieprzystępna.

Nie stawia nikomu piątek i nie zwraca nikomu uwagi na ściągawki przy tłumaczeniu czytanek. Gdy prowadzi lekcje zawsze stoi, wciskając sobie narożnik stołu wysoko między uda i przesuwając się po nim niedostrzegalnie raz w górę, raz w dół.

Gienka Polakow mówi, że ona ma "mandawoszki". Nie wiem co to jest, ale nie chcę go pytać, aby mnie nie wyśmiał.

---- * ----

Zaopatrzenie w żywność jest w Rajkach sprawą dość złożoną.

Pracownicy Leśnictwa oraz ich rodziny, mając uprawnienia do kartek na chleb i inne produkty, nie mają ich gdzie wykupić. Dlatego też Leśnictwo musi mieć własny punkt zaopatrzeniowy,

prowadzony przez jedną z pracownic kancelarii, jako zajęcie dodatkowe. Chleb pobiera ona z piekarni w Wasilewskim dwa razy w tygodniu, a inne towary w Szui raz w miesiącu - to co akurat jest w magazynie głównym.

Efekty takiego systemu są uciążliwe i zaskakujące. Chleb, pobierany na 3-4 dni z góry, trudno jest w naszych warunkach podzielić i przechować. W rezultacie zjadamy go zawsze wcześniej, a ostatni dzień przed kolejną dostawą, głodujemy.

Zamiast zapałek przywieziono kiedyś sznurek, zamiast nafty, olej maszynowy, a ostatnio zamiast mięsa - czerwony kawior - kilo za kilo, - jedliśmy go łyżkami, wprost z gazety, w którą był zawinięty.

---- * ----

Odkąd mieszkamy w Rajkach, zaczyna się odradzać, a właściwie układać od nowa, nasze życie rodzinne.

Przecież po czterech latach, dopiero teraz mamy "normalny" bo własny kąt, z własnym piecem do gotowania strawy.

Tato chodzi do "normalnej" pracy, którą lubi i umie wykonywać, my z Jędrkiem do "normalnych" szkół. Mama krząta się w domu, reperuje i pierze nasze ubrania, troszczy się o to co włożyć do garnka, utrzymuje czystość i opiekuje się Ewunią.

Gdy spotykamy się wieczorem, Tato chętnie opowiada ciekawostki z biura i o swojej pracy. Mama najczęściej roztrząsa nasze bieżące sprawy bytowe, związane z wykarmieniem i okryciem rodziny. Czasem jednak, gdy jest w nastroju, sięga do wspomnień,

do lat swego dzieciństwa, które jako półsierota spędziła w zakładzie prowadzonym przez zakonnice; do lat długiego stosunkowo panieństwa, opowiada o swoich pierwszych sympatiach - z czasów zanim poznała Ojca, o ich wieloletnim narzeczeństwie, o nie spełnionych marzeniach swojej młodości...

Słuchamy chętnie tych opowieści. Wiążą nas one mocniej z rodzicami, z naszą rodziną, dają jakieś wyobrażenie Polski, z której pamiętamy coraz mniej.

Jeśli mamy z Jędrkiem lekcje do odrobienia, to staramy się wykorzystać jeszcze dzienne światło. Nie zawsze go jednak starczy i często, z konieczności, zajmujemy wieczorem stół i kaganek do wyłącznej dyspozycji.

Poza rozmowami i lekcjami bardzo lubimy w domu w coś zagrać. Na pierwszym miejscu są szachy. Z Tatą grałem już we Lwowie w 1940 roku. Teraz nauczyliśmy Jędrka, który okazał się, jak na swoje 11 lat, bardzo pojętny. Robimy całe turnieje

do których dołącza się Łońka - najlepszy szachista w tym gronie.

Gdy znużą nas szachy przerzucamy się na warcaby, skakankę, wilka i owce lub, tak popularne w Rosji, domino, do którego potrzebny jest jednak czwarty partner, gdyż rozgrywa się je parami dwóch na dwóch.

Jeżeli do gry chce dołączyć Ewunia to zasiadamy do loteryjki zwanej "tiurlu". To już jest hazard, ale gra łatwa i dostępna dla każdego. - Kanciasty bączek, zrobiony ze szpulki po niciach, wiruje po stole zatrzymując się na wypisanych na jego obwodzie hasłach: "DS", "BS", "DP", "BP", "ST", "T", czyli "dołóż stawkę", "bierz stawkę", "dołóż pulę", "bierz pulę", "stoisz"

i wreszcie "Tiurlu !", kiedy każdy łapie ile zdoła. Jest wesoło. Gra toczy się o małe, owalne kamyczki, zastępujące pieniądze czy cukierki, specjalnie wyszukiwane i gromadzone w tym celu. Przed przystąpieniem do gry ich zapas jest dzielony po równo między grających.

Jak przyjemnie jest teraz wieczorami w domu. Żeby tylko tak ciągle nie chciało się jeść. Myślę nieraz, czy kiedyś po wojnie ludzie potrafią zasiać i zebrać tyle zboża, aby wszyscy mogli się najieść chlebem do syta? - Chyba nie.

Grudzień 1943

Grupa robotników sezonowych pracująca w Rajkach zamieszkuje w "obszczeżytiu". Wyraz ten nie ma polskiego odpowiednika. Ani Ojciec, ani Mama o takim nie słyszeli. Oznacza on po prostu "miejsce wspólnego zamieszkiwania" i temu odpowiada.

Robotnicy zajmują dwa duże pomieszczenia połączone przejściem bez drzwi. W jednym, większym, jest ruski piec, stół z ławami i szafka na sprzęt kuchenny. W tej izbie na pryczach śpią kobiety; w sąsiedniej, na takich samych pryczach, mężczyźni.

Wyżywienie, a właściwie obiady, organizuje Leśnictwo poprzez szumnie zwane "gospodarstwo pomocnicze", na które składa się kilkanaście owiec, utrzymywanych własnym staraniem oraz kilka grządek z warzywami uprawianych latem przez tychże robotników. Kapustę, ziemniaki, trochę mąki, uzyskuje Szyłow z kołchozów przy okazji sprzedaży drewna.

Robotnicy-mężczyźni przygotowują i noszą drewno do opalania kwatery, a raz w tygodniu zabijają owcę lub barana (z którego

naszej Mamie dają zawsze żołądek, nerki, ozorek i łeb), a kobiety palą w piecu i w ogromnym wspólnym garnku gotują na przemian "szczy" albo "miasnoją sup". Jedzą razem, po pracy, ze wspólnych misek. Do kobiet należy też utrzymanie czystości w całej kwaterze. Poza obiadem każdy z robotników ma chleb kartkowy, którym rządzi się sam, podobnie jak ubogim prowiantem przyniesionym w niedzielę z domu w postaci kilku jajek, czy kawałka pieroga - to są ich śniadania.

Cały system żywienia robotników funkcjonuje sprawnie i bez zgrzytów oraz, -jak Tato mówi- bez żadnych złożonych rozliczeń. Po prostu, raz w miesiącu "wypisuje" się kartofle, kapustę i barany na "stołową", a robotnicy potwierdzają podpisem że otrzymali "obiady".

Co parę tygodni zdarza się, że pracownica prowadząca punkt zaopatrzeniowy przywozi z magazynu głównego w Szui, dodatkowo, poza racjami kartkowymi, przydział wódki. Wówczas robotnicy sezonowi wykupują z reguły cały jej zapas i w sobotę po południu urządzają "prazdnik". Piją mężczyźni oraz kobiety.

Szklankami, gdyż kieliszków nie mają i nie uznają. Zagryzają cebulą, ogórkiem lub kiszoną kapustą. Potem przez krótki czas śpiewają, a następnie rozkładają się po obejściu i śpią, leżąc gdzie kto może. Nie wygląda to ładnie, ale co zrobić - taki zwyczaj.

Wśród sezonowych robotników jest wielu interesujących i ciekawych ludzi. Ciekawszych niż nasi nauczyciele w szkole.

Na przykład Iwan Iwanowicz Susłow. Piećdziesięcioletni wdowiec. Pracował kiedyś w wielkim przemyśle, brał udział w rewolucji. Zna wszystkie chyba zawody i rzemiosła.

Jakąkolwiek nową robotę zaczynają robotnicy, zawsze Iwan Iwanowicz pokazuje i tłumaczy jak się do tego zabrać. Obojętne czy chodzi o miotły, koszyki, trzonki do siekier, czy beczki na kapustę. On bije i sprawia barany. Szyłow zawsze się go radzi gdy coś nowego podejmuje.

W Rajkach pracuje też syn Iwana Iwanowicza trzydziestoletni Konstantin, -zwolniony z wojska z powodu gruźlicy. Teraz w kancelarii przyucza się do lekkiej roboty. Tato objaśniał mu niedawno jak posługiwać się teodolitem przy wyznaczaniu działek do wyrębu, a następnie wkreślać je na leśne mapy.

Albo taki oryginał jak Makar Stiepanowicz. Ma już ponad sześćdziesiąt lat, a ciągle tylko opowiada o kobietach i o swoich przygodach jakie z nimi miał. Na przykład, gdy był w wojsku w czasie I Wojny Światowej, stacjonowali w jakimś miasteczku środkowoeuropejskim. Wieczorem, przy ognisku, trupa Cyganów dawała występ. Młodziutka tancerka tak mu przypadła do gustu, że porwał ją na ręce w czasie tańca i uciekł z nią do pustego wagonu kolejowego. Był by ją tam skutecznie "znasiłował", ale dzwoniące ostrogi go zdradziły i pogoń dopadła. Ledwo im uszedł.

Makar Stiepanowicz lubi opowiadać dowcipy i anegdoty. Ostatnio ustanowiono specjalny państwowy order "Za Macierzyństwo". A więc Makar Stiepanowicz na ten temat: że kołchoźnica dostała taki order i nie wiedziała gdzie go przypiąć, poszła więc do frontowego żołnierza o radę. Ten pomyślał i rzecze: -widzisz, siostró, ja ojczyznę piersią zasłaniałem, więc noszę order na piersi, a ty-czym zarobiłaś,

na tym i noś.

Słyszałem raz jak Makar Stiepanowicz pytał żartem naszą

Mamę, czy Tato śpi z nią, czy osobno. - Co go to obchodzi! A zresztą, Tato ma już prawie pięćdziesiąt lat, a Mama czterdzieści cztery - są więc oboje na te rzeczy za starzy.

W "obszczeżytiu" mieszkają też dwie siostry, starsza Wiera

i młodsza Tamara. Wiera ma 26 lat, jest tęgawa, niezbyt ładna, ale spokojna, zaradna i dobrodusza. Lubi krzątać się przy garnkach i posiłkach. Stary Susłow ją wyraźnie adoruje. Chyba chętnie by się ożenił, ale ona trzyma go na odległość, widocznie jeszcze liczy, że może trafić się jej ktoś młodszy.

Tamara, młodsza siostra Wiery, jest jej przeciwnieństwem. .Szcupła, ładna, niespokojna, z latającymi oczyma, ociera się na oczach ludzkich o każdego prawie mężczyznę jaki jest w pobliżu. Nawet Łońce kiedyś usiadła okrakiem na udzie i pytała go, czy mu się dziewczyny podobają. Ale on nią pogardza.

Prace sezonowych robotników w Rajkach, nadzoruje gajowy Wasilij

Borysowicz. Trzydziestoletni, tęgi, żonaty, mieszkający w sąsiedniej wsi Riepino, tam gdzie Jędrak chodzi do szkoły. Jak się tylko wojna zaczęła, Wasilijowi spuchła ręka. Jest czerwona i obrzmiała od dżoni po Yokieć. Nosi ją na temblaku.

Lekarze nie wiedzą co to za choroba, ale do armii go nie biorą.

Mowią, że gajowy Wasilij romansuje z Tamarą, choć przy ludziach na siebie nie patrzą i prawie nie rozmawiają. Po za tym on się chyba bardzo boi żony. Na połowie drogi do Riepina znaleźliśmy z Łońka w krzakach takie posłanie na śniegu, zrobione z drobno naciętych gałązek świerkowych. Łońka przypuszcza, że Tamara tam

czeka codziennie na Wasilija, gdy on wraca do domu z pracy.

-----*-----

A jednak znalazł się sposób na karaluchy w naszym mieszkaniu.

W magazynku Leśnictwa, gdzie trzymany jest owies dla koni, w drzwiach u dołu wycięty jest otwór - dla kotów, aby mogły swobodnie wchodzić i łowić myszy. Przez ten otwór, teraz zimą, często wchodzi do magazynku różne ptaki. Wystarczy zaobserwować, przycząć się, zatkać otwór deseczką i gotowe! Złapaliśmy z Lońką w ten sposób dwie sikorki bogatki i jednego kowalika - to taki srebrzysty górą ptaszek z długim dzióbkiem i ceglastą pupką, który główką w dół umie przesuwac się po pniu drzewa. Za radą Iwana Iwanowicza wpuściliśmy je do naszego mieszkania. Kowalik oswoił się od razu, a sikorki po dwóch dniach. Ptaki wydały bezlitosną walkę karaluchom, których ilość maleje teraz widocznie z dnia na dzień. Nie ma już mowy o bezkarnym żażeniu w dzień po ścianach. Ledwie który wysunie się ze szczeliny - już po nim !

-----*-----

Duży kłopot sprawia Mamie pranie naszych ubrań. Nie ma mydła. Tego co dostajemy na kartki starcza za ledwie na codzienne umycie rąk, twarzy i szyi. Mama zbiera popiół z pieca, zalewa go w dużym wiadrze gorącą wodą, czeka aż się ustoi, potem zlewa i w tym płynie moczy, gotuje i pierze nasze szare z brudu koszule, bluzy i kalesony. Niestety to za mało. Zważywszy, że od

lat nie mamy żadnej pościelowej bielizny - nie możemy wciąż odnieść zwycięstwa nad wszami. Walczymy z nimi na wszelkie sposoby - indywidualnie i zbiorowo. Tato, na przykład, w sposób bardziej "naukowy" rozściela równo koszulę na stole, a potem "wałkuje" ~~na~~ butelką - słysząc jak strzelają! Następnie ze szwów wykrobuje jej cienką, ostrą trzaskę. My, dzieci, wolimy "polowania" posztuczne. Jest niby lepiej niż było w Iwanowie, nie wspominając tułaczki po dworcach, ale do opanowania sytuacji daleko.

A swoją drogą przez te lata przyzwyczailiśmy się do wszy. Można z nimi żyć. Są przecież rzeczy o wiele dokuczliwsze, gorsze i straszniejsze.

---- * ----

W tym roku na wigilię mieliśmy prawdziwy barszcz z buraków, z suszonymi grzybami i ziemniakami, zabieleny kozim mlekiem. Przyszedł zaproszony przez Tatusia, Iwan Iwanowicz. Zjadł barszcz, choć takiej potrawy nie znał. Słuchał z przyjemnością kolęd. Choć sam jak twierdzi, nie jest wierzący, ale mówił, że ludzie nie powinni zapominać o swojej tradycji, bo wtedy dziczeją i stają się podobni do zwierząt.

Styczeń 1944

W samym początku stycznia przyjechał z frontu ojciec Łonki na swój pierwszy od rozpoczęcia wojny tygodniowy urlop.

Jest to bardzo miły człowiek, choć trochę nietypowy. Małomówny i nie wylewny w słowach - taktowny i kulturalny w obejściu. Wyraźnie ucieszył się z naszej przyjaźni z Lońką.

Jest namiętnym myśliwym, czym zdobył mnie bez reszty, gdyż pasja ta, widocznie po przodkach, kiełkuje we mnie również.

Tutejsi myśliwi polują na zające, na lisy, czasem na łosia, strzelają również dzikie ptactwo jak kaczki, gęszce i cietrzewie. Zwierzyny tej nie jest dużo, a rozproszona na wielkich przestrzeniach lasów, bagien i nieużytków, jest raczej trudna do zdobycia.

Jednak głównym przedmiotem zainteresowania myśliwych, zarówno tutaj jak też w całej tajdze północnej i syberyjskiej, jest zwykła wiewiórka, zwana tu "biełką". Jej futerko, latem rude, osiąga zimą w tym klimacie, barwę srebrzystą, z ciemną pręgą przez środek i jak mówią moi rodzice, znane było przed wojną na polskim rynku futrzarskim jako "popielice". Na wiewiórki poluje się tu nie tyle ze względów emocjonalnych co dochodowych, gdyż wynik polowania, przy sprzyjającej pogodzie i wytrwałości myśliwego, jest w miarę pewny, a korzyści ze sprzedanych skórek wymierne.

Ojciec Lońki zabiera nas chętnie obydwóch, jako pomocników, na swoje wyprawy ze strzelbą do lasu, mam więc okazję zobaczyć jak takie polowanie wygląda.

Do skutecznego polowania na "biełki" konieczny jest pies, najlepiej rasowa Łajka, taką właśnie mają Kudriacewowie.

Myśliwy z pomocnikiem idą lasem bez pośpiechu, nasłuchując uważnie, a pies w tym czasie penetruje teren, w promieniu kilkuset

metrów. Gdy zącznie ujądać krótko, ząjadle, w jednym miejscu, oznacza to, że znalazł wiewiórkę. Ująda zwykle pod drzewem na którym się ukryła. Myśliwy podąża biegiem, aby dobiec, zanim pies nie przestanie głośić i wypatruje zwierzątko ukryte wśród gęstej choiny. Nie zawsze jest to łatwe. Czasem trzeba postukać w pień toporkiem, lub posłać na drzewo pomocnika aby potrząsnął czubem. Po dostrzeżeniu wiewiórki strzela się połową ładunku śrutowego, co ułatwia sprawę i zdobycz spada do nóg myśliwego. Zdjęcie skóry trwa trzy minuty, a tuszkę otrzymuje w nagrodę do zjedzenia pies, ale tylko jedną, aby się nie rozleniwiał.

Ponieważ mięso wiewiórek jest jadalne również dla ludzi, ofiarowane mi nadwyżkowe tuszki zabieram skwapliwie do torby.

W ciągu dnia, przy dobrej, cichej i bezmroźnej pogodzie myśliwy może zdobyć nawet ponad dziesięć skórek - jest to bardzo dobry wynik. Skórki suszy się na prawiędkach, a po zgromadzeniu większej ilości zanoszą do sklepu zwanego "faktoria", do wymiany. Sklepy takie funkcjonują nawet teraz w czasie wojny. Można w nich za dostarczone skóry czyli "pusznię" dostać towary, inaczej nie osiągalne - proch, śrut, spłonki, łuski, strzelby, lecz również mąkę, naftę, zapaliki, brzytwę, nóż, walonki i temu podobne skarby. Wartość skórek wyceniana jest w punktach, n.p. wiewiórka - 3 punkty, zając - 5; lis - 15. W tych samych "punktach", a nie w rublach, wyceniana jest wartość wymienianych towarów i produktów. Oczywiście, teraz w czasie wojny "ceny" są wyższe.

Myśliwym - amatorem, może być każdy pełnoletni obywatel, mający broń myśliwską, na której posiadanie nie jest

wymagane żadne pozwolenie. Polować może wszędzie, aby tylko przestrzegał obowiązujące czasy ochronne, egzekwowane dosyć surowo. Oprócz amatorów są również myśliwi zawodowi. Podpisują oni roczne umowy, deklarujące dostarczenie do faktorii "puszniny" o określonej łącznej ilości punktów. Podpisanie takiej umowy zwalnia z obowiązku pracy gdzie indziej; nawet w kołchozie. Myśliwych zawodowych wielu było wśród ludności miejscowej w Archangielskiem - tutaj są rzadkością, gdyż wywiązanie się z umowy jest bardzo trudne. Tym nie mniej uważani są za grupę uprzywilejowaną. -

---- * ----

Przycisnął nas znowu głód. Doszło do tego, że Mama piekła placki ze zmielonych suchych łupin ziemniaczanych, bez dodatku mąki. Straszne świństwo, wyglądające jak suszony krowi nawóz. Sierka przestała się doić bo jest kotna.

W tej sytuacji Mama zdecydowała się na rozstrzygające starcie z Szyłowem, jako jedyny ratunek. Były krzyki i wzajemne wymyślanie sobie, ale Mama ostatecznie wygrała. Szyłow musiał potwierdzić, że uznaje naszą rodzinę za "ewakuowaną", a tym samym objętą szczególną opieką. Na tej podstawie, niepisanym prawem, będzie nam co miesiąc "wypisywał" z gospodarstwa pomocniczego pewną ilość ziemniaków do lata, gdy będziemy mogli uprawiać własny ogród. Po tym starciu wypowiadał wyrazy współczucia Tatusiowi - że ma taką straszną i napastliwą kobietę za żonę - ale worek ziemniaków wypisał, a nawet trochę mąki na pierogi.

Luty 1944

Gdy nadchodzi niedziela, albo dni wolne od nauki szkolnej nigdy się^w Rajkach nie nudzimy, mimo że jest nas tutaj tylko czterech chłopców. Tym czwartym, poza Łońką, mną i Jędrkiem, jest jedenastoletni syn Szyłowa, Szurka. Tworzymy zgraną grupę.

Stale konstruujemy jakieś urządzenia strzelające:

- a to łuki z przemysłnymi, dalekoniosącymi strzałami;
- a to proce, takie z gumy na widełkach i takie do miotania dużych kamieni, jaką miał biblijny Dawid;
- a to prawdziwe kusze ze stalowej sprężyny, lub samopały na proch, zrobione z miedzianej rurki zalanej cynkiem, z zapłonem na pineskę i siarkę z zapałek.

Potem urządzamy zawody w strzelaniu na odległość lub do celu, a z bardziej precyzyjną" bronią" nawet polujemy na wróble.

Wszyscy oczywiście mamy noże, własnej roboty, wykonane ze starej kosy lub brzeszczotu piły.

Jesienią kleiliśmy i puszczały latawce, a teraz, gdy spadł większy śnieg, opanowała nas pasja łapania ptaków.

Łońka ma w domu ogromną klatkę, w której trzyma dwa szczygły, dwie czeczotki i gila - ziarnojady, dobrze czujące się w zamknięciu. Umieszczone w małej klateczce służą do wabienia swoich przelatujących pobratymców. Klateczkę z "wabiem" ustawia się przy "posypie" koło rozstawionej sieci. Kowiący zaczają się w ukryciu o kilkadziesiąt metrów, trzymając koniec linki, którą zarzuca się sieć. Czasem trzeba czekać godzinami, ale coż to za emocja! Leci stadko! Czy nasz ptak zawabi? - Zawabił!

Czy siądą?- Siadły na drzewach.Czy sfruną na "posyp"?
Sfrunęły - Sieć !!!Jest coś,czy nie ma ?

Bardziej "mięsożerne" ptaszki,jak sikorki,kowaliki,
pełzacze,łapie się do przemysłnych samozatraskujących
się pułapek.Tych ptaszków nie można dłużej trzymać w
klatkach. Umierają.Natomiast bardzo dobrze się
czują fruając po mieszkaniu.Są przy tym
pożyteczne,niszcząc muchy,karaluchy - o czym zdażyliśmy
się przekonać.

Złapane ptaki,jeśli nie zamierza się ich
trzymać,można zanieść do sioła Wasilewskiego,kolegom do
szkoły,lub na bazar,gdzie w każdej ilości łatwo je
sprzedać lub wymienić na cokolwiek.

Jeśli czas wolny od nauki przypada na dzień
roboczy,lubimy przyglądać się pracy robotników
sezonowych,którzy teraz zimą,wobec braku roboty w lesie i
szkółce,robią różne potrzebne rzeczy,na podwórku lub w
pomieszczeniach Leśnictwa.

Próbujemy im dorównać przy wiązaniu solidnych mioteł
z naciętych witek brzozowych,albo wyplataniu mocnych
i różnorodnych koszyków z moczonej wikliny.Starsi
robotnicy, Iwan Iwanowicz i Makar Stiepanowicz strugają
ośnikami suche świerkowe klepki z których precyzyjnie i
zręcznie składają piękne białe beczki na kapustę. - Skarb
dla każdej gospodyni.

Mniej ciekawą i cięższą jest praca przy wyrobie
"czurki" - paliwa do samochodów.Grube brzozowe dłużyce
ścięte w lesie i przyciągnięte końmi na podworze,tnie
się ręcznymi piłami na krążki,a potem rąbie toporkami na
kostkę i wsypuje ją do takiej metrowej skrzyni bez dna -
jako miary,bo płacą jest od kubika.

Jeśli pogoda nie sprzyja przebywaniu na wolnym powietrzu zostają nam zawsze szachy no i książki. My z Łonką przeżywamy tej zimy przygody Trzech Muszkieterów i Hrabiego Monte Christo.

Kwiecień 1944

Marzec minął bez szczególnych wydarzeń. Życie toczyło się swoim rytmem.

Gdy puściły mrozy w kwietniu i śnieg zaczął szybko topnieć, była 10 dniowa przerwa w zajęciach szkolnych, ze względu na bezdroża. Pod koniec zimy, gdy zaczyna się odwilż, na walonki nakłada się takie rozciągliwe gumowe kalosze, zrobione ze starej dętki samochodowej. Teraz w takim obuwiu jest już za ciężko i za gorąco. Innych butów jednak nie mam, dlatego też pierwszego dnia po wiosennej przerwie wybieram się do szkoły boso. Stopy są jeszcze wydelikaczone, a ziemia z rana zimna. Przebiegam szybko 150 - 200 metrów, a potem siadam na drodze i rozcieram nogi, czekając na Łonkę, który kroczy spokojnie w ojcowskich trzewikach. Z powrotem, gdy słońko przygrzeje, będzie już lepiej.

Boso będę chodził całe lato do pierwszych przymrozków. Na stopach wytworzy się taka gruba skorupa i nie będą im straszne ani gałęzie leśne ani ścierniska.

---- * ----

Mama nabiera rozpędu do wiosennych prac ogrodowych. Ziemia jest tu lepsza niż była w Posiołku. Ile potrafimy jej skopać szpadlem, tyle możemy obsiać warzywami i kartoflami. Na razie, ponieważ na kopanie jest jeszcze za mokro, nosimy na

noszach gnój na kupki, szykujemy źerdki i chrust na ogrodzenie.

Mama zabiega gdzie może o nasiona.

-----*

Tato był znowu służbowo w Iwanowie. Obwodowy Zarząd Związku Patriotów działa już pełną parą. Dostaliśmy zapomogę żywnościową - czajnik oleju słonecznikowego, pięć kilo białej mąki, kilka koszul. Była wielka radość gdy Tatus' przywiózł z podróży taką niespodziankę.

Maj 1944

Jest już ciepło i zielono. Ruszyły trawy. Bydło wiejskie wyszło na pastwisko. A swoją drogą, dopiero w tym roku zrozumiałem ostatecznie na jakich zasadach rodziny kołchoźników organizują wypas swojego inwentarza. Zasady te są zgoła nie podobne do tego co pamiętam z Polski.

Otóż, z początkiem wiosny wieś znajduje sobie i godzi pastucha. Ustala się jakie wynagrodzenie w naturze otrzyma on jesienią za wypas tak zwanej "jednej dużej sztuki". (Odpowiada to jednej krowie, dwóm cielętom, pięciu owcom lub kozom).

W Łazariewie stawka wynosi w tym roku pud żyta i trzy pudy ziemniaków. Pastuch na własną rękę podnajmuje sobie pomocnika,

czyli "podpaska". Oprócz umownego wynagrodzenia rocznego pastuch z podpaskiem kwaterują i żywią się kolejno u poszczególnych właścicieli inwentarza.

Całe wiejskie stado wypasa się wspólnie na wydzielonych przez kołchoz pastwiskach, na nieużytkach, po zaroślach i lesie.

Przed pierwszym brzaskiem dnia pastuch z podpaskiem idą przez wieś, bucza w drewniane trąby i strzelają z długich, ciągnionych za sobą batów. Zaspane gospodynie wypędzają bydło na ulicę.

Zebrane stado pędzone jest na pastwisko na którym przebywa do czasu aż słońce zacznie przygrzewać, a muchy i bąki staną się zbyt dokuczliwe. Na południe stado wraca do wsi, a wyganiane jest ponownie przed wieczorem i pasie się do zmierzchu. W czasie wypasu stada główną opiekę nad nim sprawuje podpasek, często z językiem na brodzie. Pastuch w tym czasie siedzi zwykle w cieniu wyplatając łapcie lub koszyki względnie odsypiając zaległości.

Dzień w którym rodzina kołchoznika kwateruje i żywi pastuchów jest ważniejszy od święta. Żeby nawet w domu panował dotkliwy niedostatek, to pastuchów nie można podjąć gorzej niż sąsiedzi. Przez stół przewija się w tym dniu pełny prawie zestaw, co najsmakowitzych, ludowych potraw. A więc na śniadanie jajecznicą na maśle z prawdziwym chlebem zapijana słodkim mlekiem. Ze sobą, do węzełka, kawałek pieroga z ziemniakami, kapustą lub grzybami, a nawet z mięsem. Na obiad obowiązkowo zupa lub "szczy" na mięsie, a na drugie kasza z olejem lub ziemniaki z pokrojoną cebulą, zalane śmietaną z rozbitym żółtkiem i zapieczone w glinianej misce. Prawdziwa uczta jest jednak wieczorem - nastawia się wtedy samowar, a do czaju podaje bliny lub oładie z masłem i śmietaną, watruszki, czyli okragłe placki z zapieczonym twarogiem, obwarzanki, miód i przyrumienione na brązowo mleko z pływającymi kołami tłuszczu.

W tym dniu jest syto i dostatnio, jak bywało na codzien

dawniej, przed kolektywizacją, -co pamiętają i opowiadają starsi ludzie.

----- * -----

Mój brat Jędrzek niedługo kończy 12 lat i wyrasta z dziecka na wspaniałego chłopca. Jest tylko trochę niższy ode mnie, ale więcej waży i dorównuje mi siłą, mimo różnicy wieku przekraczającej półtora roku. Chociaż jemy jednakowo on rzadziej skarży się na głód i nigdy nie choruje. Jak sam twierdzi jest tak dlatego, iż lepiej przeżuwa jedzenie i więcej śpi. Możliwe.

Jędrzek jest naszą wspólną podporą, Mamy i moją, przy wszelkich podejmowanych pracach. Bez niego Mama nie poradziła by sobie w ogrodzie, a ja przy drzewie. W pracy jest dokładny, wytrwały i sumienny. W odróżnieniu ode mnie nie jest gadatliwy.

Słucha raczej co inni mówią, sam nie zabierając głosu, gdy jednak raz wypowie swoje zdanie, to nie ma siły która mogła by go skłonić, aby je zmienić.

Przystępując do jakiejś gry lub zabawy najpierw gruntownie zapoznaje się z jej regułami, które ze swej strony przestrzega dokładnie. Jeśli jednak kto inny je naruszy - to Jędrzek przestaje się bawić i żadne przeprosiny nie pomagają.

Z zasady z nikim obcym się nie kłóci, a zaczepki innych zbywa milczeniem. Tato i Mama prawie nigdy go nie karzą, bo nie ma za co, choć nieraz denerwuje ich jego powolność i upór.

Myszę, że nie zawsze doceniamy Jędrka i jego korzystny wpływ na spójność i odporność naszej rodziny.

Czerwiec 1944

Od pierwszego czerwca pracuje i mieszka w Rajkach czterech szczególnych robotników sezonowych: - żołnierze frontowi, po leczeniu ran w szpitalach, skierowani przez władze wojskowe na dwa miesiące do pracy w lesie, na rekonwalescencję - są równocześnie autentycznymi kryminalistami.

Rzecz w tym, że wobec wyczerpywania się rezerw ludzkich po pierwszych latach wojny, werbunkiem do armii objęto również mężczyzn odbywających w lagrach i obozach wieloletnie wyroki za przestępstwa kryminalne. Proponowano im, w zamian za dobrowolne pójście na front i walkę w pierwszej linii w kompaniach szturmowych, darowanie reszty wyroków - jeśli przeżyją.

Nasza czwórka pochodzi właśnie z takiego zaciągu.

Wbrew początkowym obawom Szyłowa i innych mieszkańców Rajek okazało się, że "nowi" nie stwarzają żadnych kłopotów w pracy i kontaktach z innymi robotnikami, że są całkowicie bezpieczni dla otoczenia jeśli się ich oczywiście szanuje, nie obraża, traktuje sprawiedliwie i schodzi im z drogi w sytuacjach spornych. Są wobec siebie bardzo solidarni, mimo że nie znali się przedtem, porozumiewają się nie całkiem zrozumiałym żargonem, ale co najważniejsze są pod każdym względem interesujący i nie przeciętni. Bardzo inteligentni, pomysłowi, zaradni, pełni fantazji, frapujący. Można śmiało powiedzieć że odkad się pojawili zdominowali naszą niewielką społeczność i nie tylko.

Skupiają na sobie ogólne zainteresowanie. My - chłopcy przepadamy za ich towarzystwem. Ponieważ przenieśli się ze spaniem do stodoły, biegamy do nich z Jędrkiem i Łonką oraz

z Gienką Polakowem, moim kolegą ze szkoły, który zamiast w kołchozie pracuje tego roku w Leśnictwie. Przychodzą tam również dziewczyny, Wiera i Tamara. Godzinami słuchamy opowiadanych przez nich niesamowitych historii oraz długich, melodyjnych i wzruszających więziennych piosenek, zupełnie nam dotychczas nie znanych.

Jeden z żołnierzy, Arkasza, ma własną harmoszkę i śpiewa te piosenki szczególnie pięknie, jak nie potrafiłby żaden zawodowy artysta. Jedna z nich opowiada o porządnej dziewczynie z dobrego domu, którą uwiodł zawodowy złodziej. Kupował jej pierścionki, suknie, prowadził do drogich restauracji. Gdy pewnego dnia nie przyszedł na spotkanie w tawernie, dziewczyna była pewna że ją porzucił. Będąc skompromitowaną i nie mogąc wracać do rodziców - zostaje "bladzią". Po roku jednak dostaje list: "jestem w Kołymskim Kraju nad Ochockim morzem, chodzę do pracy pod konwojem, buduję nowe miasto. Gdy tylko uporam się z wyrokiem wrócę do ciebie pociągami osobowym. Czekaj na mnie". Dziewczyna oczywiście zmienia tryb życia, staje się znów porządną i postanawia być wierną i czekać.

Najładniejszą piosenką jest jednak "Murka". To historia miłości bandyty i pięknej dziewczyny Murki. Oboje pochodzą z "dzieci bezprizornych", które nie dały się złapać i zamknąć w domach poprawczych, czy sierocińcach. Banda pod kierunkiem Murki i jej ukochanego odnosi sukcesy jeden po drugim. Jest nieuchwytna. Jednak pewnego dnia Murka zakochuje się w przystojnym milicjancie i zdradza swoich kompanów. Jej kochanek - jedyny który uszedł z obławy, przychodzi aby

wykonać na niej wyrok. Wzruszenie słuchaczy dochodzi do szczytu, gdy Arkasza śpiewa ostatnią zwrotkę:

" ...zdrawstwuj moja Murka, Murka drogaja,
zdrawstwuj moja Murka i proszczaj,
ty zaszuchariła wsio naszu malinu
i za eto finku połuczaj ! "

Najstraszy z całej czwórki trzydziestoletni Denis, jest utalentowanym poetą i pisarzem. Ponieważ jednak w warunkach więziennie-obożowych nie ma możliwości pisania, to swoje utwory po prostu zapamiętywuje i w razie potrzeby odtwarza z pamięci - jak z płyty. Przez kilka długich wieczorów "czytał" nam w ten sposób sensacyjną powieść ze sfer rządowo-milicyjno-przestępczych, której akcja rozgrywa się współcześnie w Moskwie, a pod postaciami bohaterów kryją się podobno autentyczne osoby. Nie czytałem w życiu czegoś bardziej frapującego!

Nasze dziewczyny z Rajek, Wiera i Tamara kokietują oczywiście młodych i atrakcyjnych rekonwalescentów, jednak bezskutecznie, gdyż oni przyjęli, jak widać, zasadę nie wchodzenia nikomu w paradę, w miejscu zamieszkania, a zresztą nie muszą.

W pobliskich wioskach Łazariewo i Riepino rozeszła się bowiem szybko wiadomość, że w Rajkach jest kilku młodych mężczyzn i w sobotnie czy niedzielne popołudnia ściągają tu całe tabuny dziewcząt. Czasem zbiera się ich ponad dwadzieścia.

Stoją na drodze za brama i śpiewają. Trwa to tak długo aż odświeżeni i wymuskani żołnierze nie wyjdą z harmoszką do nich. Zabierają ze sobą Gienkę Polakowa, który przebrany w zielone

spodnie i koszulę, udaje jednego z nich.

Z jego opowiadań wiem co się dzieje dalej. Chodzą leśnymi drogami, zatrzymując się na polanach - śpiewają i tańczą. Trwa to do późnych godzin, aż każdy z "wojennych" upatrzy sobie dziewczynę z którą na dalszą część nocy odchodzi na bok lub w krzaki. Pozostali rozchodzą się do domu. Gienka twierdzi że na równi z żołnierzami odnosi męskie sukcesy. Ponieważ jednak nie opowiada o szczegółach - myślę że przesadza.

Lipiec 1944

Mam już wakacje i pracuję w kołchozie w Kazariowie. Zostałem skierowany do kołchozowej stajni na pomocnika woźnicy. Pracuję razem z piętnastoletnim Kolką, który, jako bardziej doświadczony, jest woźnicą naszego zaprzęgu, a więc i moim zwierzchnikiem.

Kierownikiem całej stajni jest 16-to letni Borys, który jesienią pójdzie do armii.

Teraz trwają sianokosy i mamy pełno roboty. Kosiarze wychodzą na łąki przed świtem i koszą do czasu aż słońce osuszy rosę, zgodnie z zasadą: "kosi kosa poka rosa, rosa dołój-kosa domoj". Z kosiarzami kołchoz ma największy kłopot - nie ma mężczyzn, koszą starsi chłopcy z dziesięciolatek, bardziej krzepcy staruszkowie, a nawet co mocniejsze dziewczuchy.

Późnym rankiem wychodzą na łąki kobiety, rozbijają pokosy, roztrzaskują kopki z poprzedniego dnia, po południu zgrabiają suche siano w wały. Wtedy my woźnice mamy najwięcej roboty. Kolka podaje mi widłami siano na wóz, a moim zadaniem jest, przy pomocy grabi, rozmieszczenie, ułożenie i udeptanie

ładunku tak, aby był odpowiednio wysoki i stabilny do przyciśnięcia go drągiem i zamocowania sznurem. Nie jest to

wcale łatwe. Jeśli siano zsunie się w czasie ładowania, lub co gorsze, nie równo ułożone, spowoduje wywrócenie wozu w czasie jazdy - winien jest pomocnik woźnicy, stąd wstyd i kompromitacja; szyderstwom i wymysłom nie ma końca.

O siano kołchoźnicy bardzo dbają i pracują przy nim jak na swoim. Wszak jest to najpewniejszy składnik ich wynagrodzenia za całoroczną pracę w kolchozie; podstawa wyżywienia krowy, cielęcia i paru owiec.

----- * -----

Czasem trafia mi się dodatkowy "zarobek", ale to już całkiem inna sprawa. Otoż, pastuchem wiejskim w Łazariewie jest w tym roku, podobnie jak w ubiegłym, stary Artiom Pietrowicz.

Zarówno on sam, jak i jego podpasek 16-to letni Wańka pochodzą

z odległej wioski Nikonowo. Dziadek Artiom co dwa tygodnie,

a Wańka trochę rzadziej, udają się na niedzielę do swojej wioski odwiedzić rodzinę i zmienić koszule. Na ten czas potrzebują zastępstwa. Wykorzystując ubiegłoroczną jeszcze znajomość

z dziadkiem Artiome, z czasów gdy mieszkaliśmy u Luby, udało mi się teraz wkręcić do niego w charakterze rezerwowego "podpaska", który jest wołany wtedy, gdy potrzebne jest zastępstwo. W taką niedzielę maszeruję, nocą jeszcze, do Łazariewa, aby o świcie być przy wyganianiu bydła, a potem późnym wieczorem wracam. Jedynym moim wynagrodzeniem jest możliwość korzystania z posiłków przygotowanych dla pastuchów przez

kołchoźnika-gospodarza. Najadam się po prostu wtedy do syta tych różnych wspaniałych rzeczy, a czasem, gdy uda mi się zwędzić i schować do kieszeni placek, czy kawałek pieroga, to przynoszę do domu na skosztowanie Ewie i Jędrkowi.

Praca podpaska jest bardzo ciężka-cały dzień trzeba śledzić i obserwować wszystkie sztuki, aby która nie zginęła, bez przerwy zawracać rozłazące się po zaroślach cielęta, kozy i barany.

Jako jedyne narzędzie do tej pracy służy specjalny pasterski bat. Ma on długość 5-7 metrów, upleciony jest ręcznie z jednolitych pasemek bawełnianej przędzy. Jego grubość, w miejscu gdzie za pomocą metalowego kółka połączony jest z krótką drewnianą rączką, wynosi 4-5 cm, a następnie zmniejsza się stopniowo do czterech milimetrów. Końcówka upleciona jest z końskiego włosia. Takim batem można boleśnie ugodzić z kilkumetrowej odległości oddalającą się od stada sztukę, jak również strzelać na postrach głośno jak ze strzelby.

Nauczenie się tego nie jest takie łatwe. Zanim bat zacznie słuchać ręki "podpaska" nie jeden raz, przy zamachu, potnie mu boleśnie łydki. Pastuch Artiom Pietrowicz plecie taki bat w ciągu trzech dni.

Podpasek Wania jest wyrośniętym i ładnym chłopcem. Gdy pasiemy razem opowiadamy sobie szczerze o różnych naszych sprawach. Ostatnio opowiedział mi o swoim, jak twierdził, największym przeżyciu. Otóż poprzedniej soboty, kiedy dziadek Artiom wybierał się wieczorem na niedzielę do Nikonowa, kwaterowali właśnie u Luby. Kiedy dziadek wyszedł Luba zawołała Wanę do siebie, do czułanu, kazała położyć się koło niej pod

kocem, a potem uczyła go jak się robi te sprawy z kobietami.

Wańka mówił, że najpierw się wstydził, bo nigdy jeszcze nie leżał koło gołej kobiety, ale potem było mu bardzo przyjemnie i teraz, nawet gdy nocuje w innej chacie, to nocą wymyka się do Luby.

Ona mu powiedziała, że jest w tym miejscu bardziej wyrośnięty niż dorosły chłop, a do tego gorący.

Nie wiem dlaczego, ale jest mi bardzo wstyd za Lubę, mam do niej jakiś żal, a nawet przestałem ją lubić, zresztą Wańkę od tej pory też.

Sierpień 1944

Od początku miesiąca nastąpiła zasadnicza zmiana w mojej pracy "zawodowej".

Wspólnie z Kolką, za jego namową, podjęliśmy się pasienia świń w kołchozowej fermie. Ferma znajduje się za wsią w rzadkim lasku brzozowym. Jej zadaniem jest dostarczanie prosiąt do dalszego chowu i tuczenia, które kupuje i zabiera inny kołchoz. Ferma składa się z dwóch części. W mniejszej, pod opieką świniarki, znajdują się oproszone maciory z prosiętami, do czasu ich sprzedania. W większej części, w dużych kojcach przebywa całe stado rozrodowe - loszki i knurki różnej wielkości i wieku, razem ponad 30 sztuk. Stado to, teraz latem, nie otrzymuje żadnego wyżywienia. Wypędzane jest rano do lasu, gdzie przez cały dzień pasie się jedząc trawę oraz buchtuje wybierając z ziemi korzonki i pędraki. Właśnie wypędzanie, pasienie i pilnowanie tego stada należy do naszych z Kolką obowiązków. Złakomiliśmy się na dobry stosunkowo zarobek - zapisują pełny

"trudodzień", ale praca jest katorżnicza.

Głodne świnie, o zapadniętych bokach i widocznych przez skórę żebrach, przemieszczają się szybko w poszukiwaniu lepszego żeru i nie można za nimi nadążyć, nie dają ani chwili wytchnienia przez cały dzień. Trzeba pilnować, aby stado nie wydostało się poza wyznaczony teren wypasu. W porównaniu z tą pracą pasienie wiejskiego stada bydła było po prostu wypoczynkiem. Nawet dobre, długie baty, uplecione na zlecenie kołchozu przez pastucha Artioma Piotrowicza, nie zawsze wystraczają.

Świnie są drapieżne i niebezpieczne. Nie znałem ich od tej strony. Przed paru dniami, na teren wypasu stada zabłąkała się jakaś zagubiona owca i stała, becząc żałośnie na widok ludzi. Podbiegła do niej największa locha z naszego stada-Dobrianka, krótko obwachała, kwiknęła, złapała za wymię i szarpnęła. Pókiśmy dobiegli świnie pożerały już wyciągnięte wnętrzności nieszczęsnej owcy, która jeszcze żyła i beczała.

Każda loszka i knurek w stadzie ma swoje imię. Do naszych obowiązków należy również zaobserwowanie kiedy która loszka i przez którego knurka zostanie pokryta i zgłoszenie tego zootechnicznie w biurze kołchozu, która zapisuje to w specjalnej książce.

Jak się okazało są jednak i dobre strony mej obecnej pracy. Ktoregoś upalnego dnia pszczoły obsiadły uwiązane na pastwisku starego konia i tak go pożądliły, że zdechł. Zaraz po zdjęciu skóry przywieziono go na fermę, do zjedzenia dla świn. Mięso było całkiem świeże, toteż wieczorem, po zapędzeniu

stada, s¹winie "podzieliły się" koniem ze mną. Wyrąbałem chyba dziesięciokilogramowy kawał szynki i zataszczyłem nocą do domu. Była wyżerka przez kilka dni nie mniej smaczna, a za to zdrowsza, niż z niedzwiedzia na Posiołku. Nikt z rodziny na żołądek nie chorował.

----- * -----

Stary robotnik z Rajek Makar Stiepanowicz, ten co opowiada dowcipy, zawołał nas kiedyś z Łonką pod wieczór na ławkę i opowiedział następującą historię:

Gdy był nie wiele starszy od nas i miał 17 lat, jeszcze przed rewolucją, wynajął się na lato do bogatego chłopa do koszenia. Z tego co zarobił zaoszczędził dwa srebrne ruble i postanowił wybrać się do Szui, do burdelu, aby przekonać się jak to jest z tymi kobietami - bo jeszcze nie próbował. Szedł na piechotę i usiadł w przydrożnym rowie na odpoczynek. Przysiadła się do niego wówczas jakaś żebraczka, nie tyle stara, co zupełnie bez zębów. Wszczęła z nim rozmowę i ani się obejrzał jak już się wygadał gdzie idzie i po co. Zaczęła go wtedy usilnie przekonywać i namawiać, że za połowę przeznaczonej sumy załatwi sprawę nie gorzej niż panienska w burdelu, a on zaoszczędzi drogi i pieniędzy.

Nie to było istotne, że w końcu go przekonała, że do Szui nie poszedł i rubla zaoszczędził, lecz to, że gdy leżał już na niej ona tak śmiesznie, bezzebnymi ustami sepleniła: "szuj, szuj, szynok, chorosza manda, szama szoku daszt". Jak zwykle nie zupełnie pojąłem sedno tej opowieści.

Wrzesień 1944

Tym razem Tato przywiozł z Iwanowa wiadomość, która chyba znowu rozreguluje nasze życie. Dowiedział się mianowicie w Związku, że na terenie obwodu iwanowskiego powstaje polska szkoła.

nad Wolgą, w gm. wsch. części obl. Iwanowa

Szkoła powstaje w miejscowości Juriewiec, działalność rozpoczyna od października, będzie przyjmowała w tym roku dzieci w klasach od IV-ej do VI-ej, które trzeba zgłosić we wrześniu.

Powstaje pytanie czy ja i Jędrrek mamy przerwać naukę w szkołach rosyjskich i wstąpić do polskiej?

My obaj nie mamy zapału do tego pomysłu. Przyzwyczailiśmy się już do Rajek. Jest nam tutaj lepiej niż było gdziekolwiek w Rosji. Nie chcemy rozstawać się z rodziną. Boimy się wszelkiej zmiany i niepewności jutra. Ale są też racje przeciwne, trafiające do przekonania Mamie. - Co będzie z naszą nauką gdy wrócimy do Polski? Jak dogonimy polskie dzieci? Potoczna znajomość języka to za mało. Pisać po polsku Jędrrek nie umie wcale, a ja prawie zapomniałem. Powstaje teraz jedyna możliwość nadrobienia tych wojennych zaległości.

Te argumenty ostatecznie przeważają. Rodzice podejmują ciężką dla nich i dla nas, lecz konieczną, ich zdaniem, decyzję. - Ja i Jędrrek pojedziemy od pierwszego października do Polskiej Szkoły w Juriewcu. Zgłoszenia, wraz ze świadectwami z tutejszych szkół zostają wysłane.

VII. POLSKA SZKOŁA

Październik 1944

Nasza koza Sierka została z żalem sprzedana, a za uzyskane pieniądze Mama uzupełniła trochę naszą skromniutką garderobę przed wyjazdem do polskiej szkoły.

Choć miasteczko Juriewiec leży w obwodzie iwanowskim, to podróż tam jest długa i skomplikowana. Odwozi nas oczywiście Mama. Najpierw okazyną ciężarówką, siedząc na ładunku "czurki", dostajemy się do Szui. Stąd 30 kilometrów pociągiem miejscowym do Iwanowa. Tutaj dłuższe oczekiwanie na pociąg do Kinieszmy nad Wołgą - ponad 100 kilometrów, gdzie docieramy na wieczór. Następnego dnia będzie dopiero statek więc trzeba nocować.

Jest do dyspozycji "zajazd", dla takich jak my, z drewnianymi pryzmami na dużej, wspólnej sali. Korzystamy. Tutaj, od współtowarzyszy podróży dowiadujemy się, że w nocy trzeba zająć miejsce w kolejce do kasy po bilety, gdyż statek zabiera tylko tyle osób, ile wysiadzie, a chodzi przepełniony. Jeśli się nie dostaniemy, to trzeba będzie czekać całą dobę na następny kurs.

Wreszcie rano, szczęśliwie wchodzimy na pokład "parochodu". Jest to staroświecki stateczek parowy jaki pamiętam z widokówek z przed I wojny światowej, które kiedyś w Polsce zbierałem. Ma wysoki komin z którego wali czarny dym, a z boku, pod osłoną, takie duże koło z łopatomy bijącymi wodę. Dzięki temu kołu statek się porusza z prędkością prawie niedostrzegalną dla podróżnych. Szczęście, że płyniemy z prądem, a do celu naszej podróży jest tylko 80 kilometrów.

Siedzimy na pokładzie, wprost na deskach i naszych

pakunkach. Dobrze że nie pada, ale nad wodą wieje zimny przenikliwy wiatr. Marzniemy nieprawdopodobnie. Próbuje biegać na rozgrzewkę, ale wszędzie siedzą podróżni, na ogół przezorniejsi od nas, poubierani na tę podróż bardziej "zimowo".

Stateczek, będący, w pozbawionej kolei wschodniej części obwodu iwanowskiego, jedynym środkiem komunikacji, zawija po drodze do kilku przystani. Podróż trwa prawie cały dzień.

Wreszcie wysiadamy w Juriewcu. Jest to stare miasteczko zabudowane prawie wyłącznie drewnianymi, parterowymi domkami z białą kopułą murowanej, oczywiście nieczynnej, cerkwi. Juriewiec leży na prawym brzegu Wołgi, dokładnie na przeciw miejsca, gdzie od północy wpada do niej rzeka Unża. Jest obecnie miastem rejonowym.

Z wielkim trudem uzyskujemy informacje, że poszukiwana przez nas, nowoorganizowana szkoła, leży na drugim, lewym brzegu Wołgi, w nowszej części miasteczka, zwanej Słobodką. Mostu nie ma. Jedzie się tam dużymi łodziami, które odbijają bez specjalnego rozkładu jazdy, po zebraniu kompletu pasażerów, jeśli nie ma wysokiej fali na rzece. A jeśli jest fala - trudno, trzeba czekać. Zresztą, z przeprawy korzystają ludzie miejscowi, którzy wiedzą kiedy wybierać się w podróż. Za przewiezienie wnoszą się opłatę, chyba, że siada się do wiosł - to wtedy jest za darmo.

Na szczęście fala pod wieczór maleje i łodzie kursują. Wsiadamy. Wołga ma w tym miejscu około 1 kilometra szerokości. Przeprawa trwa pół godziny.

Przybijamy. Idziemy szeroką, piaszczystą ulicą między luźno stojącymi domami.

Po prawej stronie duży piętrowy budynek z brudnym obdrapanym tynkiem. Nad drzwiami, na kawałku czerwonego płótna namalowany białymi literami napis: "Polska Szkoła w Juriewcu. Witamy."

Serca nam drgnęły. Wzruszenie chwyta za gardło. Jesteśmy na miejscu.

---- * ----

Po wejściu do budynku szkoły, miła niespodzianka. Wita nas pani Kowalczykowa, nasza znajoma z Iwanowa. Opuszcza miasto obwodowe nie mając tam dłużej racji bytu i przeniosła się razem z synem tutaj, gdzie zamierza doczekać końca wojny i powrotu do Polski. Będzie pracowała w szkole jako nauczycielka i wychowawczyni. Jej mąż był ranny, leżał w szpitalu. Teraz jest znowu na froncie, który od lipca zatrzymał się pod Warszawą.

Mama korzysta z zaproszenia pani Kowalczyk^{owej} i wypoczywa przez dobę w jej pokoiku.

Wyjeżdża pokrzepiona myślą, że zostawia nas pod dodatkową opieką tak dobrej i życzliwej nam osoby.

Listopad 1944

Już miesiąc jesteśmy w szkole. Pierwsze dni zeszły na ustawianiu łóżek, napychaniu sienników, wnoszeniu ławek oraz innego, skromnego sprzętu zdobywanego przez Dyrektorkę, panią Marię, niewiadomymi sposobami od miejscowych władz sowieckich.

Teraz już rozpoczęły się zajęcia i wiadomo mniej więcej co i jak.

Jest nas w szkole niespełna 100 wychowanków, chłopców i dziewcząt przybyłych głównie z najbliższych okolic Juriewca, gdzie jak się okazuje, osiadło po amnestii wiele rodzin. Duża grupa przybyła z samego Iwanowa. Z tak daleka jak my - są tylko nieliczni.

Prawie połowa dzieci pochodzi z rodzin żydowskich, nie wiele mniej z ukraińskich lub mieszanych, a mniej niż 1/4 z polskich.

W ogromnej większości dzieci nie umieją mówić po polsku. Albo w ich domach rodzinnych nigdy się po polsku nie rozmawiało, albo też przebywając od czterech lat w rosyjskim otoczeniu i chodząc do rosyjskich szkół, one same narzuciły domownikom język rosyjski, jako bardziej już dla nich zrozumiały i użyteczny.

Nauczyciele próbują egzekwować używanie polskiego języka poza lekcjami, ale jak na razie bezskutecznie. Dzieci posługują się w rozmowie między sobą jakąś niasamowitą mieszaną języków rosyjskiego, ukraińskiego i pojedynczych słów polskich, przy czym o udziale poszczególnych składników w tym żargonie każdy decyduje indywidualnie: "Jurik, pożyczaj mi karandasa szob buło czym uroki spysaty"; "Kuda ty podział moju rezinku, a to ja w zadaczi oszybku zrobił"; "Ot, dostał ja dwojku z polskiego choć czytanku wyzubrił naizust". My z Jędrkiem jesteśmy niemal unikatami i musimy dostosować naszą, dosyć jeszcze dobrą polszczyznę, do wymogów otoczenia.

Języka polskiego uczy nas pan Sawaniuk, przezywany

"dwója", bardzo wesoły, przystojny, z
własami; matematyki, fizyki i chemii - pan Lewinson, chory
na serce, samotny, grający pięknie na skrzypcach; pani
Kowalczykowa ma zajęcia z klasą IV-ta, a z nami
historię Polski; dyrektorka szkoły pani Maria prowadzi
lekcje wychowania społecznego w starszych klasach.
Jej dwudziestoletnia córka, panna Paulina jest sekretarką
w kancelarii.

Poza tym języka rosyjskiego, niemieckiego oraz
historii ZSRR uczą nas dochodzący nauczyciele z
rosyjskiej szkoły.

Trzy kucharki szkolne to miejscowe kobiety, Rosjanki.
I tak wygląda cały nasz szkolny personel.

Najwięcej kłopotów ma z nami pan Lewinson, gdy usiłuje
nam wytłumaczyć matematykę, fizykę i chemię po polsku, na
podstawie rosyjskich podręczników. My go nie rozumiemy, a
on się denerwuje - a przecież mu to szkodzi na
serce. Najprzyjemniejsze są lekcje polskiego i historii
Polski - wszystko od samego początku, bez podręczników -
do zapisania w zeszycie.

Oprócz lekcji w klasach mamy jeszcze zajęcia
światlicowe w większych grupach, które bardzo
lubimy. Przeważnie w sobotę po południu. Przy patefonie
uczymy się na nich różnych polskich tańców oraz
pieśni. Jako pierwszych nauczyliśmy się Hymnu "Jeszcze
Polska nie zginęła" oraz Roty - którą teraz śpiewamy
codziennie na wieczornym apelu.

---- * ----

V Z lekcji wychowawczych wiemy, że w Warszawie było powstanie, które Niemcy po dwóch miesiącach krwawo stłumili, a teraz, po wypędzeniu ludności, burzą miasto, zrównując je z ziemią. Mój Boże, jakie to straszne !

Czemu ten front tak długo stoi w miejscu ?.

Grudzień 1944

Szkoła jakoś funkcjonuje, mimo poważnych trudności gospodarczych.

Zaopatrzenie w produkty żywnościowe jest nieregularne i przerywane. Raz jest kasza, raz dostawa kapusty kiszonej, raz mąka to znowu ziemniaki lub olej. Stąd wyżywienie jest nierównomierne, z lukami, przerwami, często jednostronne.

Nieraz przez kilka dni z rzędu jemy kapuśniak na obiad i kolację, to znów, gdy zawiedzie dostawa chleba, idziemy na lekcje bez śniadania.

Wszystkie pomieszczenia szkoły, klasy, sypialnie, kuchnia, ogrzewane są piecami opalnymi drewnem. Drewno to, z przydziału uzyskiwanego przez panią Marię, przywożone jest pod szkołę w grubych, dwumetrowych, dębowych kłodach. Jego porznięcie długimi ręcznymi piłami, porąbanie i ponoszenie do pieców, to już nasze dodatkowe zajęcie - chłopców ze starszych klas.

Dziewczęta natomiast sprzątają wszystkie pomieszczenia.

Budynek szkolny nie jest zelektryfikowany. Przydział nafty jest tak mały, że oświetlać go lampami naftowymi można by przez

dwa dni w miesiącu. Zresztą nie ma lamp. Gdy zapada wczesny zmierzch, jedynymi urządzeniami do oświetlania pomieszczeń stają się tak zwane "koptilki". Aby taką "koptilkę" sporządzić trzeba kilka włókien bawełnianej przędzy wkręcić jako knot do kawałka cienutkiej metalowej rurki, którą następnie za pomocą "wąsików" z drutu, umieszcza się w szyjce kałamarza z naftą. Przy takich kagankach, dających mniej światła niż jedna świeca, spędzamy długie zimowe wieczory. Nawet żądanych lekcji uczymy się przy nich w ten sposób, że jeden z nas, umieściwszy płomyczek między oczyma a książką, czyta na głos, a inni słuchają i zapamiętywują.

---- * ----

Dostałem list od Mamy z Rajek. Pisze, że kołchoz w Łazariewie, po zakończeniu omłotów, rozliczył już zarobki za cały rok. Ja miałem wypracowane prawie 100 trudodni i za to przypadło mi dwa pudy żyta, cztery pudy ziemniaków, dziesięć pudów siana i jeszcze parę rubli. Tato, w moim zastępstwie pobrał to wszystko w kołchozie.

Jestem niezmiernie dumny i zadowolony. Dzięki mojej ciężkiej pracy przez całe lato, rodzice z Ewunią będą mieli co jeść w najgorsze zimowe miesiące.

17/18 stycznia 1945

W nocy nagły ruch. Krzyki. Pobudka, alarm ! Zbiórka wszystkich w świetlicy!

Zrywamy się zaspani. Na korytarzu palą się już kaganki. Na ubieranie się nie ma czasu. Biegniemy, chłopcy i dziewczęta, w czym kto spał - w długich i krótkich koszulach, chałacikach, satynowych spodenkach, kałesonach, większość boso. Jest przenikliwie zimno. Piece od wieczora ostygły...

Stoimy zwartą grupą w największej sali ogólnej, gdzie odbywają się zwykle zajęcia świetlicowe. Czekamy trochę uspokojeni - nie ma ani pożaru, ani powodzi, czyli stało się coś innego. Ale co ?

Korytarzem idzie pani Maria. Jest prawie kompletnie ubrana. Twarz ma dziwną.

Kochane dzieci, ...zaczyna, ale głos się jej łamie. Kochane dzieci, ...przed chwilą radio podało wiadomość, że nasza ukochana stolica Warszawa, została wyzwolona, ...wybucho płaczem teraz już niczym nie hamowanym.

Niektóre dziewczynki jej wtórują. Co się dzieje !? Wiadomość radosna - a baby ryczą... Ale i nam chłopcom jest jakoś miękko.

Wszak to Warszawa, symbol wolności, symbol Polski i uosobienie naszej straszliwej, wieloletniej tęsknoty za Ojczyzną, wyidealizowana, wymarzona kraina, gdzie wszystko jest dobre, doskonałe i wspaniałe, gdzie nie będzie już żadnych trosk, głodu i niesprawiedliwości, - aby tylko prędzej do niej wrócić!

Pani Maria intonuje Rotę. Śpiewamy jak nigdy. Słowa "polski my naród, polski lud" brzmią tym razem szczególnie uroczyście w tym zimnym i ciemnym budynku "polskiej szkoły", w dalekim od Kraju Juriewcu nad Wołągą.

Marzec 1945

Luty minął bez szczególnych wydarzeń. Uczyliśmy się, marzli, trochę głodowali i czuli coraz bardziej Polakami w naszej niewielkiej społeczności.

Komunikacja z Juriewcem jest zimą bardzo dobra - sanna po lodzie przez Wołgę. Łód grubości około metra wytrzyma ciężkie samochody i traktory.

Teraz dzień jest dłuższy - więcej czasu do czytania i nauki. W południe słońce przygrzewa, z sopli na dachu kapie woda, niedługo wiosna.

Front przesuwa się ~~do przodu~~, coraz bliżej Berlina. Polska w swoich dawnych granicach jest już prawie wyzwolona. Niektóre miasta jak Kraków czy Poznań są podobno wogóle nie zniszczone. Teraz granice Polski mają być inne, bardziej wysunięte na zachód. Ciekawe!

Dwa pytania pozostają jednak najważniejsze: kiedy skończy się wojna i kiedy będziemy mogli wrócić do Polski?

✱

Kwiecień 1945

Nie wiem czy wiele jest zjawisk żywiołowych, porównywalnych w swym ogromie i potędze do wiosennego ruszenia lodów na Wołdze.

Najpierw, jeszcze wiele dni przed główną odwilżą, słychać głośne huki, jakby kanonadę o różnym natężeniu, szczególnie groźnie brzmiącą nocami - to pękanie lodu.

Po paru dniach woda wylewa się na lód, który pękając

nadal, wypływa następnie na wierzch i w ogromnych krach, rozpadających się na coraz mniejsze, zaczyna powoli płynąć z prądem. Poziom wody stopniowo się podnosi. Niesiona wodą kra, tworzy okresami gigantyczne zwałowiska i wypiętrzenia. Powstają całe lodowe tamy, a poniżej nich czyste lustro wody. Wówczas śmiałkowie próbują, w pilnych sprawach, przedostać się łodzią na drugi brzeg.

Wreszcie, gdy wielka kra z głównego nurtu Wołgi spłynie, rusza drobniejsza z dopływów no i główna fala wody z wiosennych roztopów w górnym biegu. Idzie wielka woda - zaczyna się właściwe "połowodie".

Woda zalewa corocznie tysiące hektarów przybrzeżnych łąk i lasów i stoi na nich po kilka tygodni. Tereny te nie są zabudowane, nie ma na nich żadnych urządzeń, mogących ulec zniszczeniu, a drzewa oraz inna roślinność znoszą okresowy zalew.

Gdy zrobi się cieplej po płytkich rozlewiskach pływają łódkami miejscowi Rosjanie, ściągają z lasu do brzegów kawałki i kłody drewna na opał, a przede wszystkim polują z ościeniami na szczupaki, które w płytkiej i podgrzanej już wodzie, odbywają tarło. Zdobywają okazy niewiarygodnej wręcz wielkości. Zdarza się zobaczyć mężczyznę trzymającego na ramieniu łeb szczupaka, którego ogon sięga ziemi!

Na czas wylania wielkiej wody, zamiera częściowo życie wobec braku komunikacji przez Wołgę, możliwość dojazdu do pracy, do szkół. Komplikuje się sprawa zaopatrzenia. Społeczność miejscowa usiłuje się do tego przystosować, co oczywiście teraz, w czasie

wojny, jest znacznie trudniejsze. Dla nas, szczególnie. Jak na przykład, przy kartkowo-przydziałowym systemie zaopatrzenia, zgromadzić zapas żywności dla szkoły na kilka tygodni? Biedna pani Maria miota się na wszystkie strony, a my wychowankowie, prócz gotowości do maksymalnych wyrzeczeń niewiele możemy jej pomóc.

Maj 1945

Nie wiadomo w jaki sposób ósmego maja od południa zaczęła krążyć po Słobodce uporczywa pogłoska o końcu wojny.

Każdy człowiek, spotykając drugiego natychmiast pytał: "czy słyszał?" - tak, każdy słyszał, ale nikt nie wiedział skąd się pogłoska wzięła, ani co jest konkretnego na rzeczy.

Dzienniki radiowe z głośników, nie mówiły nic na ten temat, radioodbiorników w czasie wojny nikt nie posiadał, gazeta przychodzi z dwudniowym opóźnieniem, skąd więc pogłoska?

Wreszcie wieczorem uznano zgodnie, że to kolejna plotka.

Jednak dziewiątego maja, w pierwszym rannym dzienniku, radio Moskwa nadało wiadomość, że Niemcy podpisały bezwarunkową kapitulację. A więc rzeczywiście - koniec wojny !

Trudno w paru zdaniach opisać reakcje ludzi na tę, od tylu lat, oczekiwaną wiadomość. Powiedzieć, że się cieszyli, śmiali i płakali ze szczęścia, śpiewali i tańczyli - to wszystko mało, to wszystko nie pełna prawda. W każdym człowieku, coś tłumione latami, nagle pękło, wylało się, wybuchło w jednej chwili; wszystkie przeżyte cierpienia i ból, wszystka tęsknota i gorycz, cała nadzieja i radość.

----- * -----

Rzeka Wołga, podobnie jak większość rzek północnej i wschodniej części Rosji jest wykorzystywana do spławiania drewna. Nie ma bowiem innego sposobu przemieszczenia ogromnych ilości tego cennego surowca, przy braku dróg i kolei, z miejsc jego pozyskania w bezludnej tajdze, do zakładów przetwarzających drewno na tarcicę, podkłady kolejowe, meble, papier.

Prowadzenie i wykonywanie spławu wygląda tu jednak zupełnie inaczej niż w górnych biegach dopływów wielkich rzek.

Pierwsze partie spławianego wiosną drewna, docierają tutaj w maju, po opadnięciu wielkiej wody. Poza tym, rzeką odbywa się ruch statków i barek i nie może on kolidować ze spławem drewna, który, siłą rzeczy, musi być bardziej kontrolowany i regulowany. W tym celu, w okresie spławu, nurt rzeki zostaje podzielony wzdłuż na dwie części: jedna szersza, przeznaczona do żeglugi i druga, którą spławiane jest drewno. Tworzy się więc misterna sieć małych tratw, połączonych ze sobą w pontony, między którymi powstają, ciągnące się dziesiątkami kilometrów podłużne kanały wodne, którymi dopiero spływają luzem spławiane kłody.

Na pomostach łączących te pontony stoją przez całą dobę ludzie z bosakami, regulując spływ drewna i zapobiegając powstawaniu szczególnie groźnych, w tych warunkach zatorów.

Drewno spływające luzem z wiosennymi wodami z dopływów Wołgi, gromadzone jest w ograniczonych również pontonami zatokach, tak zwanych "buchtach", a stąd dopiero sukcesywnie kierowane jest dalej, spływając wyżej opisanymi kanałami, aż do wyczerpania zapasu - praktycznie przez całe lato.

Do obsługi spławu potrzeba dosyć dużo ludzi których obecnie brakuje.

W okolicy Juriewca wykorzystuje się do tej pracy jeńców wojennych, Niemców i Włochów, których obóz znajduje się o kilka kilometrów. Zwartymi kolumnami, pod niezbyt licznym konwojem, przychodzą oni nad rzekę i podczas gdy jedni dyżurują z bosakami na pontonach pozostali siedzą przy ogniskach, czekając na swoją kolej.

Wiedzeni chłopcą ciekawością świata i ludzi, chodzimy w wolnym czasie do nich. Konwojenci nie bronią, traktując nasze wizyty jako nie groźne urozmaicenie codziennej monotonii.

Skromny zasób niemieckich słów jakim dysponujemy z dwuletniej nauki języka w szkole oraz oswojenie się z językiem rosyjskim przez jeńców, pozwala na nawiązanie kontaktów. Czasami trafia się taka gratka jak niemiecki jeniec - ślązak, mówiący po polsku.

Z rozmów tych i obserwacji wiemy o jeńcach stosunkowo dużo.

Są traktowani dobrze. Wyżywienie otrzymują według norm identycznych jak żołnierze armii radzieckiej na tyłach.

Pracują po 8 godzin. Oprócz pracy mają szeroki program zajęć wychowawczych, również rozmów indywidualnych, podczas których wyjaśnia im się obszernie zbrodniczy charakter niemieckiego faszyzmu i kapitalizmu wogóle oraz wyższość i humanitaryzm ustroju socjalistycznego.

Jeńcy niemieccy są bardziej ponurzy, milczący i wychudzeni.

W czasie wolnym od pracy siedzą nieruchomo, "oszczędzając energię".

Zupełnie inaczej zachowują się Włosi. Są rumiani, gadatliwi

i weseli. Chętnie przytakują że "Hitler caput", "Mussolini caput". Spodziewają się rychłego powrotu do domów. Brodzą całymimi godzinami po przybrzeżnym piasku, wyławiając z niego muszle małż, które następnie otwierają malusieńkimi nożykami i zjadają, bądź ruszające się jeszcze, na surowo, bądź po przypieczeniu na węgielkach ogniska. Łażą też po łąkach zbierając ślimaki oraz im tylko znane liście i korzonki. Bez przerwy ruszają gębami. Na pewno ani wycieńczenie, ani śmierć głodowa im nie grozi.

---- * ----

Czerwiec 1945

Skończył się rok szkolny. Za parę dni przyjeżdża po nas Mama i wracamy do Rajek. Czy przyjeździemy ponownie jesienią do Juriewca, nie wiadomo - ale raczej nie. Pewne jest, że szkoła nie będzie rozbudowywana o dalsze klasy, co było w początkowym zamiarze.

Wogóle w związku z końcem wojny wszyscy zaczęli myśleć inaczej, bardziej o tym jak i kiedy będą wracali do Polski, niż o dalszym trwaniu tutaj.

Rozeszła się jednak ostatnio bardzo wiarygodna pogłoska, że prawo do repatriacji będą mieli tylko byli obywatele polscy narodowości polskiej i żydowskiej. Pogłoskę tę przywiozła z Iwanowa pani Maria, najlepiej zawsze zorientowana. Przerażenie ogarnęło "rusinów", czyli Ukraińców wywiezionych

z przedwojennych terenów Polski, jak również Polaków z rodzin mieszanych i nie tylko, którzy przy pobieraniu paszportów sowieckich w 1943 roku zadeklarowali, z różnych pobudek narodowość ukraińską. Pan Sawaniuk chodzi jak struty.

---- * ----

Już jesteśmy ponownie w Rajkach. Szkołę w Juriewcu opuściliśmy bez większego żalu, nie licząc pożegnania z panią Kowalczykową, która niby druga matka, opiekowała się mną i Jędrkiem przez cały czas.

Nie było nam w tej szkole zbyt słodko, nie za wiele nauczyliśmy się z polskiego, a jeśli chodzi o przedmioty ścisłe i język rosyjski to materiał zawarty w podręcznikach nie został nawet przerobiony i teraz, wracając do szkół miejscowych, możemy mieć zaległości.

Ważne jest co innego. Mimo wszystkie niedogodności, w Juriewcu zapachniało nam Polską i to uczucie już nas nie opuszcza.

Podróż powrotną mieliśmy jeszcze bardziej uciążliwą niż w tamtą stronę. Parowiec do Kinieszmy, płynąc pod prąd, włókł się cały dzień. Na pokładzie tym razem dokuczał nam upał, tak że do "zajazdu" Mama przyprowadziła nas z objawami udaru słonecznego - wymiotami, bólem głowy oraz gorączką i musiała korzystać z pomocy "médpunktu". Drogę z Szui do Rajek przebyliśmy w większości piechotą, tak że na miejscu byliśmy późną nocą.

VIII. DO KRAJU

Lipiec 1945

W Rajkach duże zmiany. Wrócił z wojny ojciec Lońki. Nie przywiózł żadnych orderów, tylko ogromne radio i własne życie.

Zgodnie ze swymi uprawnieniami powrócił do pracy w kancelarii Leśnictwa, co spowodowało tam nadwyżkę zatrudnionych. Ktoś musiał odejść.

Aby rozstrzygnąć tę sprawę przyjeżdżał na miejsce dyrektor Leschozu z Iwanowa. Zdecydował, że przenosi Szyłowa do Leschozu na swojego zastępcę, a obowiązki leśniczego w Rajkach przejmie na razie nasz Tato - do czasu wyjazdu do Polski. Przez ten okres będzie wprowadzał w sprawę techniczno-leśne seniora Kudriawcewa, który otrzyma w przyszłości stałą nominację.

Rozwiązanie takie wszystkich zadowoliło.

Przenieśliśmy się do nowego mieszkania, zwolnionego przez Szyłowa, w głównym budynku Leśnictwa. Trzy pokoje z kaflowymi piecami. Prawdziwa kuchnia z prytą. Okazuje się jednak, że nie umiemy już w takich warunkach mieszkać. Puste ściany. Nie ma ruskiego pieca, ław i półek pod sufitem do spania - wszystko zostało na starym miejscu.

Z wielkim trudem Tato załatwił deski, z których robotnicy, pod kierunkiem starego Susłowa, zbili prycze i stół do kuchni. Okazało się, że jeden pokój całkowicie nam wystarcza do mieszkania. Dwa stoją puste.

Mama od wczesnej wiosny kopała ogród. Bez mojej i Jędrka pomocy było jej ciężko. W każdym razie uwojowała spory kawałek - są grzędy buraków, marchwi, sałaty, ogórków i okazałe, jak nigdy dotąd, poletko ziemniaków - do podbierania latem.

O ziemniaki na zimę trzeba się będzie starać. Ale może teraz będzie łatwiej.

Okazuje się, że w miesiąc po zakończeniu wojny, gajowemu Wasilijowi Borysowiczowi zagoiła się ręka. Opuchlizna skłesła i odzyskał władzę w palcach.

Tato powysyłał listy do Polski na wszelkie możliwe adresy, ale żadna odpowiedź nie nadeszła.

Ponieważ nie chodziłem w tym roku do miejscowej rosyjskiej szkoły, nie mam skierowania, a więc i obowiązku pracy w kołchozie. Zresztą tego lata rodzice mają co do mnie inne plany.

---- * ----

Zajmowanie stanowiska leśniczego, wiąże się z pewnymi uprawnieniami. Jednym z nich jest prawo do koszenia i zbierania siana na terenach leśnych. Siano jest w cenie, podobnie jak zboże i ziemniaki. Mama postanowiła, że z tej szansy musimy skorzystać aby podzwignąć się z głodu i biedy, które nas nie opuszczają mimo awansu Taty.

Wyposażyliśmy się w dwie krótkie leśne kosy, trzy pary grabi i wypożyczyli ręczny wózek na 4-ch kółkach.

Trzy kilometry od Rajek jest obszerny teren zasadzony młodym lasem. Tam nie wypasa się bydła. Między małymi choineczkami są luki i polanki z piękną trawą, którą właśnie można wykaszać.

Akcja zaczyna się od początku lipca - niedługo po naszym powrocie z Juriewca.

My obaj z Tatą wyruszamy codziennie z kosami, przed
świtem i kosimy z takim wyliczeniem, aby mógł on zdążyć
do pracy na dziewiątą. Mama rano przygotowuje zupę na
obiad i gdy słońce osuszy rosę zabiera Jędrka, Ewę. wózek
oraz grabie i przyjeżdżają przed południem na
miejsce. Rozbijają nasze pokosy i suszą siano do
wieczora. Ja odsypiam ranny wysiłek, zjadam zupę i
przychodzę do nich. Część siana układamy w kopki, a suche
ładujemy na wózek, na który wchodzi prawie trzy pudy i w
czworkę ciągniemy i pchamy go do Rajek.

Dróżka leśna jest wąska i piaszczysta, kórka wrzynają
się, jest ciężko, ale gra idzie o dużą stawkę. Na wieczór
jesteśmy w Rajkach, siano wędruje do stodoły.

I tak dzień po dniu. My z Jędrkiem mamy już trochę
zaprawy, ale dla Ewuni jest to pierwsze pracowite
lato. Jest już duża. W tym roku kończy 8 lat. Jesienią
idzie do szkoły.

Sierpień 1945

Zbliża się już połowa sierpnia, a batalia o siano trwa
nadal. Mama jest szczególnie wytrwała i nieustępliwa, aby
zgromadzić go jak najwięcej.

Pewnego dnia, gdy zajechała rano wózkiem z Jędrkiem i
Ewunią na miejsce naszych sianokosów, zobaczyła ze
zgrozą, że stoi tam jakiś chłop z wozem i spokojnie ładuje
nasze kopki na furmankę.

Jak potem Jędrzek opowiadał, Mama bez zastanowienia rzuciła
się na złodzieja z furia i wymysłami, działając tak
skutecznie, że ten nie tylko zepchnął z wozu nałożone
siano, ale w popłochu uciekł z placu boju, zostawiając
czapkę i widły jako Mamy

trofeum. Nasza przegroda w stodole jest coraz pełniejsza.

---- * ----

Wiadomo już dziś z całą pewnością, że 6 lipca zawarta została umowa polsko-radziecka w sprawie repatriacji. Prawo do przywrócenia obywatelstwa polskiego będą miały tylko osoby narodowości polskiej i żydowskiej, a z Ukraińców wyłącznie rodziny żołnierzy Armii Polskiej, utworzonej w ZSRR przez generała Berlinga.

Rodzice wypełnili przed paru dniami ankietę przesłaną przez działającą już Komisję Mieszaną, rejestrującą wszystkich chętnych do repatriacji. Rychły powrót do Polski coraz bardziej opanowuje nasze myśli i rozmowy.

Październik 1945

Lato minęło. Chodzimy znowu do rosyjskich szkół. Ewunia zaczęła pierwszą klasę. Chodzi do Riepina razem z Jędrkiem, który musiał pojsć ponownie do IV klasy, gdyż miał zbyt duże braki po Juriewcu, gdzie nie przerobili programu.

Ja wystartowałem do VII klasy, mimo braków, w oparciu o formalne świadectwo z polskiej szkoły. Ponieważ znali mnie z dobrych wyników z klasy V, przyjęli, a dalej muszę sobie radzić.

Zauważyłem, że w rosyjskich szkołach przywiązuje się ogromną wagę do bieżącego przerabiania programu, który jest tu rozpisywany nie tylko na kwartały i miesiące, ale chyba na tygodnie i dni. Nauczyciel nie ma żadnej samodzielności

i swobody w tym zakresie. Przenosząc się z jednej szkoły do drugiej uczeń trafia dosłownie na kolejną lekcję w podręczniku, o ile oczywiście nie ma przerwy w uczęszczaniu.

Nauczyciele w Juriewcu, dbając bardziej o sprawy językowe, naruszyli generalnie tę zasadę, zwłaszcza w zakresie przedmiotów ścisłych, przyrodniczych, gramatyki - co teraz się na nas zemściło.

---- * ----

W wyniku prowadzonych przez prawie trzy miesiące sianozbiorów nasz sąsiek w stodole jest pełny. Zgromadziliśmy, szacunkowo licząc, sto kilkadziesiąt pudów siana - więcej niż trzeba na utrzymanie krowy przez zimę. Zważywszy, że wolna cena dziesięciu pudów jest równoważna miesięcznej pensji urzędnika - staliśmy się jak na tutejsze stosunki "zamożni".

Siano sprzedajemy, ale rozważnie. Wobec nadchodzącej zimy jego cena powoli wzrasta. Na belce w stodole wisi waga sprężynowa i jeśli przyjeżdża ktoś kupić kilkanaście pudów siana, wiążemy je liną w pęczki i ważymy dokładnie.

Pewną ilość Mama wymieniła na ziemniaki i trochę żyta do zmielenia na żarnach, tak że po raz pierwszy od pięciu lat, ostry głód przestał nam dolegać. Nasza druga koza "Biełka", której dochowaliśmy się z kozłęcia po sprzedanej "Sierce", daje już trochę mleka.

Listopad 1945

Z odpowiedniego urzędu nadeszły trzy oficjalne pisma adresowane odrębnie do Taty, Mamy oraz do mnie (ponieważ ukończyłem już 15 lat) z zapytaniem czy zamierzamy ubiegać się o przywrócenie obywatelstwa polskiego. Oczywiście napisaliśmy trzy jednobrzmiące podania i wysłali zaraz następnego dnia.

Z tego co wiemy, oficjalna repatriacja z europejskiej części ZSRR ma trwać do czerwca 1946. Kiedy nadejdzie nasza kolej?

Tato przypadkowo poznał rosyjskiego oficera, który za parę dni wraca z urlopu do swojej jednostki w Niemczech. Obiecał, że przejeżdżając przez Polskę, może wrzucić nasze listy. Napisaliśmy więc ponownie do bliższej i dalszej rodziny, dając mu cały plik ręcznie sklejonych kopert.

Już pół roku minęło od końca wojny, a my nadal nie wiemy nic o naszych bliskich - kto ją przeżył i gdzie się kto znajduje.

Nie wiemy też gdzie i do kogo mamy wracać ?

Grudzień 1945

Od czasu złożenia podań o zmianę obywatelstwa żyjemy już wyjazdem. Sprzedaliśmy całe siano, a za zgromadzone pieniądze Mama postanowiła nas ubrać na drogę, gdyż nasze wytarte i połatane szmaty, które nosimy, przecież nie nadają się do tej podróży.

Z odzieży roboczej otrzymywanej przez Leśnictwo, Tato, za zgodą Leschozu, odkupił uszanki, walonki i watowe rękawice dla nas wszystkich, a dla siebie i Mamy nowe fufajki.

W warsztatach krawieckich w Wasilewskim, które
dotychczas szyły tylko dla wojska, udało się Mamie zamówić
satynowe, ale podszyte watą i przepikowane, kurteczki dla
mnie, Jędrka i Ewuni, a z resztek letniego
wojskowego drelichu spodnie i bluzy. Gdy
przymierzamy te cuda nie możemy się na siebie
napatrzeć. Szczyt elegancji! Lordowie angielscy chyba nie
ubierali się wytworniej. Na pewno w Polsce wzbudzimy
zazdrość swymi strojami !

Styczeń 1946

Nadszedł pierwszy list z Polski. Od ciotki Ireny
Stasickiej.

Wojnę przeżyli szczęśliwie wszyscy, w Krakowie, a nawet
Tadzikowi urodził się mały braciszek. Teraz mieszkają w
Brzezinach Śląskich, gdzie wujek Boniu zajmuje jakieś
wysokie stanowisko w kopalni. Mają duże mieszkanie
służbowe. Jeśli wrócimy do Polski, a nie będziemy się mieli
na początek gdzie podziąć, możemy się zatrzymać u nich.

Ciotka Halina wydostała się z Rosji w 1942 roku z
Armią Andersa i jest teraz w Anglii. Pisała stamtąd.

Wujek Tadzio też przeżył, pracując jako kelner, potem
był na Węgrzech; teraz zaczął pracować w jakimś państwowym
majątku rolnym. Ożenił się.

Same wspaniałe wiadomości!

Luty 1946

Wreszcie nadeszła ta wysniona i wymodlona przez tyle
lat chwila. Wiemy już na pewno że wracamy do Polski!

Telefonował do Tatusia, do kancelarii
Leśnictwa, pełnomocnik Komisji Repatriacyjnej z
Iwanowa, niejaki obywatel Pawlicki. Równocześnie wysyła
pismo urzędowe.

Od 25 lutego będzie kompletowany pierwszy transport
repatriantów. Nasza rodzina jest wstępnie przewidziana do
wyjazdu tym pociągami. Wszystkie formalności ze zmianą
obywatelstwa, karta repatriacyjna i temu podobne, będą
załatwiane na miejscu w Iwanowie, do którego jednak trzeba
się dostać własnym przemysłem. Kto zdąży, ten pojedzie.

---- * ----

Chociaż nasz dobytek zgromadzony przez dwa i pół roku
pobytu w Rajkach jest bardziej niż skromny, to jednak
powstał dylemat co i jak mamy pakować na wyjazd do
Polski.

Tatus' był zwolennikiem zabierania wszystkiego poza
słomą z sienników, ale z garnkami i pryzami włącznie -
przecież nie wiadomo do czego wrócimy w Polsce
zniszczonej przez wojnę, a na początek wszystko się
przyda.

Mama była przeciwnego zdania: Nędzy rosyjskiej do
Polski nie ciągniemy. Ubieramy wszystkie ciepłe i
porządniejsze rzeczy, a do pakunków głównie to co nadaje
się do przykrycia w czasie podróży. Jest zima, a na
pewno nie będzie osobowych wagonów.

Ostatecznie, każdy z nas miał worek na sznurkach jako
plecak, a rodzice dodatkowo toboły z kołdrą i kocami
zawinięty w puste sienniki. Reszta została.

Tato przekazał wszystkie służbowe sprawy
Kudriawcewowi.

Z jego rodziną i robotnikami z Rajek żegnaliśmy się serdecznie. Zżyliśmy się, a ze strony tych ludzi nie spotkało nas nigdy nic złego. Wręcz przeciwnie, byli nam zawsze życzliwi, służyąc dobrym słowem i pomocą, na miarę swoich, jakże skromniutkich możliwości. Co więcej, nie odczuliśmy z ich strony nigdy żadnych uprzedzeń narodowościowych, nawiązujących chociażby do dawniejszej i całkiem współczesnej historii obydwu naszych narodów i państw.

Konie Leśnictwa, zaprzężone do szerokich, wymoszczonych sianem sań, odwiozły nas rankiem, w poniedziałek, 25 lutego do Szui.

Tutaj, z trudem co prawda, ale dostajemy się do pociągu i jeszcze przed zmrokiem wysiadamy na dworcu w Iwanowie. Nagłą czarną falą powracają straszne wspomnienia, ale szybko znikają.

Na bocznym, długim torze stoi nasz transport. Ponad trzydzieści drewnianych, dużych wagonów. W jednym z nich urzęduje kierownik pociągu ze swoją świtą. Rejestrują przybywających ze wszystkich zakątków obwodu "pasażerów". Udzielają informacji co do miejsca i sposobu załatwienia spraw formalnych przed wyjazdem, dają talony na zaprowiantowanie, otwierają kolejne wagony, wyznaczając w nich miejsca poszczególnym rodzinom - ale bez upychania kolanem.

W każdym wagonie są dwa poziomy prycz, tak, że nikt nie musi leżeć na podłodze. Poza tym jak "poprzednim razem" żelazny piecyk z rurą i otwór w podłodze. No i okienka nie zaplecione drutem... Do naszego wagonu "wchodzi" dwadzieścia pięć osób. Dostajemy miejsce na dolnej pryczy, na którym urządzamy się z radością.

Jest nas w wagonie kilku młodych chłopców, toteż szybko, po spenetrowaniu okolicznych torowisk, wysypisk i rumowisk zdobywamy znaczną ilość drewna, parę kawałków węgla i torfu.

Piecyk rozgrzany do czerwoności, na nim szumią kolejne czajniki. Nie zamarzniemy, mimo że to koniec lutego.

---- * ----

Wagony szybko się zapełniają. Wśród przybyłych rodzin jest wiele młodzieży znanej nam z Polskiej Szkoły. Jedzie również nasza kochana pani Kowalczykowa z synem. Jej mąż, po demobilizacji z armii oczekuje ich w Polsce, w którymś z miast zachodnich.

W ciągu dwóch dni transport jest prawie kompletny. Ludzie biegają w pośpiechu, załatwiając konieczne formalności. Nie wszyscy mają niezbędne dokumenty, jest trochę nerwów i strachu, ale tym razem, wobec wyraźnie życzliwego stosunku władz sowieckich do nas, wszystko załatwiane jest pomyślnie.

W środę rano odbywa się lustracja pociągu przez przedstawicieli władz obwodu, zarządu Związku Patriotów Polskich oraz komisji mieszanej do spraw repatriacji - organizatorów naszego wyjazdu. Chodzą po wagonach, zaglądają na prycze, pytają czy jest wygodnie. Zapraszają wszystkich dorosłych i młodzież szkolną na uroczystość pożegnalną, która rozpocznie się o pierwszej w południe w gmachu Obłsowietu.

Idziemy w trójkę z Tatą - Mama z Ewą zostają w wagonie.

W dużej sali Obłsowietu rzędy krzeseł. Na podwyższeniu długi stół przykryty czerownym płótnem, portrety Stalina i jakichś, widocznie polskich, dygnitarzy; flagi obydwu państw.

Na balkoniku wojskowa orkiestra. Sala wypełnia się. Wchodzą za stół na podwyższeniu przedstawiciele władz obwodowych oraz Związku i Komisji Mieszanej.

Orkiestra gra hymny: sowiecki i polski. Polski! "Jeszcze Polska nie zginęła", tu w Iwanowie! Część sali podchwytuje ze wzruszeniem melodię nie słyszaną od 6-ciu lat.

Potem zaczynają się przemówienia. Gdy ich słucham, odczuwam coraz większe zdumienie i zamęt w głowie.

Nikt z przemawiających nie wspomina o tym, że w 39 roku armia sowiecka zajęła część Polski, że zostaliśmy siłą zabrani i wywiezieni w tajgę, gdzie wielu z nas zmarło z pracy ponad siły, głodu i chorób, że teraz z tej sześćioletniej poniewierki chcemy wyrwać się do Kraju za wszelką cenę.

Z przemówień wynika, że począwszy od 1939 roku, jedyną troską władz sowieckich i osobiście towarzyszą Stalina było to, aby nas, obywateli polskich, uchronić przed Niemcami, okupacją i niechybną zagładą. Że tylko niezmierzonej dobroci, mądrości i przenikliwości wielkiego Generalissimusa zawdzięczamy to, że przeżyliśmy wojnę. Że naród radziecki przez te sześć lat dzielił się z nami po bratersku wszystkim co miał, każdym kawałkiem chleba, okryciem i dachem nad głową. Że odział i uzbroił nasze wojsko polskie, którego część, związana z przedwojennymi polskimi kapitalistami i obszarnikami, opuściła co prawda podstępnie Kraj Rad, jednak później, utworzona z inicjatywy postępowych Polaków,

Armia Polska, walczyła ramię w ramię z Armią Czerwoną, okryła się chwałą, uczestniczyła w wyzwaniu Polski i teraz stanowi oparcie dla nowych demokratycznych władz w Kraju. Że za te wszystkie dobrodziejstwa jesteśmy ogromnie wdzięczni władzom sowieckim i osobiście wielkiemu Stalinowi, że wdzięczność tę zachowamy w sercach do końca życia i na niej, teraz po wojnie, będziemy budowali przyjaźń naszych narodów i rozwój gospodarczy naszych państw.

Dobrze że Mamusi tu nie ma i nie słyszy tych przemówień bo, o ile ją znam, nie wytrzymała by i powiedziała swoje zdanie, nawet bez udzielenia jej głosu.

Po przemówieniach orkiestra gra Międzynarodówkę. Znowu wszyscy wstają, ale śpiewają tylko ci za stołem i pojedyncze głosiki z pierwszych rzędów.

Po zakończeniu uroczystej części obywatel Pawlicki ogłasza dalszy program dnia: Wszyscy obecni otrzymują talony na obiad w fabryce - kuchni i wedle życzenia bilety do kina. Wieczorem natomiast, w tej wielkiej sali, będzie grała orkiestra wojskowa na balu pożegnalnym dla repatriantów.

Po obiedzie Tato wraca na dworzec, a my z grupą młodzieży postanawiamy skorzystać z wszystkich atrakcji.

W kinie grają przepiękny, choć trochę nudny, film amerykański "Serenada Słonecznej Doliny". Piękne panie i przystojni panowie, wytwornie ubrani, zjeżdżają przy dźwiękach muzyki z gór na nartach - nowy, bajkowy, nie znany nam świat !

Po filmie wracamy na salę w gmachu Obłsowietu. Krzesła są już uprzątnięte i ustawione pod ścianą. Przy wejściu i wpisaniu

się na listę, każdy dostaje bilet oraz talon do bufetu - na porcję "winiegretu" i kufel kwasu chlebowego.

Umiem już trochę tańczyć, znam niektóre dziewczęta z Polskiej Szkoły. Orkiestra gra. Bawimy się. Jest bez troski i naprawdę wesoło. Uczucia nie znane. Jest to mój pierwszy w życiu bal. Jędrak drzemie na krześle w rogu sali, ale nie chce słyszeć o wcześniejszym powrocie. Zostajemy do końca. Dopiero po północy, gdy orkiestra przestaje grać i gaszą światła, wychodzimy i rozśpiewaną gromadą wracamy nocą, przez śpiące miasto na dworzec.

---- * ----

Następnego dnia 28 lutego 1946 roku, we czwartek wieczorem, transport rusza. Żegnaj Iwanowo. Opuszczamy cię bez żalu. Każdy przeżywa tę chwilę wyczekiwaną od tylu lat na swój sposób. W milczeniu. Nawet Mama nie inicjuje głośnej modlitwy. W wagonie są zresztą ludzie różnych wyznań, a nawet i tacy którzy ostentacyjnie obnoszą się z nowo nabytym ateizmem i poglądami żywcem przeniesionymi z przemówień na uroczystości pożegnalnej. Nie ma w wagonie warunków do szczerych rozmów.

Marzec 1946

Już ponad tydzień jesteśmy w drodze. Po minięciu Moskwy i Wiąży zorientowaliśmy się, że tym razem trasa nasza prowadzić będzie przez Smoleńsk, Orszę, Mińsk, Baranowicze do Brześcia.

Mróz nie jest duży, dniem słońce już przygrzewa, jednak nocami zimno daje się ludziom we znaki. Na dłuższych postojach zbieramy drewno lub podkradamy węgiel gdzie się da, i znosimy do wagonów. W piecyku pali się bez przerwy.

Mimo chłodu drzwi wagonu w ciągu dnia trochę się rozsuwa, aby obserwować mijane okolice. Po wjechaniu na tereny Białorusi, przez które kilkakrotnie przechodził front, widoki są wstrząsające i nam, którzy wojnę przeżyli na tyłach - nie znane.

To co obserwujemy odpowiada chyba pojęciu spalonej ziemi.

Wszystkie prawie stacje i dworce kolejowe to kupy gruzów i powyginanego żelastwa, które rozgarnięto jedynie dla ułożenia nowych torowisk, ustawienia semaforów oraz prowizorycznych budek i baraczków zastępujących budynki dworcowe. Topniejący śnieg, spływający ze zwalisk ziemi na poboczach torów, odsłania miejscami nie dokładnie pogrzebane trupy.

W miastach przez które jedziemy prawie nie widać nie zburzonych domów - większość z nich to ruiny.

Najsmutniejszy obraz przedstawiają jednak mijane wsie. - To jedne totalne pogorzeliska. Sterczą w niebo okopcone kominy pieców, które oparły się pożarom, między nimi kikuty opalonych drzew; obok wzgórki ziemianek z których unoszą się ku niebu cienkie smużki dymu - znak że gnieźdzą się w tej ziemi ludzie.

Przy niektórych ziemiankach krzątają się owinięte w szmaty postacie ludzkie, lub stoją obserwując przejeżdżający pociąg. Małych dzieci prawie nie widać - nie przeżyły.

Pojedynczo tylko można dostrzec krowy, konie, owce, drób.

Mimo że Niemcy zostali wyparci z tych terenów już dwa lata

temu, a od końca wojny minął prawie rok, postępy w odbudowie zniszczeń są niewielkie. Z rzadka bieleją zręby nowowznoszonych chat.

Gdy obserwujemy ten ogrom zniszczeń i wyzierający z niego bezmiar ludzkich cierpień - nasze własne przeżycia minionych sześciu lat jakby bledną.

A przecież w całym transporcie, poza naszą rodziną, nie znamy prawie żadnej, która wracała by do Polski w komplecie. Poza tym ci co jadą naszym pociągiem to szczęśliwcy, którzy po amnestii 1941 roku wyrwali się z lagrów i posiołków. A jaki los spotkał tych co pozostali?

Pisaliśmy z Rajek do kilku znajomych rodzin na adres "Posiołka Nr 4" - niestety, żadna odpowiedź nie nadeszła. Głuche milczenie. Listy też nie wracały...

W miarę trwającej podróży zmieniają się również nastroje i treści prowadzonych rozmów. Wszak przeważająca większość jadących naszym transportem ludzi to rodziny wywiezione z terenów należących obecnie do Związku Sowieckiego.

Jadą teraz do "Nowej Polski" w granicach której nikt i nic na nich nie czeka. Jadą obdarci, bosi, bez grosza, wygłodzeni, często źle mówiący i piszący po polsku.

Nic też dziwnego, że miejsce ogólnej radości panującej przy wyjeździe z Iwanowa, zastępują z troską i przygnębieniem wywołane niepewnością jutra.

Drogi ubywa powoli. Na węzłowych stacjach stoimy po kilkanaście godzin. Nie mamy jednak tego wrażenia co w 1940 roku, że o nas po prostu zapomniano. Przecież jedziemy poza

rozkładem. Dla przepchania naszego składu potrzebny jest nie tylko wolny odcinek trasy, lecz i parowóz z załogą na podmianę, a o to teraz po wojnie nie łatwo. Kolejarze tłumacza te rzeczy obszernie i cierpliwie kierownikowi naszego pociągu.

A jednak, mimo wszystko, do granicy jest coraz bliżej.

----- * -----

Jesteśmy w Brześciu. Tutaj ma się odbyć przeładowanie nas z szerokotorowych wagonów rosyjskich do normalnych. Jeszcze ich nie ma. Niektórzy wróżą, że Polska podstawia wagony osobowe. Czekamy dobę. Wreszcie na równoległy tor podstawiają zestaw do przesiadki. Ale jakież ogromne rozczarowanie i przykre zaskoczenie: podstawionych wagonów jest o połowę mniej. - Z dwóch rosyjskich mamy przeładować się do jednego polskiego.

W dodatku są one mniejsze, brudne i zupełnie nie przystosowane do przewozu ludzi. Nie mają ani piecyków, ani prycz, ani nawet tych dziur w podłodze.

Nasz kierownik robi straszną awanturę zawiadowcy stacji i przedstawicielowi PUR, który zjawił się, jako współopiekun na dalszą podróż, z ramienia władz polskich. Awantura jednak nie pomaga. Zawiadowca, Rosjanin, czuje się obrażony - "nie jego dzieło" - Władze sowieckie wszak dowiozły nas do granicy w wygodnych warunkach. Przedstawiciel PUR tłumaczy, że Urząd Repatriacyjny z największym trudem wydebił od PKP te wagony które są, w przeciwnym razie czekalibyśmy w Brześciu nie wiadomo jak długo. W Polsce transport kolejowy po wojnie jest w ruinie

- trzeba to zrozumieć.

Nie ma rady. Przesiadamy się. Po zgarnięciu z podłogi resztek jakiegoś wapna, wciska się nas 50 osób do małego towarowego wagonu. Całe szczęście, że bagaży nie jest wiele. Miejsca jest na tyle, aby usiąść na tobołkach, ale podkurczywszy pod siebie nogi. Jak długo przyjdzie nam jechać w tych warunkach?

Przedstawiciel PUR nie wypowiada się na ten temat. Natomiast poinformował oficjalnie wszystkich, że cały nasz transport zostaje skierowany na Ziemię Odzyskaną. Tam mamy szansę otrzymania mieszkań opuszczonych przez Niemców oraz pracy - każdy w swoim zawodzie. Przestrzegał, aby nikt nie ryzykował wysiadania na rdzennych terenach polskich. Będzie wówczas zdany wyłącznie na siebie, nie otrzyma żadnej pomocy od państwa i może znaleźć się w poważnych kłopotach.

Ludzie przyjmują te informacje spokojnie. Nie wielu ma jakąś własną koncepcję na urządzenie się w kraju. Poza tym przywykliśmy, przez sześć lat, liczyć się i stosować do tego co mówi władza.

Wszystkie formalności ze sprawdzeniem i opieczętowaniem dokumentów zostają załatwione. Ruszamy.

Pociąg wolniutko przejeżdża przez most na Bugu i bez zatrzymywania się mija stację Terespol, po czym zwalnia jeszcze bardziej i na chwilę staje.

Myślimy, że chodzi o to abyśmy mogli rzucić okiem na pierwszą polną polskiej ziemi i ukończyć wieloletnią tęsknotę uchodźców. Tymczasem, przez rozsunięte lekko drzwi, do wagonu wskakuje dwóch mężczyzn, porządnie, po cywilnemu ubranych.

Szybko i nerwowo zaczynają mówić: że z narażeniem, jako rodacy i przyjaciele, chcą nas poinformować i ostrzec, iż na najbliższej stacji Biała Podlaska będzie przeprowadzona, pod nadzorem milicji, przymusowa wymiana pieniędzy - rubli na złote - w relacji 1 do 1. Oni natomiast, wiedzeni tylko litością i życzliwością dla nas, gotowi są dać nam po półtora złotego za rubla, ale decydować się trzeba szybko, bo stacja za pół godziny.

Ludzie nerwowo rozwiązują węzełki i zawiniątka, w których trzymają uskładane przed podróżą i pieczołowicie chronione papierki. "Na podróż", "na trudny początek", "na urządzenie się na nowym miejscu", "na wszelki nagły przypadek". Wymiana przebiega sprawnie i szybko; banknoty przechodzą z rąk do rąk. Ruble znikają w torbach naszych nowych przyjaciół, a nasi ludzie z ciekawością oglądają nie znane im polskie pieniądze. Pociąg zwalnia przed stacją. Nowi właściciele naszych rubli opuszczają wagon w biegu.

Pociąg staje. Do wagonu wskakują i zaglądają inni handlarze pieniędzmi. "Czy są ruble do wymiany?" - Przelicytowują się; za rubla oferują po dwa, dwa i pół, a nawet trzy złote...

-Nie, rubli już nie mamy. A nawet jeśli ktoś nie zdążył jeszcze wymienić, to teraz chowa je nieufnie jeszcze głębiej.

W wagonie słychać płacz. Oszukanym ludziom płyną pierwsze łzy na polskiej ziemi. Mój Boże, jak bardzo boli krzywda doznana od swoich...

---- * ----

Mija noc głodna i zimna, spędzona na podłodze z podkulonymi, zdrętwiałymi aż do bólu nogami. Pociąg często staje. Potem, szarpany w przód i w tył, rusza znowu do przodu.

Blady świt w okienkach. Jedziemy bardzo wolniutko. Pod kołami coraz częściej stukają rozjazdy szyn. To pewnie jakaś duża stacja. Czyżby Warszawa? Ale większość ludzi jeszcze drzemie.

Drzemie również dwoje samotnych staruszków, w kucki, przy swoich tobołkach ułożonych przy lewych, na stale zamkniętych, drzwiach wagonu. Nagle drzwi, gwałtownym szarpnięciem z zewnątrz, rozsuwają się do połowy, a pakunki staruszków pochwycone przez jakieś sprawne i mocne ręce, wyrwane zostają z wagonu, po czym drzwi zasuwają się z powrotem. Pociąg toczy się powolutku dalej. Wszystko trwało nie dłużej niż 15 sekund. Zanim staruszkowie zdążyli się obudzić, byli już pozbawieni całego swojego ubożego dobytku, z pieniędzmi i dokumentami włącznie.

W wagonie poruszenie i oburzenie na bezczelność i bezwzględność złodziei. Bolesne i ostre współczucie dla poszkodowanych. Ktoś inicjuje składkę. Po chwili płaczącej babci któryś z mężczyzn wsuwa do kieszeni rulonik banknotów. "Na nową drogę życia"...

---- * ----

To rzeczywiście jest Warszawa. Pociąg stoi na rozległym torowisku. Rozsuwamy drzwi.

Ten bezmiar, to morze ruin jakie ukazują się naszym oczom,

sięgające aż po horyzont, przekracza wszystko o czym słyszeliśmy, czytaliśmy, co wogóle mogliśmy sobie wyobrazić.

Ruiny nie są jednak martwe. One żyją. Wśród gruzów jakimś cudem gnieźdzą się ludzie. Świadczą o tym dymy unoszące się w niebo z licznych, jak widać, palenisk oraz sylwetki przemykające się wydeptanymi ścieżkami. Wąskimi pasmami oczyszczonych ulic przejeżdżają pojedyncze furmanki, samochody, a nawet tramwaje. Widać, że miasto chce wracać do życia, chce zmartwychwstać, ale czy potrafi? Czy to wogóle jest możliwe?

Każdy z patrzących przeżywa ten wielki dramat Warszawy na swój sposób. Nie czuję się na siłach, aby to opisać. W każdym razie w wagonie cichną rozmowy, groza przejmuję wszystkich...

---- * ----

Decyzja, która podejmuje nasza Mama tym razem jest równie szybka jak i ostateczna. - "Wysiadamy natychmiast, tu w Warszawie". Ojciec nawet nie próbuje wnosić swoich zastrzeżeń, mimo że nasuwają się one same, w świetle tego, przed czym, już w Brześciu, ostrzegał nas przedstawiciel PUR i co widać wokoło.

Zakładamy na plecy nasze worki. Mama wiąże tobół z pościelą i podciąga go pod drzwi. Żegnamy się w pośpiechu z towarzyszami podróży. Postanawiamy nie zgłaszać nic kierownikowi transportu, aby nas nie zatrzymał. My z Jędrkiem pierwsi zeskakujemy z wysokich drzwi wagonu na ziemię. Pomagamy zejść Mamie i Ewie.

Z workami na plecach, taszcząc ciężki tobół z pościelą,

maszerujemy na przełaj, w poprzek licznych torów,
ku widniejącym w oddali barakom. Nikt nas nie ściga. Nikt
za nami nie podąża.

Jak się po przejściu torowisk okazuje, intuicja nie
zawiodła Mamy i tym razem. - Na pierwszym z baraków, do
którego się zbliżamy, wisi duża tablica z napisem "Polski
Urząd Repatriacyjny". - Wewnątrz, jakby na nas specjalnie
czekano. Tłoku o tej porze nie ma. W kancelarii witają
nas dwie panie, co prawda wymizierowane, ale nadzwyczaj
miłe, ujmujące i życzliwe. Od ręki załatwiają wszystkie
nasze problemy. Opieczętują dokumenty, wypłacają rodzicom
zasiłek pieniężny w wysokości 1.500 złotych - na pierwsze
potrzeby; przydzielają doraźną pomoc odzieżową - jakieś
koszule, majtki, ręcznik... dają talony na posiłki w
jadłodajni, a co najważniejsze pokazują gdzie się można
umyć i wyznaczają nam pięć łóżek na dużej wspólnej sali.
Na każdym łóżku leżą po dwa koce oraz poduszczyk
powleczone w białą (!) poszewkę.

Myjemy się, przebieramy na miarę naszych
możliwości; zjadamy w jadłodajni chleb ze smalcem i białą
kawą, potem kładziemy się do łóżek mimo przedpołudniowej
godziny i śpimy, śpimy, śpimy...

---- * ----

Od wczesnego ranka następnego dnia, już po odespaniu
wszystkich zaległości, zaopatrzeni w chleb i jakieś
konserwy na drogę, podróżujemy w kierunku Śląska, do
Bytomia, bo stamtąd
najbliżej jest do Brzezina, gdzie jest ciotka Irena - i
jedyna,

Jak na dziś, nasza "meta".

Mamy po drodze kilka przesiadek. W porównaniu z warunkami w jakich "podróżowaliśmy" w ciągu ostatnich sześciu lat, obecne wydają się nam luksusowe. Rozkłady jazdy są z grubsza przestrzegane. Pociągi są dosyć pełne, ale można do nich wsiaść, a nawet zdobyć miejsce siedzące, zwłaszcza na stacji początkowej.

Na początku podróży, zanim sprawa się wyjaśniła, miałem pewne kłopoty na dworcach ze znalezieniem ustępów "dla mężczyzn". Przeważały bowiem "dla panów", a do tych bałem się wchodzić - no bo jakież ze mnie "pan" ?

Ludzie w pociągach są jacyś inni. Rozmowni, weseli, nie zagłodzeni. Szybko rozpoznają nas, że jesteśmy Polakami, jadącymi z Rosji. Bardzo ich to interesuje. Wciągają nas pojedynczo do przedziałów, jeśli stoimy na korytarzu, robią miejsca siedzące, zadają moc pytań.

Okazuje się, że nic prawie nie wiedzą o tym, że w ciągu 1940 roku, tak wielu Polaków ze Lwowa i dawnych terenów Polski zostało wywiezionych w głąb ZSRR. Jeszcze mniej słyszeli o warunkach w jakich przyszło nam tam żyć oraz o zasadach obecnej repatriacji. Pytaniom i odpowiedziom nie ma końca.

Częstują nas czym kto ma do jedzenia lub picia. Jakaś elegancka pani wyjmuje zawinięte w białe bibułeczki kanapki z jakimś jasnym, delikatnym mięsem i podając mi mówi: "niech się pan poczęstuje" - Oblewam się rumieńcem po uszy, - po raz pierwszy w życiu ktoś zwrócił się do mnie przez "pan"... Podróż upływa w miłym, towarzyskim nastroju.

Po południu jesteŝmy w Bytomiu. Mama zostawia nas z Tata na dworcu, a sama ze swoim pakunkiem, jedzie tramwajem do Brzezin, odnaleŝć Stasickich.

Po dwóch godzinach zjawia się w poczekalni ciotka Irena. Jest w eleganckim płaszczu, z futrzanym kołnierzem, pachnąca, uczesana, jak dama z amerykańskiego filmu. Rozpoznaje nas z trudem, po czym ze łzami przyciska po kolei do piersi.

Załamuje ręce nad naszymi ubiorami. Czuję się trochę urażony. - Przecież nasze wutowane palta, zielone, drelichowe spodnie i bluzy, no i czapki uszanki, kupione z takim trudem za zebrane siano, są co prawda trochę przybrudzone po trzytygodniowej podróży, ale prezentują się jeszcze całkiem dobrze. No a walonki z gumowymi, naciągniętymi kaloszami, całkiem nowe ! Niejeden może ich pozazdrościć !

Ciotka przyjechała po nas duża służbowa limuzyna, wujka z szoferem. Ładujemy się do niej wszyscy.

Gdy przyjeżdżamy do wielopokojowego mieszkania wujostwa - nasza Mama już siedzi wykąpana w fotelu, przebrana w szlafrok ciotki. Teraz kolej na nas.

Ciotka, przy pomocy Tadzika, który wyrósł przez te lata na mocnego chłopca, bierze się do sprawy energicznie. Ku mojemu przerażeniu i przy lekkim proteście Taty, zostajemy rozebrani do majtek, a wszystkie nasze ubiory, łącznie z walmkami, kołdrą i kocami, szofer wywozi do kotłowni - do spalenia. Wędrujemy po kolei do łazienki, myjemy się od głowy do pięt w gorącej wodzie, po czym ciotka kompletuje nam stroje. Rzeczy Tadzika pasują na mnie i Jędrka. Z ciotki, idealnie

na Mamę. Dla Taty i Ewy ciotka uzyskuje co
najniezbędniejsze w ramach wymiany i pomocy
sąsiedzkiej. Trochę zdobyła już wcześniej, licząc się z
naszym przyjazdem. Jesteśmy wreszcie umyć i przebrani.

Siadamy do kolacji - Pierwszego prawdziwego posiłku
po wojnie. - Rozsunięty stół. Białe obrus. Każdy ma osobne
nakrycie. Na stole pokrojony
chleb, masło, wędlina, marmolada, cukier; dla nas dzieci
dodatkowo kasza na mleku - wszystkiego do syta !
Przez tyle lat nie wierzyliśmy marzeniom, że coś takiego
będzie jeszcze kiedyś możliwe !

Jest już po kolacji. Rodzice z wujostwem zostali przy
herbacie na wieczorną rozmowę. My - dzieci idziemy spać.

Leżę sam, ubrany w Tadzika piżamę, w wygodnym łóżku
z prześcieradłem, z powleczonymi na białą kołdrą i
poduszką. Jest mi ciepło, syto i błogo.

Gdy zamknę oczy, migają mi obrazy
torów, wagonów, Posiołka, tajgi, spławu drewna, dworców
kolejowych, szpitali, Dzieckiego
Domu, Iwanowa, Rajek, świńskiej fermy, Polskiej Skoły - tylu
znajomych ludzi i niedawnych przeżyć...

Czy te minione sześć lat były tylko snem, czy takim
bajkowym snem jest obecna chwila ? ...

---- * ----

Kwiecień 1946

Po dwóch dniach wypoczynku w gościnnym domu wujostwa
Stasickich, rodzice wybrali się " w świat " na poszukiwanie

naszego miejsca w nowym życiu. Wrócili w pierwszych dniach kwietnia i dzisiaj już wiadomo co i jak.

Okazuje się, że w Zubrzycy ocalała większość naszych mebli używanych w czasie wojny przez słowackiego nadleśniczego, który zajmował mieszkanie. Poza tym sąsiedzi, górale zabezpieczyli w 39 roku i przechowali dużo naszych rzeczy, między innymi sprzęt gospodarski, kuchenny, maszynę do szycia, a nawet galowy mundur i buty Ojca, a teraz gdy tylko rodzice zjawili się w Zubrzycy, - wszystko zwrócili z własnej inwencji. Również jedna z naszych młodych krów "przeżyła" wojnę u gajowego. Jest więc do czego wracać.

W drodze powrotnej z Zubrzycy, rodzice wstąpili do Krakowa, gdzie mieści się teraz Dyrekcja Lasów i uzyskali dla Taty nominację na nadleśniczego.

W tej sytuacji, po kilku dniach wyjechali z Brzezin, zabierając ze sobą Jędrka i Ewę, którzy do końca roku szkolnego będą uczęszczali do szkoły pana Michniewskiego w Zubrzycy.

Ja na razie zostałem u Wujostwa i podjąłem naukę w II klasie Gimnazjum w Bytomiu, razem z Tadzikiem, gdzie przyjęto mnie bez większych trudności. Jakoś sobie radzę. Z przedmiotów ścisłych i przyrodniczych jestem, jak się okazuje, na bieżąco, z polskiego czytam zaległe lektury, historię bardzo lubię, tylko łacinę będę musiał w czasie wakacji nadrobić.

W naszym gimnazjum profesorowie są starzy, przedwojenni, a uczniowie bardzo zróżnicowani. Do najstarszej klasy maturalnej chodzą przeważnie całkiem dorośli mężczyźni. Niektórzy z nich

noszą zielone bryczesy i oficerki, a nawet mają podobno broń...

3 maja 1946

Już od poniedziałku 29 kwietnia wiadomym było, że w piątek, 3 maja, nie będzie zajęć lekcyjnych. Jednak w miarę zbliżania się tej daty coraz więcej uczniów twierdziło, że przyjdzie w tym dniu do gimnazjum celem wzięcia udziału w obchodach Świeta Narodowego. Przykład i zachętę do takich deklaracji dawali, imponujący nam pod każdym względem, uczniowie klas licealnych, a to znaczyło więcej niż jakikolwiek nakaz. Jak mają wyglądać te obchody nie wiedzieliśmy do końca.

Gdy na godzinę 9-tą przybyliśmy do gimnazjum - aula i klasy były zamknięte. Nie było dyrektora ani profesorów, natomiast uczniowie - ponad trzysta osób - gromadzili się na dużym dziedzińcu.

Pogoda dopisała. Nastroj jest swobodny i wesoły. Wszyscy mówią, że wychodzimy na ulicę.

Licealisci zgrupowali się przy zamkniętej jeszcze bramie, tak, że gdy ją otwarto o 10-tej znaleźli się na czole pochodu.

Intonują "Witaj Majowa Jutrzenko" i rozwijają kilka przygotowanych uprzednio flag. Gdy przechodzimy przez plac nasza kolumna wygląda imponująco.

Ogarnia mnie radosny i wzniosły nastrój - oto po sześciu prawie latach, maszeruję, z polską flagą i polską piosnką na ustach, przez miasto które było dawniej niemieckie. Głowę trzymam dumnie i wysoko. Wydaje mi się, że w tej właśnie chwili poprawnie pojmuję i właściwie odczuwam patriotyzm.

Wchodzimy w wąskie ulice Bytomia. Od czoła zaczynają skandować: "kto Polak do szeregu!", "kto Polak do szeregu!"... Podejmujemy to skandowanie. I rzeczywiście - z bram domów i bocznych uliczek dołączają do nas coraz to nowe grupy starszej młodzieży i dorosłych. Pojawiają się dodatkowe flagi, sztandary i transparenty. Uczniowie gimnazjalni, którzy zapoczątkowali pochód, teraz rozprychnęli się w nim. Tylko czołówka licealistów trzyma się razem. Dołączyli do niej jeszcze jacyś mężczyźni.

Strumień ludzki wypełniający ulice kieruje się w stronę parku. Tu, w miejscu pozbawionym drzew, stoi prowizoryczne dosyć podwyższenie z desek, a na nim mównica. Kilkutysięczny tłum otacza ją w koło.

Jako pierwszy przemawia starszy pan. Mówi o Konstytucji Trzeciego Maja. O ideałach równości, wolności i demokracji, które legły u jej podstaw, stając się drogowskazem postępowej myśli politycznej Polaków na okres długich 150 lat. Czy teraz, po wojnie będzie szansa na ich spełnienie?

Mówi o czekających Polskę wyborach, - czy będą one prawdziwie wolne i demokratyczne? A jaki kształt otrzyma przyszła nasza konstytucja? Musimy czuwać i walczyć!

Mówcę źle słyhać. Poszczególne zdania giną w gwarze lub są unoszone przez podmuchy wiatru.

Gdy kończy, ktoś intonuje "Boże coś Polskę". Tłum podchwytuje melodię. Jest znowu uroczyste, a w sercu zbiera duma i poczucie więzi z narodem. Pieśń tę znam jeszcze z przed wojny, toteż pełnym głosem śpiewam razem z wszystkimi. Dziwi mnie tylko,

że w zakończeniu strofy wszyscy śpiewają "...wolność racz
nam wrócić Panie", zamiast "...pobłogosław". Jak to ?-
Przecież tak śpiewano podobno tylko pod zaborami i
podczas okupacji ?...

W czasie śpiewania pieśni dostrzegam, że na obrzeżu
zgromadzenia pojawiają się coraz liczniejsze sylwetki
żołnierzy w zielonych mundurach i wysokich butach. Koledzy
mówią że to "UB-ecy".

Na podwyższenie wchodzi jednak kolejny mówca. Jest
młodszy, z błyszczącymi oczyma. Dobrze go słyszeć. Od
początku orientuję się, że jego wystąpienie jest wyraźnie
antysowieckie i antyrządowe. Szybko zasłaniają
go flagi i sztandary - nie widać mu więc twarzy, ale
dochodzi donośny głos.

Mówi, że my Polacy, nie godzimy się na zastąpienie
okupacji niemieckiej przez sowiecką, że Armia Czerwona
winna opuścić nasz kraj; że nie chcemy w Polsce ani
kołchozów, ani burzenia kościołów; że nie możemy
dopuścić, aby Polska stała się siedemnastą republiką
Związku Sowieckiego...

Wznosi okrzyki: "Precz z terrorem UB i sądami
doraźnymi!", "Precz z sowietyzacją kraju !", "Niech żyje
suwerenna i prawdziwie wolna Polska !"

Do trybuny przeciska się klinem zwarta grupa UB-eków.
Niektórzy mają w rękach wyciągnięte pistolety. Rozpychają
ludzi łokciami. Mówca znika w tłumie, który przepuszcza go,
blokując przejście UB-ekom. Ci klną i krzyczą. Chwytają pod
ręce niektórych mężczyzn, zwłaszcza tych od sztandarów i
ciągną do stojących na uboczu samochodów.

Obserwuję ze zdziwieniem i przerażeniem to co się
dzieje.

Nie mogę pojąć i wytłumaczyć sobie tego co widzę. Gdzie jest prawda? Gdzie jest racja? Co to znaczy być Polakiem? Czyżby w tej naszej wykrwawionej, z takim trudem odradzającej się Polsce, nie wszystko układało się jak powinno, na swoim właściwym miejscu? Czyżbyśmy nie całą jeszcze gorzkość wypili?...

Zgromadzenie się rozprasza.

Idziemy z Tadzikiem i kilkoma kolegami boczną ulicą. Jej środkiem, mijając nas, ucieka młody mężczyzna w rozpiętej jesionce. Poznajemy go - to ostatni mówca z mitingu. Sto metrów za nim, biegną zziębnięci dwaj UB-owcy. Jeden z nich, starszy i grubszy, wymachuje wyjętym pistoletem. Krzyczy: "...stój, skurwysynu, bo strzelę!..." Oddaje strzał w powietrze...

Uciekający i ścigający go znikają za zakrętem ulicy...

.....
...

Mój Boże! Co jeszcze nas czeka?

Jaką przyszłość gotujesz, nam młodym, odzyskana po latach Ojczyzno?

